H D 52
G.20

Library
St. Hyacinth College and Seminary
Granby, Massachusetts

716

S. Sobieski

MIĘDZY USTAMI A BRZEGIEM PUHARU.

L. 14 Szuf.

TEJŻE AUTORKI:

ANIMA VILIS — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE

ATMA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.

BARCIKOWSCY — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE

BŁĘKITNI — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE

BYLI I BĘDĄ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

CZAHARY — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

CZARNY CHLEB — NOWELE — WYDANIE DRUGIE.

JASKÓŁCZYM SZLAKIEM — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

JERYCHONKA — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

JOAN VIII. 1—12 — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

KĄDZIEL — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

KWIAT LOTOSU — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.

MACIERZ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

MAGNAT — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.

NA FALI — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

NA WYŻYNACH — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

ONA — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.

RAGNARÖK — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.

SZARY PROCH — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.

WRZOS — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.

Z GŁUSZY — NOWELE — WYDANIE DRUGIE.

MARJA RODZIEWICZÓWNA

MIĘDZY USTAMI A BRZEGIEM PUHARU

POWIEŚĆ

WYDANIE CZWARTE

LWÓW-POZNAŃ 1922
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

Library
St. Hyacinth College and Seminary
Granby, Massachusetts

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

POZNAŃSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T. A., POZNAŃ.

PQ
7158
R55
M533
1922
MAIN

I.

Berlin spał. Pogasły światła po magazynach, po teatrach, po mieszkaniach filistrów, po suterynach i strychach.

Gaz tylko migotał w ulicznych latarniach i świeciły jeszcze okna klubów karciarzy, restauracyj podrzędnych, sal tańca i aptek.

Długa linja pałaców Pod Lipami spała też — drzemały karjatydy balkonowe, zapadały i ginęły w mroku ornamentacje okien i drzwi. Ruch tej pierwszorzędnej arterji ustawał. Zrzadka zaturkotał spóźniony powóz, lub przechodzień przesunął się pośpiesznie, wracając z zabawy do domu: Berlin spał.

Tylko w pałacu hrabiny Aurory Carolath czuwano jeszcze. Dwa okna pierwszego piętra rzucały stłumiony blask z za ciężkich firanek, a za temi oknami, w prywatnym buduarze hrabiny, wyzłoconym jak bombonierka, nie myślano o spoczynku. Młoda, cudownie piękna kobieta leżała nawpół na fotelu w koronkowym negliżu, obnażonemi rączkami rozplatając od niechcenia złote, przepyszne warkocze.

U jej nóg prawie, na taburecie, rozparty wygodnie, z głową na jej kolanach, młody, jak ona, i jak ona piękny mężczyzna przypatrywał się tej złotej fali,

co mu chwilami muskała twarz, i nucił półgłosem „Loreley!“

Para ta była na model dla malarza: ona — smukła, ślicznie zbudowana, o twarzy z greckiego posągu, ale żywej, zalotnej, a śmiejącej się całym urokiem białych ząbków, koralowych ust i zmrużonych, sfinksowych oczu; on — wybujały jak topola, silny, dumny, ciemnowłosy, zapatrzony w kobietę całym ogniem wyrazistych, ciemno-szafirowych źrenic.

Był w nim pierwiastek germański wielkiej siły i twardego wyrazu, a obok tego jakiś inny typ delikatniejszy, ognisty, zuchwały a wesoły. W spojrzeniu była dziwna mieszanina — pożądania i cynizmu, swawoli i przesytu: musiał to być człowiek bardzo szczęśliwy, bardzo bogaty i bardzo pieszczony przez życie.

— Wszak odesłałeś konie, Wentzel? — zaczęła po małej przerwie piękna pani.

— Naturalnie.

— Lubię cię za to!

— Za co? — spytał, biorąc pierścień jej włosów i bawiąc się nim.

— Za to, że mną się nie afiszujesz.

Młody człowiek się zaśmiał.

— Nie uznaję tego za pochwałę. Afiszują się tylko błazny i parweniusze. Czy mnie zaliczasz do jednej z tych kategoryj?

— Ejże, bohaterze! Zdarza się to i tobie!

— Może być. Jeżeli kogo nie cenię lub nie kocham.

— Więc mnie cenisz i kochasz niby?

— Tak, ciebie jedynie, teraz i podobno zawsze!

— A jednak dla mnie nie poświęciłbyś tysiąca owych stosunków, gdzie nie cenisz i nie kochasz?

— Nie, jutrzenko. Ani jednego!

— Pfe! prawisz impertynencje.

— Pfe! jesteś zazdrosna, jak subretka! — odrzucił wesoło, całując białą rączkę.

— Wiesz, stanowczo zrywam z tobą! Nie chcę być jedną z wielu.

— Ja jednak cierpliwie znoszę takie stanowisko.

— Ty szkaradno istoto! Powiedz choć jedno.

— Dziesięć, Auroro! *Primo:* twój mąż...

— Eh, admirał, to amfibja, którego już dwa lata nie widziałam i żeby nie portret w sali, tobym nie poznała bez rekomendacji.

— *Secundo:* książę Herbert.

— Ach, nonsens! Zaśmiałam się może parę razy.

— *Tertio:* ten kuzynek z Harcu!

— Musiałeś dzisiaj pić zawiele przy kolacji... bredzisz! — rzuciła z dąsem, a potem nagle przechyliła się ku niemu i, skubiąc zalotnie jego kędzierzawą czuprynę, spytała z przymileniem:

— Ale ty mnie kochasz, szkaradniku... nie rzuciłbyś dla nikogo?

— Dla nikogo, nigdy, Auroro! — odparł bez namysłu.

— Słowo hrabiego Croy-Dülmen?

— Słowo twojego Wentzla.

— Masz, pocałuj mnie za to.

Chwilę milczeli oboje w namiętnym uścisku i pozostali przytuleni do siebie, szepcąc stłumionym głosem.

— Wiesz, — mówiła kobieta — czemu-m dziś tak niespokojna? Cały świat cię swata, żeni na gwałt! Zastawiają na ciebie sieci, spiskują, intrygują! Ach, po coś ty taki bogaty, wysoki pan, pierwsza partja i taki piękny!

— Ciekawym, czybym tu siedział, gdyby mnie los stworzył chromym, zezowatym, rudym i lampucerem naprzykład? Któż to mnie pożąda?

— Wszystkie panny, wdowy, rozwódki i mężatki! Wszyscy ojcowie, opiekunowie, matki, ciotki itd. Imię im: legjon!

— Włosy mi się jeżą ze zgrozy.

— I nic więcej?

— Nic!

Kobieta złote swe włosy okręciła mu około głowy i szyi i, zaciskając te czarodziejskie, jedwabiste pęta, szeptała w pocałunkach:

— Oh, a ja cię tak kocham... ubóstwiam... nie dam nikomu, nigdy!

Mógł być dumnym i próżnym ten człowiek — i nie dziw, że do gruntu popsuty był swem szczęściem.

Tymczasem zegar w sąsiednim pokoju wybił powoli drugą godzinę.

Metaliczny dźwięk zbudził oboje. Hrabina Aurora drgnęła przerażona, hrabia wstał opieszale.

— Będziesz mi złorzeczyła, moja jutrzenko! Nabawię cię złej cery i migreny, a jutro bal u książąt Hohenlohe! Dobranoc!

Uścisnął ją raz jeszcze, ucałował rękę i wyszedł dobrze sobie znanem, bocznem przejściem. W bramie zapalił cygaro, podniósł kołnierz paltota, bo go chłód owiał — i z rękami w kieszeniach ruszył ku domowi.

Pałac jego leżał niedaleko, ale go nie nęcił spoczynek; skręcił w boczną ulicę i poszedł bez celu, ot tak, żeby rozprostować nogi, może opędzić się od chwilowego rozdenerwowania.

Półgłosem nucił znowu „Loreley!“

Nagle, o kilkanaście kroków przed sobą, ujrzał dwie postacie — kobiecą i męską; doleciał go głos niecierpliwy, a drugi natrętny; potem kobieta przyśpieszyła kroku — szukała widocznie obrony w ucieczce — mężczyzna nie ustępował.

— Daj buzi, panieneczko! — posłyszał hrabia głos swego znajomego, sławnego birbanta i awanturnika. — Znaku nie będzie na ustach, a jak mi dasz, to ci oddam! Po nocy wszystko wolno. Ejże, nie uciekniesz! Po woli, czy po niewoli!

Kilku skokami dopędził uciekającą, ujął ją za ramię — był widocznie tęgo podchmielony.

Kobieta szarpnęła się gwałtownie i, dostrzegając hrabiego, rzuciła się ku niemu.

— Proszę mnie odprowadzić do domu! — rzekła zdyszana, wsuwając rękę pod jego ramię.

Napastnik poskoczył — znalazł się oko w oko z hrabią — zdumiał się.

— A, to ty, Wentzel! No, nie przeszkadzaj! Albo pomóż dać rady tej zbłąkanej turkawce. Widziałeś, ładna!

— Tę panią ja, mój drogi, odprowadzę do domu, bo mnie o to prosiła! Odegrałeś swą rolę, idź za kulisy i odeśpij chmiel należycie.

— A to co znowu? Idź swoją drogą! Jak dostanę buziaka, to ci pozwolę o drugi się postarać! Marsz, panie ex-kapitanie, do koszar!

Postąpił o krok, wyciągnął rękę do kobiety, ale hrabia ją zakrył sobą, zmarszczył brwi.

— No, dosyć tego! Przegrałeś bitwę, panie baronie Wertheim, bierz się do odwrotu. Ze mną sobie nie pozwalaj, bo możesz pożałować. Dama ta jest i zostanie pod moją opieką, dopóki zechce, a panu, jeśli

się to nie podoba, zostaje wolna droga rozmówienia się ze mną jutro, w mojem mieszkaniu. Marsz!

— Rozmówimy się na szpady, panie hrabio Croy-Dülmen! — krzyknął podpiły panicz.

— A choćby na szydła! Jak się panu podoba! — odparł swobodnie hrabia. — Tymczasem żegnam!

Minął napastnika i spytał kobiety o adres. Baron założył ręce w kieszenie i roześmiał się lekceważąco.

— Wylazło szydło z worka, metysie! Warcholska krew twych przodków po kądzieli nie ginie. Jako Niemiec, ja burd nie lubię. Ustępuję z placu.

Po pięknej twarzy hrabiego przeszedł gorący rumieniec; uwolnił rękę kobiety, obrócił się jak ruszony sprężyną.

— Powtórz, błaźnie! — krzyknął zdławionym od wściekłości głosem.

— Powtórzę! — odparł tamten zuchwale. — Jesteś mieszańcem; o tem wiesz sam dobrze i nie ja pierwszy ci to mówię.

— I nie pierwszy odpowiesz za obelgę. Przodkowie moi walczyli pod Barbarossą, byli tak rdzennie Germanami, jak góry Schwarzwaldu i Sprewy; każdy z nas służył krajowi dłonią, głową, mieniem, wszystkiem. Mam krew zmieszaną... ha! Za to ci jutro twoją czystą wytoczę, jakem Prusak!

Głos mu świstał przez zaciśnięte zęby; wziął za ramię przeciwnika i wstrząsnął nim. Przewyższał go o głowę, a uścisk był żelazny.

— Ruszaj pan swoją drogą, bo dalej nie ręczę za siebie. Mogę zapomnieć, żeśmy obaj szlachtą.

Wyraz jego twarzy i ton zmieszały barona i oprzytomniły; usunął się na bok i zginął w bocznej ulicy.

Młody człowiek zwrócił się do swej damy i uchylił kapelusza.

— Pani daruje zwłokę. Służę.

Rozdrażnienie drgało mu jeszcze w głosie, a twarz, przed chwilą niefrasobliwa i uśmiechnięta, zachowała wyraz dzikiej zaciętości i ledwie hamowanego wybuchu.

Kobieta przez ciąg tej sceny stała opodal i słuchała uważnie, z brwią ściągniętą i widoczną przykrością. Twarz jej, delikatna, blada, mieniła się tysiącem wrażeń. Wielkie piwne oczy patrzyły ostro na hrabiego. Widniał z nich gniew i obraza. Niecierpliwie zagryzła usta.

Gdy jej podał ramię, usunęła się na bok i ruszyła naprzód w milczeniu.

Piękny panicz czuł się w obowiązku zagaić rozmowę.

— Co za mgła! — rzekł już swobodniej, równając się z nią. — I ani jednej dorożki. Nie śmiem proponować pani zwrócenia się do mego pałacu. Kareta byłaby za pięć minut.

— O, dziękuję. Mgła mi nic nie szkodzi... Żeby nie przykre spotkanie... Droga moja zaraz się kończy!

Mówiła po francusku bardzo poprawnie, więc i on zaczął w tymże języku.

— Może mi pani pozwoli nieść pakiecik — rzekł, wyciągając rękę po flaszeczkę, którą trzymała.

— Dziękuję. To lekarstwo, tak trudno zdobyte, doniosę sama — odparła.

— Pani ma kogo chorego?

Skinęła tylko głową.

Obserwował ją z pod oka. Była istotnie uderzająco piękna — pięknością poważną, klasyczną, nakazującą szacunek i względy. Trzeba było być

bardzo pijanym lub zuchwałym, by ją zaczepić, jak pierwszą lepszą.

Głos miała głęboki, trochę ponury; rysy spokojne i chłodne; oczy zamyślone, głębokie, okryte rzęsami — podnosiła je rzadko; usta dumne, małe, musiały się bardzo niewiele uśmiechać.

Typ to był niepospolity — zwróciłby i w tłumie uwagę; patrząc na nią, uczuwałeś gwałtowną chęć zbudzenia życia w tych poważnych rysach, rozjaśnienia śmiechem ust zaciętych, rozświecenia blaskiem mrocznych źrenic.

Byłaby wtedy porywającym czarem.

Hrabia był znawcą i bałamutem z rzemiosła. Wspomnienie barona zbladło mu w pamięci, postanowił, — on, niezwalczony Antinous — spróbować swej siły i zręczności, pobawić się jak tamten. Noc i tak miała się ku schyłkowi.

— Pani jest cudzoziemką? — spytał.

— O, najzupełniej!

— Sądząc z tonu, nie lubi pani Niemców.

— Jak mało czego na świecie — odparła szczerze.

— Pani ma do tego jakie powody? Jesteśmy przecie pierwszym narodem w Europie.

— Pod względem zarozumiałości, niezawodnie.

— Nie, pani. Szanujemy się tylko. Chęć przodowania i duma jest godłem siły, energji i rozumu. Wielkość swoją cenimy, bośmy ją ciężko zdobyli.

— O, pan ją ceni niesłychanie. Słyszałam to przed chwilą.

— I paniby nie zniosła, gdyby zarzucono wam pochodzenie... żydowskie naprzykład.

— Jeżeli matka pana była żydówką, powinien pan żydów szanować przez pamięć na nią.

— W tem się najzupełniej z panią nie zgadzam. Jeżeli matka nasza była straganiarką, nie czujemy się przecie w obowiązku zachwytu dla przekupek, ani nam to chwały przysparza. Matka moja była Polką z Poznania; ojciec mój zrobił mezaljans, za który ja pokutuję. Jest to plama na tarczy herbowej Croy-Dülmen. Polaków nie cierpię. Stosunków z nimi nie miałem i mieć nie będę, a jednak nazwa *mieszaniec* przywarła do mnie, choć już trzech śmiałków za nią odpokutowało, a jutro czwarty odpowie!

Zapalił się i uniósł. Słowa mu płynęły gniewne, burzliwe, pełne wzgardy i lekceważenia. Kobieta podniosła nań wzrok poważny, zatrzymała chwilę na jego twarzy przejmujące spojrzenie, zmarszczyła ciemne brwi.

— Człowiek, który się wstydzi swego pochodzenia, jest albo nikczemnym, albo słabym! — rzuciła przez zęby.

— Pani jest bardzo surowa dla mnie, nieznajomego.

— Owszem, znam pana. Masz pan pałac Pod Lipami, dobra nad Renem, kapitały w banku. Posiadasz pan nadto: starego opiekuna, majora Koop, ciotkę, Dorę von Eschenbach, i wiele, wiele serc sentymentalnych Niemek na własność. Jesteś pan próżniak, hulaka i pyszałek, sławny z piękności, salonowych manier, wielkiej odwagi i dyskrecji. Czy się pan poznaje z tego portretu?

— Z tej karykatury, pozwoli pani dodać — zaśmiał się swobodnie. — Sława moja musi daleko sięgać, jeśli dościgła aż obcych, za granicami Prus. Pani Francuska?

— Jestem z rzeczypospolitej San Marino — odparła z lekkim uśmiechem.

— Jeżeli damy w owej republice są do pani podobne, to ubolewam nad dolą tamtejszych obywateli. Biedacy, muszą być, jak Bayard, *sans peur ni reproche.*

— Bayard nie uważał się wcale za biedaka, o ile pamiętam z historji, a nasi obywatele, chwała Bogu, nie są w niczem do Prusaków podobni. Mamy dla nich należne względy.

— Muszą to być bardzo lodowate względy.

— Kto co lubi. Nasze mężatki nie przyjmują paniczów po buduarach; nasze panny nie noszą serc na dłoni i na ustach; nasze matrony nie kupczą krasą swych córek! Jesteśmy jednak kochane stokroć silniej, niż wasze „Fräulein" i „Madame".

— Syzyfowa praca być musi dla zdobycia owych serc ukrytych.

— Nasi mężczyźni do tego przywykli.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę. Nie lubię z zasady trudnych rzeczy.

— Wszakżem panu mówiła, żeś próżniak. To też serca nasze nie dla pruskich knechtów, ani dla rycerzy Barbarossy! My i wy... to antypody!

Stanęła nagle i zwróciła się do niego.

— Oto i koniec pana poświęceń i mojej wędrówki. Dziękuję za grzeczność i obronę.

— Czy w San Marino za usługę nie płacą? — spytał z uśmiechem.

— Owszem, jeśli wymagania słuszne. Mogę panu dać za kurs posłańca.

— To zawiele! Nie chodzi tu o kurs, ale o życie moje, które jutro narażę za panią.

— Za mnie! — zaśmiała się ironicznie. — Sprzeczkę o kobietę zapilibyście jutro szampanem. Pan będziesz walczył za swój honor pruski, niecierpiący skazy mezaljansu z Polką, czy żydówką. Za to... ja nie płacę.

— Będę miał dwa pojedynki, jeśli nie padnę. Szampanem nie łagodzę sprzeczki. Otóż za ów pierwszy pani powinna płacić, a raczej dać mi coś od siebie, żebym wiedział, za co się biję.

— Naprzykład co?

— Ach, drobiazg! Pamiątkę... jeden pocałunek!

Cofnęła się o krok, zarumieniła jak maki polne i, rzucając mu spojrzenie obrażonej królewny, odparła z niesłychaną dumą:

— Na ten drobiazg nie starczyłoby panu miljonów. U nas się nie sprzedaje pocałunków. Daje się je darmo, albo nie daje wcale!

— A żeby dostać?

— Żeby dostać, trzeba być obywatelem rzeczypospolitej San Marino i szlachetnym człowiekiem... wówczas można proponować!

— Więc dla mnie droga zamknięta?

— I owszem! Gdy pan przyjmiesz jako obrazę, jeśli cię kto nazwie Prusakiem, wówczas, przed takim pojedynkiem, ja panu zapłacę!

Hrabia ukłonił się głęboko.

— Pani raczy żartować! Ha, trudno! Miałem w swem życiu wiele niedorzecznych pojedynków, przybędzie jeszcze jeden! To mi jest pociechą, że będę się bił za kobietę bardzo piękną, bardzo wykształconą... i bardzo niedostępną.

— Za komplement dziękuję i żegnam! — rzekła szyderczo.

— I ja dziękuję za kilka moralnych nauk i... do zobaczenia. Postaram się zobaczyć jeszcze panią.

— Jeśli mnie pan odszuka, o czem wątpię. Do San Marino bardzo daleko, a pan próżniak.

— Mogę się założyć, że panią znajdę za tydzień, choćby w antypodach. Umiem być wytrwałym, a co postanowię, tego dotrzymam!

— Zakład przyjmuję. Żal mi daremnej pana fatygi; ale trochę upokorzenia zarozumiałości pójdzie panu na zdrowie. Zatem, do widzenia!

Przesunęła się jak cień obok niego i wsunęła w bramę. Rozejrzał się na prawo i lewo, zanotował numer domu, nazwę ulicy, ziewnął i zawrócił.

— Ciekawym, czy ja zobaczę dom dzisiejszej nocy i czy dopalę cygara? Pyszna dziewczyna! Hm! Aurora lepiej zbudowana, Lidja jeszcze sprytniejsza, a jednak ta coś ma. Pewnie ktoś z Alzacji czy Lotaryngji. Narobiliśmy sobie tam przyjaciół... aż miło, jak nas lubią. Hu! żeby z taką mieć romans! Byłoby to coś nowego i niepospolitego! Jutro będę wiedział co za jedna. Pyszna dziewczyna! Aaaa! jak mi się spać chce!

Przyśpieszył kroku. Po chwili czarny kontur pałacu Croy-Dülmen zastąpił mu drogę. Minął główną bramę, w rogu budynku przystanął, dobył klucz z kieszeni i otworzył niepozorną, w korniszach ukrytą furtkę.

Klucz obrócił się lekko — snadź był często w użyciu, — drzwi się otworzyły bez szelestu, tajemniczo, i wpuściły pana w galerję, oświetloną gazem, wysłaną dywanami. Wzdłuż ścian kwitły cieplarniane rośliny, po niszach uśmiechały się posągi nimf i bachantek.

Na krześle u wnijścia drzemał młody lokaj, na którego twarzy bez zarostu malowało się znużenie i niepokój. Był on uosobieniem służbistości, gotowej na wszystko, wytrwałej na stanowisku. Na szelest drzwi porwał się, wyprostował jak struna, zamknął tajemniczą furtkę i ruszył za panem o trzy kroki, nie odzywając się pierwszy.

Z galerją łączyło się prawe skrzydło pałacu, mieszczące w sobie kawalerskie pokoje hrabiego; we frontowym gmachu były recepcyjne salony i apartamenta panny Doroty von Eschenbach; lewą stronę zajmowała służba.

Dopiero w swym gabinecie młody pan się zatrzymał, usiadł w fotelu i ziewnął po raz setny.

— Aaaa... szklankę xeresu, Urbanie!

Nim skończył ziewnięcie, rozkaz był spełniony. Wypił wino, otarł wąsy i sięgnął opieszale po stos listów na stole.

— Że też tym ludziom nigdy nie zbraknie konceptu i atramentu! — mruczał niecierpliwie. — Prawda, że te wszystkie miłe misywy śpiewają dwa psalmy: pieniędzy i miłości! Aaaa... Herbert się zgrał... Lidja chce brylantowych kolczyków. Idjotyczne istoty!

— Daj mi tu papieru i pióra, Urbanie!

Przez zielone story gabinetu brzask się wdzierał — hrabia wyglądał haniebnie zmęczony.

Nagryzmolił śpiesznie dwa bileciki, położył adres i skinieniem wezwał bliżej lokaja.

— Listy te odeślesz zaraz, a tamte spalisz, oprócz tego jednego. Przygotuj pistolety i szpadę... Będę się bił... Ale milczeć o tem! Nie budzić mnie pod żadnym pozorem, choćby się paliło, chyba gdy ci pa-

nowie przyjdą. Nikogo zresztą nie przyjmować, zwłaszcza kobiet. Rozumiesz?

Lokaj skłonił się w milczeniu. Odzywał się tylko w nadzwyczajnej potrzebie z konieczności. Hrabia ledwie się rozebrał, już spał. Uleciały mu z myśli piękne panie, niemiecki honor, pojedynki; odpoczynku tego nie oddałby za uścisk hrabiny Aurory!

II.

Wentzel Croy-Dülmen od dzieciństwa był panem swej woli i czynów. Wprawdzie ojciec naznaczył mu opiekuna, starego towarzysza broni i sąsiada, majora Koop, i opiekunkę, ciotkę Dorę, ale opieka to była — pożal się Boże.

Że fundusz nie zginął — zawdzięczał to tylko swemu ogromowi; że wyrostek się nie zmarnował zupełnie — to było cudem Opatrzności niebieskiej.

Major Koop i ciotka Dora zjeżdżali się niekiedy, opowiadali sobie okropne wybryki wychowańca, wznosili oczy i ręce do nieba, wzdychali, radzili i rozjeżdżali się do swych zajęć: major do swych dóbr nad Renem, ciotka do modłów i ofiar nabożnych. Rady nie było żadnej. Wentzel dbał o nich tyle, co o popiół z cygara. Od dziecka położenie społeczne popchnęło go w sfery arystokracji; kolegował z synami najwyższych rodów, bawił się po pierwszych salonach. Młodzieniaszka, pięknego jak Apollo, porwały kobiety — zepsuły do gruntu.

Nie był nigdy dzieckiem, a młodym duszą może ledwie parę miesięcy.

Cudem olbrzymich zdolności odbył szkoły i uniwersytet, wstąpił do wojska, z wojny francuskiej wy-

niósł żelazny krzyż i parę blizn — i wystąpił z czynnej służby.

Nudziło go wszystko po pewnym czasie; karjery nie szukał, celu nie miał w życiu, nie rozumiał potrzeby pracy.

Był hulaką wielkoświatowym, pełnym form i delikatności: pod maską króla salonów krył się cynik bez żadnych zasad, nieszanujący nikogo i niczego, lekceważący świat cały, dumny swą potęgą i magnetycznym urokiem.

Należał do kilku klubów, miał przyjaciół, ile było młodzieży w stolicy; kochały go wszystkie kobiety.

Był najzupełniej z losu zadowolony.

Major Koop i ciocia Dora byli dlań nudną miksturą, jak się wyrażał.

Słuchał ich rad i perswazyj, jak się słucha brzęku owadów podczas siesty poobiedniej.

Majora Koop zagadywał pytaniem o owcach i winie, ciotce znosił cukierki i płacił bez liku na misje jezuickie.

Staruszkę jednak było trudniej ułagodzić. Żyjąc w stolicy, słyszała więcej niż major, widziała mnóstwo podejrzanych osób i stosunków; stare damy z arystokracji składały w jej łaskawe uszy wszystkie plotki i skandale, obiegające Berlin z winy jej siostrzeńca. Ultramontańska jej dusza wezbrała zgrozą, patrzała na Wentzla jak na lokatora piekieł, mieszkanie jego obchodziła zdaleka, niby Sodomę, suszyła piątki, odprawiała dewocje, składała ofiary — wszystko bezskutecznie.

Hrabia nie miałby nigdy spokoju w domu, gdyby nie to, że ciotka, przy całem zgorszeniu i zgrozie, miała słabość dla swego „chłopaka", jak go zawsze zwała.

Za oczami była silną, w oczy oburzenie jej topniało, gniew niknął — piękny panicz ogarnął i ją swym urokiem.

Zresztą Croy-Dülmen w życiu swem hulaszczem mało miał czasu i ochoty na stosunek z ciotką. Bytność jego we frontowym domu należała do wypadków nadzwyczajnych, witanych z zachwytem, wspominanych bardzo długo. Robił swą obecnością łaskę staruszce.

Był to więc dla niej radosny ranek, gdy lokaj oznajmił, że hrabia zaprasza się do niej na kawę. Zakrzątnęła się żywo, by go ugościć; rozpędziła całą służbę — nie mogła dobrać ciast i zakąsek. Nie przeczuwała, że jej „chłopaka" zbudzili tak wcześnie dwaj sekundanci z warunkami pojedynku. Urban przygotowywał broń. Wentzel, po odejściu kolegów, coś pisał przy biurku, gwiżdżąc wojskową pobudkę. Czuł się w obowiązku pożegnania opiekunki.

Na odchodnem zawołał lokaja.

— Idź na Friedrichstrasse numer 5, koło skweru, weź listę lokatorów, wywiedz się u stróża o młodą damę, która dzisiejszej nocy wychodziła na miasto. Rozumiesz? Każ przytem założyć konie, a list ten oddaj hrabiemu Michałowi Schöneich. Jeżeli kto się zjawi, uwiadomisz mnie u pani. *Verstanden?*

— *Zu Befehl, Herr Graf!*

Wentzel się ubrał i zszedł do ciotki. Pojedynek był naznaczony na poobiedzie, w lasku o parę stacyj za stolicą. Było zaledwie czasu na śniadanie i parę wizyt.

Ciotka Dorota przyjęła swego jawnogrzesznika w swym saloniku, ucałowała go w głowę i oczy, posadziła u zastawionego stołu.

Położył przed nią list.

— Przez pomyłkę znalazł się u mnie. Poznaję pismo majora. Ta częsta korespondencja, ciociu, mocno się wydaje podejrzaną! — rzekł, śmiejąc się.

— Żartuj zdrów! Pisujemy o tobie, chłopaku! Jedz tymczasem. Bardzom ci rada.

— Co to ciocia haftuje tak zawzięcie? Oczy trzeba stracić nad taką dłubaniną.

— To panu Bogu na chwałę... stuła na twój ślub, chłopaku.

— Pocóż ten pośpiech gorączkowy? Zbutwieje cioci robota. Szkoda!

Panna Dora von Eschenbach wzniosła do sufitu śpiczasty nos i szkła okularów i westchnęła żałośnie.

Wentzel popił ten srogi wyrok na stułę łykiem kawy i zaśmiał się.

— To westchnienie, cioci, było brzemienne krytyką i potępieniem. Czego cioci się chce? Towarzystwa jakiej książęcej peroneli, niby mojej żony? Niech ciocia sobie wypisze tuzin dam próżniaczek do kompanji. A może ciocia lubi dzieci? Możemy z misji sprowadzić parę chińskich bachurów. Obejdzie się to wszystko bez współudziału mej osoby!

— Wentzel, Wentzel! Żartujesz ze świętych rzeczy. Każdy porządny człowiek musi się ożenić!

— Każdy porządny człowiek powinien unikać poufałości z kobietami! Nieprawdaż, ciociu?

— No, tak, zapewne... są grzechy...

— Z tego wynikające. Słyszałem o tem. Otóż ja nie chcę mieć grzesznych stosunków. Nie chcę się starać, oświadczać, bo to, widzi ciocia, doprowadza do uścisku dłoni, do gorących spojrzeń, do pocałunków. *Ergo* ja się boję żenić, bo to... niemoralne!

Miał minę mistyczno-zgorszoną.

Ciotka Dorota pokręciła głową.

— Ach! Boże! — westchnęła znowu.

— Zamiast wzdychać, proszę zajrzeć do listu majora. O żeniaczce nie warto myśleć, bo ja się pojedynkuję za parę godzin... i może być... *caput!*

— Co ty?!... Jezusie, Marjo! Znowu?!... Co miesiąc się bijesz... Ach, ja nieszczęśliwa! Co to będzie, co to będzie!

— Nic nie będzie! Na co ciocia wzywa imienia boskiego nadaremno! Wszak ja nie jestem ranny na rzeź. Czy mogę zapalić papierosa?

Nic nie odrzekła, bo zanosiła się od płaczu, lamentując przerywanym głosem.

Hrabia pokiwał głową.

— Otóż macie kobiety! I ciocia chce, żebym jeszcze drugą sprowadził do duetu! Jedna po siostrzeńcu, druga po mężu... ładny koncert!

Staruszka z żałości rozgniewała się.

— Tak, tak kobiety! Gadaj to komu innemu. Masz mnie za tak naiwną! Wiem wszystko! Może to nieojednę z tych bezecnic stawiasz życie na kartę! Gdzie gromy niebieskie na te szkaradnice, Magdaleny, Samarytanki! Czemu ich nie pławią i nie palą, nie piętnują żelazem! Sodomą, Gomora!

— Gwałtu! Z cioci byłby istny Torquemada! Aż mię dreszcz chwyta!

Hrabia się śmiał z całego serca, ale panna Dorota puściła wodze swej boleści i oburzeniu.

— Zginiesz przez nie, jeśli się nie upamiętasz, nie ożenisz, nie będziesz domu pilnował! Okropność! Zabiją cię!

— Ciocia mnie ma za niepospolitego gamonia! Nie myślę ginąć za byle co! Ale kiedy ciocia mi wy-

ST. FRANCIS COLLEGE

myśla, to zmykam. Sądziłem, że znajdę pochwałę i zachętę, a tu łzy! Fe, ciociu, *c'est mauvais genre!*

Wstał i pochylił się nad jej ręką.

— No, zgoda! Proszę się rozchmurzyć. Biję się nie o żadną Samarytankę, jak to ciocia nazywa, ale o to, że Wilhelm Wertheim nazwał mnie metysem i polskim warchołem! Co, jest racja? Za to go rozpłatam jak szczupaka, daję słowo honoru! Niech ciocia spyta kapitana Assenberg, jak się fechtuję! To zabawka dla mnie.

Staruszka otarła łzy i spojrzała mu w oczy.

— Gdy twój ojciec... świeć, Panie, jego duszy... powziął ten szalony projekt, jam go błagała na klęczkach, by zaniechał. Nic nie pomogło. Oczarowali go w Polsce. To kraj wpół dziki. Mają tam gusła, rzucają uroki, dają pić zioła jakieś! Słyszałam o tem od poważnych ludzi. Czarna magja, szatańskie sprawki! Szatan opętał biednego Ralfa! Przeczuwałam nieszczęście! Spełniło się! Ty pokutujesz! Ach, te Polki! Major Koop zawsze mi powtarza: „Wentzlowi nikt nie ufa, boją się sprzeniewierzenia i odstępstwa. Dlatego nie wzywają go na żadną posadę, obserwują go i czekają". Ach, żebyś się ożenił z córką księcia H*, nieufnośćby znikła!

Ciocia Dora, jak zając, po wielu kluczach wróciła do punktu, skąd wyszła.

— Nie boję się polskich czarów! — odparł hrabia, marszcząc brwi. — Nie pójdę śladem ojca! Co zaś do posad, jeśli mi przyjdzie ochota, nie ja, ale rząd będzie mnie prosił. O to może ciocia być spokojna.

— Więc pojedynek nieodwołalny! — szepnęła.

— Obydwaj nie należymy do tchórzów.

W tej chwili otworzyły się drzwi salonu; zajrzała posępna twarz Urbana.

— Konie podane!

— Co, już jedziesz? Ach, Boże, jakże mi straszno! Weź szkaplerzyk na piersi, chłopaku. Będę się dzień cały modliła za ciebie.

— Dziękuję! Nic mi nie będzie. Dziś wieczorem przyjdę do cioci na herbatę. Do widzenia!

Za drzwiami roześmiał się jak szalony.

— Co prawda, wolę pożegnanie z Aurorą; ta mi dopiero da szkaplerzyk!

Zamruczał, potem zbiegł szybko na dół, zatrzymał się, zwrócił do lokaja i spytał lakonicznie:

— *Nun?*

Urban się wyprostował, jak we froncie.

— Kamienica przechodnia na dwie ulice, stróż spał noc całą, nikogo nie widział. Oto spis lokatorów.

— *Zum Teufel!* Co dalej?

— Baron Schöneich czeka pana hrabiego.

— Weź szpadę i ruszaj na kolej; bierz bilety na stację Krischmühl i czekaj na mnie.

— Słucham!

Baron Schöneich, kolega i przyjaciel Wentzla, przybył dość zdziwiony nagłem wezwaniem.

— Pewnie się bijesz? — zawołał na wstępie.

— Jakbyś zgadł.

— O co?

— O moją piętę Achillesową *vel* poznańską.

— Z kim?

— Z Wilhelmem.

— Głupstwo! Will pewnie był pijany, a ty, wiadomo, szukasz wrażeń. Czemuś mnie ominął na sekundanta? Wiesz, to obraza!

— Ty, poważny dyplomata! Dostałbyś jeszcze nosa od kanclerza. Zresztą, taki pojedynek... Jakbym z tą szafą wojował! Eh!

Schöneich pokręcił głową.

— Co prawda, tych pojedynków trochę zagęsto. Jesteś strasznie drażliwy, Wentzel. Na twojem miejscu jabym, dla zatkania gęby natrętom, wszedł do izby i urządził codzień ruladę z Polaków. Masz porywającą wymowę.

— Ba, przy śpiewie, winie i kobietach, ale nie w waszym sejmie. Brr! co tam za nudy!

— Ha, to urządź krucjatę na Poznań.

— Do djabła z konceptami! Powiedz choć raz co rozsądnego.

— Wstąp do służby.

— Naprzykład do jakiej?

— Do dyplomacji. Jesteś na to stworzony.

— Skąd ten pewnik? — zaśmiał się Croy-Dülmen.

— Wyznaję, że to nie moje spostrzeżenie, ale Herberta. Wczoraj była mowa o ambasadorach u ministra W**. Stary, jak go znasz, facecista. „Poseł, powiada, powinien grać zawsze rolę kochanka. Kto się zna na galenterji i miłości, ten będzie doskonałym ambasadorem". A na to Herbert: „Poślijcie do Francji Wentzla Croy-Dülmen: nie będzie strachu o Alzację i miljardy! On wam Galję w róże uwieńczoną przyprowadzi do stóp! Dacie mu za to, zamiast pensji i orderu, kotyljon z paryżanek". Śmiano się z tego cały wieczór.

— Herbert radby mnie się pozbyć z Berlina.

— No, sądzę, iż przedewszystkiem z jednego pałacu Berlina. Biedaczko schnie z zawiści.

Croy-Dülmen ruszył ramionami.

— On zawsze ma gust na cudze. Póki wolne i nieogłaskane, milczy; gdy kto wyróżni i zdobędzie, wydziera włosy i szaleje. Z taką taktyką niedaleko zajedzie. On mnie ambasadorem, a ja jego zrobiłbym wielkorządzcą australijskich kolonij. Niech obdziera ludożerców!

Spojrzał na zegarek i poruszył się niespokojnie.

— Otóż, Michel, chciałem cię prosić, abyś na wypadek jakiej katastrofy ze mną popalił papiery w tem biurku co do jednego, bo widzisz...

— Widzę, że ci bardzo pilno mnie się pozbyć! *Zum Henker!* Te pamiątki nie zginą i ty także, bądź spokojny! Cha!, cha! Kręcisz się, jak fryga.

— Cóż chcesz, boję się spóźnić na pojedynek.

— Uhm, pojedynek, ale bez sekundantów. No, no, ambasadorze, ruszaj, ruszaj! Przyjdę wieczorem powitać cię zwycięzcą. Bywaj zdrów!

Po chwili sławne na cały Berlin taranty hrabiego stały u bramy hrabiny Aurory.

Ciocia Dora odprawiała koronkę, a piękna pani mówiła cała wzburzona:

— Wiesz, jeżeli ten błazen cię zadraśnie, to ja mu zrobię coś okropnego... ja, ja...

— Wypowiesz mu swój dom! — podchwycił hrabia.

— Wypowiem! — potwierdziła energicznie, jakby mówiła: poćwierutję go żywcem.

Szyderczy grymas przeszedł twarz Wentzla.

— Za taką ofiarę, mój skarbie, zachowam dla ciebie dozgonną wdzięczność — rzekł z całem przejęciem.

Dopiero w drodze do Kirschmühl pozwolił sobie w myśli na krytyczną uwagę:

— Ciekawym, coby Lidja zrobiła okropnego Wilhelmowi w razie mego zadraśnięcia. Pewnie pokazałaby mu język. No, no, już to te damy nie bywają rozrzutne w pamięci o pokonanych! Trzeba imponować, albo nie istnieć! Imponujmy!

Nie udało mu się tak, jak sobie tego życzył.

Obu przeciwników rannych odwieziono do domu. Baron miał przebite ramię i rozcięty szpetnie prawy bok. Wentzel dostał cięcie przez głowę; bił się jeszcze, ale krew mu zalała oczy, a przeciwnik omdlał. Obwołano hrabiego zwycięzcą.

Nędzny to był triumf. Szpada rozpłatała mu głowę i czoło do czaszki. Schöneich zastał go w szponach trzech chirurgów. Kłócili się po łacinie.

— Musi być znak — wołał jeden.

— Nie będzie, przy zimnych okładach — przeczyli dwaj drudzy.

Tu pacjent wmieszał się do rozmowy.

— Albo będzie, albo nie będzie. To się zobaczy przy końcu. Tymczasem róbcie początek, panowie.

— Rozsądne zdanie — potwierdził najstarszy medyk, przyjaciel domu hrabiego, zabierając się do roboty.

Schöneich powitał bohatera uśmiechem.

— Przyszedłem palić owe dokumenty — rzekł wesoło. — Czy ci nie wstyd dać się opiętnować?

— Odbiję się na Assenbergu. Nie nauczył mnie jednego pchnięcia, osioł!

— Przy twem amatorstwie, ufam, że się z czasem wykształcisz! Hu! Co za szczerba! Będziesz miał szramę na całe życie.

— Nie będzie, przy użyciu zimnej wody! — poczęli wołać medycy.

Staremu doktorowi Voss drgnęła ręka z irytacji. Wentzel skrzywił się z bólu.

— Czego się gapisz! — krzyknął na Urbana. — Idź i uspokój panią we frontowym domu.

— Jaką panią? — zagadnął, udając naiwnego Schöneich.

Ciocia Dora spędziła dzień we łzach i modlitwie. Gdy kareta wróciła z dworca i zatrzymała się u lewego skrzydła, a do niej nikt nie przychodził, przemogła wstręt, jaki czuła do tej części domu, i zbiegła sama po nowiny. Wszystkie drzwi zastała otworem. Służba była w ruchu. Dotarła niepostrzeżona aż do sypialni. Ujrzała swego chłopaka w pokrwawionej koszuli, wokoło krwawe szmaty, nad nim trzech rzeźników i Urbana, bladego jak ściana. Tylko Schöneich, rozparty w fotelu, kiwał się tu i tam, gwiżdżąc, — a sam ranny dowcipkował po swojemu.

Staruszka już miała wejść, już podniosła nogę, gdy ją przykuł do podłogi żartobliwy głos barona:

— Doktorze, zacerujcie gładko, żeby piękne usta nie obraziły się na szramach.

Ciocia Dora zatuliła uszy dłońmi i uciekła z tego piekła. W takiej chwili — taka mowa! O, czasy! O, młodzieży!

W chwilę potem Urban ją uspokoił ze strony hrabiego, ale ona nie zdecydowała się na powtórne odwiedziny. Miała dosyć próby.

Stary doktór postawił na swojem. Szrama została, pomimo zimnej wody i innych sposobów; rozcinała czoło wyraźną poprzeczną bruzdą.

Honor swój niemiecki opłacił Wentzel, a może piękne oczy nieznajomej dziewczyny odjęły mu zręczność i siłę.

Miał pamiątkę po owej burzliwej nocy. Klął ją w duchu, gdy wreszcie wygojony stroił się pewnego wieczora do teatru.

Doktór Voss zjawił się właśnie na zły humor, a nie wiedząc o tem, począł burczeć na wybryki. W rezultacie pokłócili się okropnie: medyk z całą flegmą, Wentzel z ogniem wcale nie germańskim.

Voss potarł swą górną wargę, co robił zawsze, gdy miał wygłosić ważne zdanie, i rzekł:

— Pan hrabia jest niecierpliwy, nierozsądny i nielogiczny... Typowy Słowianin.

Tego było zawiele. Croy-Dülmen skoczył, jakby skorpjona nadeptał.

— *Kreuzdonnerwetter!* — zaklął jak dragon — Jak mi pan jeszcze piśniesz słowo...

— To co? — prawił spokojnie medyk. — Ja się bić nie umiem, a spostrzeżenie fizjologiczne nie jest przecież obrazą. Pan hrabia rodzi się z Polki, to pewnik; że ród matki spływa bardzo silnie na dzieci, to drugi pewnik; a że pan bardzo do matki podobny, to trzeci! *Dixi.*

— A ja *dixi*, że wasze fizjologje to brednie, a wy sami stado warjatów! Jestem Niemiec, i basta!

— Po ojcu prawdopodobnie!

— Jakto prawdopodobnie? — krzyknął młody człowiek, czerwieniejąc z pasji. — Śmiesz o mojej matce mówić podobny frazes!

— Mówię: prawdopodobnie, bo pani hrabina była Polką, a tamte kobiety są do prawdy podobne. Nasze damy — to co innego. Żeby, naprzykład, hrabina Carolath miała syna, powiedziałbym...

— Daj mi spokój z hrabiną Carolath! Nie ciekawym tego, co powiesz! — przerwał niecierpliwie

hrabia — Idę do teatru. Zeszpeciłeś mnie na wieki, a teraz prawisz brednie, które ci tylko dlatego darowuję, żeś stary! Niech piekło pochłonie chirurgję! Z wami razem, naturalnie! Urban, konie!

W teatrze piękny panicz w krzesłach i piękna pani w loży zamienili krótkie, ale wymowne spojrzenia. Nie było na nic więcej czasu; koledzy wzięli w swój środek Wentzla; układano kolację z aktorkami.

Dopiero w antrakcie hrabina Aurora zwróciła swój śliczny profil do drzwi loży i powitała wchodzącego uśmiechem syreny.

Tysiące oczu patrzyło na nich, więc on się ukłonił głęboko i usiadł naprzeciw niej.

Wyglądali tak niewinnie, jak stary radca z sędziwą ochmistrzynią dworu — zrobił półgłosem uwagę Wentzel

— *Mauvais sujet!* — upomniała go za koncept. — Czy wiesz, że ci ładnie z tą blizną, *heros balafré*. Ale bić się nie było o co, doprawdy! Wiesz, ja bardzo lubię Polaków.

— Jakbyś znała choć jednego.

— No, chociażby ty, przez pół.

Rzucił się niecierpliwie.

— Znowu! Ja się dziś wścieknę chyba! Ja nie jestem, nie będę, nie chcę być Polakiem! Co sięludziom dzieje! Sprzysięgli się mnie torturować!

— A to się nie broń, jeśli chcesz, żeby ci dali pokój! *Le grand malheur!* Pogadają i ucichną. A jak będziesz się afiszował niemczyzną, to ci na złość będą dowodzili, żeś Polak z krwi i kości.

Pierwszy raz i zapewne jedyny, zrobiła hrabina Aurora tak trafną uwagę, ale to nie rozmarszczyło czoła młodego człowieka.

Nie znalazł dla niej uśmiechu, gryzł niecierpliwie wąsy i kręcił brodę.

Trąciła go nieznacznie pantofelkiem.

— Powiem ci coś niemiłego, jeśli mnie nie będziesz bawił. Patrz, ty specjalisto od ładnych twarzyczek, kto to nowy w loży naprzeciw? Co za pyszne opale. Mówią, że to kamienie, *qui portent malheur!* Znasz tę damę?

Hrabia machinalnie podniósł oczy, spojrzał we wskazanym kierunku i aż się cofnął z podziwu. Dama w opalach nie był to nikt inny, tylko jego nieznajoma.

Ruch nie uszedł oka hrabiny.

— *Ah, comme tu prends feu!* — rzekła z dąsem.

— Nie wiedziałaś o tem? — spytał z lekką ironją.

— *Monstre!* — kopnęła go znowu pantofelkiem — Znasz tę damę?... Skąd ona?

— Z San Marino.

— Gdzie to jest? Na prowincji? We Włoszech?

— A gdzieś tam blisko! Nie pamiętam.

Opędzał się od pytań, a oczu nie spuszczał z loży naprzeciw.

Nieznajoma nie była samą. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn; jeden stary, siwy, — drugi młody, blondynek, z jeżowatą czupryną i swawolą w siwych oczach. Rozmawiali z sobą poufale, i — o, dziwo, — obywatelka spartańskiej republiki uśmiechała się lekko niekiedy, a chłopcu iskrzyły się do niej źrenice i co chwila błyskały białe zęby w serdecznej, ochoczej wesołości.

Wentzel Croy-Dülmen wciąż patrzał, znosząc obojętnie impertynencje obrażonej hrabiny. Tupała nóżkami z wściekłości.

— *Tu es d'une grossièreté horrrrible!* Idź przynieś mi cukierków! Nie połykaj jej oczami! Nie puszczę cię! Nie masz prawa tam iść, rozumiesz? Nie pozwalam! Zresztą tam niema miejsca dla ciebie. Ten blondynek...

— Auroro! — szepnął z wyrzutem.

— Gdzieś ją poznał? Mów! Że też tobie żadna nie ujdzie! Ach, wpakowałabym cię z przyjemnością na statek admiralski z zakazem odwiedzania portów! Co to za jedna?

— Obywatelka rzeczypospolitej San Marino.

— *Tu es stupide* z tą twoją rzecząpospolitą!

— Cóż robić! Nie mogę cię lepiej objaśnić, bo sam więcej nie wiem!

— A ja ci mówię, że to nie żadne San Marino. To jest niezawodnie ktoś z Polski. *Ces Slaves ont leur type à part.* Wiesz, że ona nawet do ciebie podobna.

Nareszcie znalazła hrabina sposób na swego kochanka. Spojrzał na nią piorunującym wzrokiem wziął kapelusz, ukłonił się i wyszedł. Była pewna, że już nie spojrzy na lożę.

Po chwili ujrzała go w krzesłach. Istotnie nie patrzał ani na prawo, ani na lewo, ale na scenę. Zdawał się zajętym jedynie sztuką. W drugim antrakcie przysłał jej stosy cukrów, sam poszedł na cygaro z kolegami. Nie wspomniał o damie w opalach, ale inni już ją spostrzegli.

— Alzatka! — zdecydował Herbert.

— Mniejsza skąd, alę piękna. Co za szyk królewski!

— Wertheima nie było. Leczył się jeszcze — więc Wentzel ze swą znajomością się nie pochwalił. Co prawda, nie było tak bardzo czem.

Przypuszczenie Herberta uderzyło go.

— Byłeś w Alzacji? — zagadnął.

— Dwa miesiące, z komisją rewizyjną.

— Uhm, rewidowałeś! — wtrącił po swojemu półgębkiem Michael von Schöneich.

W głowie Wentzla tworzył się awanturniczy projekt. Odszukać ją, poznać się i rzucić w oczy kolegów Cezarowem: *veni, vidi, vici!* Z nad Renu do Alzacji był krok jeden, a reszta fraszki!

— Za pół roku ona będzie moją! — rzekł lekceważąco.

Herbert natychmiast nadstawił uszu. Chwytał w lot każdą inicjatywę.

— Albo moją! — zawołał.

— Nie! — poprawił Wentzel — Moją albo niczyją!

— *Pari?*

— Zgoda! O co?

— O twego „Scherza"!

— I o twego „Fingala"!

— A ja trzymam, że obydwa zjecie po mydełku — ozwał się Schöneich. — Stawiam swoją czwórkę, ale zabiorę waszego „Scherza" i Ossyanowego bohatera; każę jutro zacząć rozszerzać stajnię.

— Skąd ta pewność, Michael?

— Popatrzcie jej w oczy, to się dowiecie! No, idę do hrabiny Aurory z wizytą. Będę pocieszał.

— Albo jej trzeba pociechy? — zagadnął łakomie Herbert, jak zawsze gotów korzystać z cudzego projektu.

— I bardzo. Wielka burza opadła fregatę admiralską koło Ziemi Ognistej.

— To i ja pójdę z tobą!

Po skończonej sztuce Wentzel z Herbertem spotkali się na chodniku przed teatrem.

— Widziałeś, dokąd pojechała? — zagadnął Croy-Dülmen.

— Wiesz, nie; byłem zajęty. Nie uważałem.

Obadwa okłamywali się bezczelnie. Śledzili piękną nieznajomą, ale im uszła w tłumie i znikła. Była to dla Herberta pierwsza, dla naszego bohatera druga porażka. Nie zwątpił jednak o sobie, ruszając z dobrą miną do restauracji.

Bankiet się przeciągnął do rana.

III.

Ciotka Dora von Eschenbach po raz pierwszy w życiu zgodziła się ze zdaniem siostrzeńca.

Było to nazajutrz. Hrabia zjawił się o południu, zhulany, blady, ziewający pomimo wiosennego słońca. Wyglądał jak uosobienie swawoli i nadużycia.

— Co ciocia zamierza robić latem? — spytał. — Bo przecie na bruku tutaj siedzieć niepodobna. Kto żyje, wyjeżdża.

— Wybieram się w odwiedziny do majora.

— Czemuż nie do Dülmen? Pocóż egzystuje to zamczysko? Wydaję rok rocznie parę tysięcy marek na reparację. Niechby ciocia obejrzała zbliska gospodarstwo pana rządcy.

— A ty się tam nie wybierasz?

— Ja, ciociu, mam na to lato wyżej głowy zobowiązań, ale dla cioci poświęciłbym chętnie wiosenne wyścigi. Mogę towarzyszyć do Dülmen.

— Mój nieoszacowany, kochany chłopaku! Za tę przyjemność, zrobioną starej, spotka cię wielkie szczęście. Zobaczysz!

— Bodajem tylko zobaczył! — pomyślał hrabia, nie przeczuwając, że w głowie ciotki owo szczęście miało już określony wiek, postać, imię i nazwisko,

co wszystko razem składało nadobną Emilję Koop, jedyną córkę majora.

Oddawna upatrzyła ją sobie ciocia Dora na anioła-stróża dla swojego jawnogrzesznika; projekt był gotów, opracowany w najdrobniejszych szczegółach; brakowało jednej małej rzeczy — zgody Wentzla, ale ciocia Dora wierzyła w cuda. Każda rzecz wydawała się jej możliwa.

A ofiara nieopatrznie szła na zastawioną wędkę.

Po tygodniu pałac Pod Lipami opustoszał. Konie odprawiono do dóbr, służba w części pojechała nad Ren, pozostali włóczyli się po bawarjach, firanki były spuszczone, szwajcar drzemał w swej loży.

Za to Dülmen zawrzało ruchem. Na baszcie, co spoglądała w sine wody Renu, wiatr rozwiewał herbową chorągiew, po dziedzińcach rżały konie, skomliły ogary, biegali tu i tam masztalerze i lokaje. Rządca zaprzestał wieczorów w miasteczku przy piwie, nie chodził, podśpiewując, z fajką w zębach i nosem zadartym. Zmalał, skurczył się, schudł; z oczu pana zgadywał myśli.

Do kaplicy ciocia Dora sprowadziła kapelana i śpieszyła, ile mocy, z wykończeniem swej złotej stuły na ślub wychowańca.

Intryga szła jak po maśle. Wentzel sumiennie odwiedzał opiekuna, major urządzał na jego cześć polowania i pikniki; wesołe życie stolicy i ogólne uwielbienie szło w ślad pięknego panicza. Wiejskie piękności nie umiały ukryć swego zachwytu; panowie okrzyczeli go pierwszym dżentelmanem i wzorowym kolegą.

Gdzie się pokazał, zwracał wszystkie oczy. W walcu czy na koniu, przy bankiecie czy na łowach — był niezrównany.

Do doskonałości brakło mu, wedle majora i ciotki, tylko żony.

Po dwóch tygodniach wiejskich wakacyj panna Dorota von Eschenbach uznała, że wpływ przyrody i wiosny musiał dostatecznie podziałać na umysł hrabiego; wyobrażała go sobie sielankowo rozmarzonym — i pewnego wieczora zaprosiła się z robótką na gawędę do mieszkania młodego człowieka.

Wieczór istotnie był romantyczny. U stóp zamczyska Ren szumiał, przez otwarte okna wdzierał się pachnący powiew wiatru i zaglądał sierp nowiu. Wentzel leżał na kanapie, palił cygaro i gwizdał „Loreley"; o kim myślał przy owym śpiewie, można się domyśleć.

Panna Dora, odchrząknąwszy, zagaiła rozmowę:

— Czy nie myślisz posłać jutro bukietu Mili Koop? Są przecudne azalje.

Hrabia się ocknął, jak ze snu.

— Bukiet majorównie? Czy ona się jutro konfirmuje? — zapytał.

— Ale co ty gadasz! Wszakże to dorosła panienka!

— Przerosła! — mruknął.

— Jakto? Sam kwiat!

— Nie uważałem. One tu wszystkie dziwnie do siebie podobne. Różowe, białe...

— To ładnie!

— Uhm! Czy ciocia jeszcze stuły nie skończyła?

— Będzie na czas, chłopaku, będzie! — zaśmiała się, kiwając głową.

— To mnie najwięcej obchodzi. Ale nie rozumiem ochoty ślęczenia nad podobnem głupstwem. Czemu ciocia lepiej nie strzela do celu?

— Fi! — strzepnęła rękami staruszka! — Więc bukietu nie zaniesiesz, Mili?

— A to po co?

— No, przecież major twój opiekun!

— A no, to jemu się należy bukiet.

— Rodzicom najlepiej odsłużymy się w dzieciach. Przez pamięć na staranie majora warto zająć się córką. Ty tak umiesz być miłym, gdy chcesz.

Ciocia Dora osładzała pigułkę tysiącem pieszczotliwych uśmiechów i spojrzeń.

— Co ciocię tak zajmuje major i jego familja?

— Mój Wentzel, to są ludzie rzadkich przymiotów. Mila jest wzorową córką, gospodynią, wykształcona, ładna, czuła...

— O, i bardzo! — wtrącił hrabia,

— W jej ręce może każdy złożyć z ufnością honor domu. Potrafi stworzyć ognisko, zająć się porządkiem, nie shańbi nazwiska, a mężowi da szczęście, spokój, dzieci uczyni dobrymi chrześcijanami i patrjotami....

— Ciociu, proszę tchu nabrać! Ta tyrada grozi zapaleniem płuc. Wierzę ślepo w doskonałości panny Koop; obowiązuję się, przez wdzięczność dla majora, wystawić jej pomnik na rynku w Dülmen i wypisać to wszystko na marmurowej płycie.

— Możesz zrobić coś lepszego, co uszczęśliwi ją, ciebie, mnie i majora: ożeń się z nią!

— Tylko tyle! Odrobina! — zaśmiał się szyderczo.

— Pewnie, że to nic wielkiego. Major przyjmie cię z otwartemi ramiony, a Mila...

— Panna także ramion nie odmówi.

— Mila cię pokocha.

— O tem nie wątpię!

— Więc cóż, zgoda? — spytała ciocia Dora, wstając nawpół.

Hrabia się przeciągnął, ulokował wygodniej na kanapie i ziewnął nieznacznie.

— Proszę mi powiedzieć, ciociu, skąd ten gust do swatania? Ojciec mój nie był szczęśliwy w małżeństwie.

— Źle wybrał, źle wybrał! Nie słuchał mnie! — wołała żywo.

— Ciocia sama nigdy nie była zamężną...

— Ach, co tam mnie wspominać!

— Bo ciocia jest dla mnie ideałem. Ożenię się z ciocią, albo z nikim. To moje ostatnie słowo!

Na to niespodziewane zakończenie staruszka podskoczyła w fotelu, poczerwieniała i zbladła, upuściła z rąk robotę.

— Wentzel — zawołała zgorszona.

— Tak jest, ciociu! *Tod oder Turondot!* Bezkarnie się nie obcuje z idealem. Przysiągłem sobie ciocię zbałamucić: to mój cel i marzenie.

Panna Dora poczęła dygotać jak w febrze. Trzęsły się jej siwe loki, i bezzębne usta, i ręce ociągnięte w mitenki. Z nosa osunęły się okulary.

— Fi, fi, fi! — zawołała zdyszana — Oto za moje starania i poświęcenia! Wstydź się, takie słowa do mnie... Żaden mężczyzna nie śmiał! Fe, obraza Boska! Jesteś, doprawdy, zuchwalec, lekkomyślny młodzik! Umywam ręce. Bóg świadkiem, chciałam cię ratować, zatrzymać na drodze zatracenia. Pozwalasz sobie na nieprzystojne rozmowy... fi, szkaradne! I ty mówisz o marzeniu! Kłamstwo! Ty nie wiesz, co to marzenie!

Podczas tego wybuchu panna Dorota cofała się do drzwi. Przy ostatnich słowach znikła za portjerą, żegnając zuchwalca ruchem pełnym wzgardy. Pozostał sam.

Pusty śmiech, który hamował całą siłą, rozrywał mu piersi. Wychylił się za okno i puścił wodze wesołości.

— A to mi się udało! Ciocia wyperswaduje sobie matrymonjalne zaczepki. Cha, cha, cha! Przebiła się własnem ostrzem! Przysięgnę, że uwierzyła w połowie i będzie mnie unikała jak złego ducha. Drzwi zatarasuje! Co za oburzenie niebotyczne! A ten gest ostatni: „ty nie wiesz, co to marzenie!“ Cha, cha, cha! Jakby kobiety dały czas na marzenie... Spojrzysz, już ją masz! Kto mnie miał czułości i sentymentalizmu nauczyć???

Rozejrzał się po niebie i ziemi. Błyszczące w księżycu fale rzeki wzbudziły mu obraz jasnowłosej czarodziejki.

— Pięknieby mnie Aurora przyjęła, gdybym jej marzenie zaproponował; albo Lidja, czy baronowa Liza! Miałbym się z pyszna! Cha, cha! No, spaliłem mosty za sobą. Nie pokazywać mi się przed oczy cioci! Cóż robić teraz?

Znowu spojrzał w nocny krajobraz i półgłosem nucić począł:

Zum Rhein, zum Rhein, zum deutschen Rhein,
Wer will des Stromes Hüter sein!
Lieb Vaterland, magst ruhig sein,
Fest steht und treu die Wacht am Rhein!

— Istotnie, siedzę tu jak szyldwach w tem zamczyszku! Do djabła patrjotyzm! Zostawię posterunek cioci w wierne ręce! A żeby też spróbować szczęścia

na tamtym brzegu. Hm... piękna nieznajoma, kto wie czy nie sprzeniewierzy się swej nienawiści. Byle ją odszukać. Urban!

Factotum wyrósł jak z pod ziemi.

— Pakować! Jutro jedziemy do Kolonji.

Wentzla czyn od myśli był bardzo niedaleko.

Nazajutrz ciocia Dora otrzymała przez lokaja wonny opoponaxem bilecik hrabiego:

„Ze skrwawionem sercem i rozdartą duszą odjeżdżam! Tak srogiego wyroku znieść nie jestem w stanie. Słowa cioci były płomieniem, co mi duszę oczyścił. Będę się uczył marzyć, działać i pokutować. Jeżeli nie wrócę więcej, to proszę mnie w swych modłach nie omijać. Odjeżdżam złamany, z rozpaczą w sercu.

Biedny Wentzel".

— Co to jest? — wrzasnęła staruszka — Gdzie hrabia?

— Wyjechał dziś rano — oznajmił sługa.

— W którą stronę?

— Na stację kolei. Konie już wróciły.

— *Oh, Herr Jesu!* Okropność! Gdzie Urban?...

— I Urbana niema.

— Niech Fryc siodła! Pojedzie do majora. Dam mu list.

Goniec poleciał cwa'em. Pod wieczór major się zjawił, cały wzburzony.

— *Alle Wetter!* — klął na wstępie. — Cóż to znowu przystąpiło do tego junkra!

— Ach, majorze, straszny cios nas dotknął...

— Do rzeczy, do rzeczy! Krótko i węzłowato! Pani pewnie coś zmalowała nie w porę!

— Ale gdzież tam! — Panna Dorota załamała ręce. — Przemówiłam do jego rozsądku i serca o naszej Emilci.

— No, a on co na to? Uciekł, *der Schurke*.

— Uciekł dzisiaj, a wczoraj... a wczoraj...

— Cóż wczoraj?

— Wczoraj oświadczył się o mnie!

— *Potztausend!* Zwarjował — huknął major, wytrzeszczając oczy.

— Zwarjował — potwierdziła cicho, jak tchnienie, skonfundowana panna Dorota.

— A to nam się udało! Gdzież pojechał?

— Nie wiem! Straciłam głowę!

— W to wierzę, *schwere Not!* A to kawał wisielca! Zostawił list może? Cóż tam stoi?

— Przeprasza, obiecuje poprawę i zmianę. Prosi o modły.

— Tfu! Może obiecuje do klasztoru wstąpić? Będzie się biczował w Biarritz przy hrabinie Aurorze! *Halunke!*

— Majorze! Co za mowa nieprzystojna! Kto wie, kiedy dobre natchnienie ogarnie człowieka?

— Co mi pani bredzi! Wentzel urodził się na wisielca i będzie wisiał. Natchnienie... to mi się podoba. No, teraz go straciliśmy na wieki! Taki piękny projekt djabli wzięli. Miła się rozkochała, majątki graniczą, królewska fortuna! Czy ten błazen się kiedy nad czem zastanowi, porachuje, pomyśli sekundę porządnie! Wiatr i koniec. Traci zdrowie, młodość, fundusz! Kpi ze starych! Hej tam, lokaje! Posłać kogo na stację, niech spyta: dokąd hrabia brał bilet!...

Po godzinie masztalerz wrócił. Hrabia wziął bilet do Francji.

— A co! Oto i natchnienie! Poleciał hulać do Paryża — huczał w pasji bas majora.

— Dlaczego zawsze złe posądzenia? — przeczył dyszkancik cioci Dory.

— Bo są fakta.

— Może się zmienić.

W rezultacie rozjechali się w gniewie i zerwali stosunki.

Panna Dorota odczytywała codzień list grzesznika i pracowała fantazją. Po miesiącu wypisała sobie klerykalną francuską gązetę i szukała pilnie, czy gdzie nie znajdzie wiadomości o Kartuzach i nazwiska Wentzla w nowicjacie.

Z tego wynika, że wyobraźnia cioci Dory pracowała i za rozum, i za logikę, i za zdrowy sens. Umiała robić sto mil na godzinę. Ale o pięknym paniczu zaginęły wieści.

IV.

W jednym z najszykowniejszych klubów berlińskich zebrało się pewnego wieczora na obiad grono wesołej młodzieży.

Była to jesień. Panicze zbierali się zaledwie — jeden z dóbr, drugi z wyścigów w Baden, trzeci z morskich kąpieli, inny z feryj parlamentu. Więc i rozmowa skakała z przedmiotu na przedmiot: wyścigowce, psy, ostatnia komedja, modna śpiewka, anegdota zakulisowa scenka miłosna z podróży, *trente et quarante*, głośna sprawa kryminalna. Każdy dorzucił słowo, dwuznacznik, żart; kielichy krążyły gęsto, po deserze zapalono cygara i papierosy. Michael von Schöneich, rozparty w rogu stołu, kręcąc wąsiki i uśmiechając się z dyskretną ironją, studjował kolegów przez szkła swych impertynenckich binokli. Przy uczcie grał zawsze rolę tureckiego pieprzu. Nazywano go nawet papryką. Tego dnia był wyjątkowo lakonicznym — zwrócił uwagę Herberta, który koncepty młodego dyplomaty zbierał starannie i nazajutrz produkował za własne.

Schöneich wiedział o tem, i każdy swój żart zaczynał od słowa: Herbert mówił...", zwiększając jeszcze owym wstępem wesołość towarzystwa.

Herbert siedział naprzeciw, a obok niego średnich lat mężczyzna w marynarskim mundurze.

Był to szczęśliwy małżonek hrabiny Aurory Carolath, przybyły na krótki urlop z archipelagu Ladronów.

Małżeńska wizyta udała się niefortunnie. Żona dotąd bawiła w Biarritz; admiralski list i codzienne depesze nie robiły na niej żadnego wrażenia. Nie raczyła nawet odpisać.

Owych dwóch naprzeciw siebie oglądał Schöneich z miną amatora inwentarza. Nosili niezawodnie w jego myśli zoologiczne określenia.

— Czy ci dziś braknie konceptu, Michael? — zagadnął ktoś z boku.

— Słucham, czy nie posłyszę wieści o Wentzlu. Przecie go ktoś z was musiał spotkać.

— Nie było go w Baden. Konie jego wzięły tam trzy nagrody.

— Zapraszałem go na polowanie... Żadnej odpowiedzi.

— Nie spotkałem go w Ostendzie.

Podniósł się chór głosów.

— Szczególne! Poleciał chyba na księżyc, bo i w domu panna Dorota go opłakuje.

— Jesteśmy obadwaj poszkodowani, panie baronie — wtrącił markotnie admirał. — Pan szuka przyjaciela, a ja się nie mogę żony doczekać...

— Uhm... te obie zguby pewnie się znalazły — pomyślał Schöneich.

— To jednak osobliwość! — zawołał Herbert — Przez cztery miesiące Wentzel nie zrobił głośnej awantury. Ani jednego pojedynku.

— Nikt go nie zaczepił z polskiej strony, jak ja! — zaśmiał się Wilhelm Wertheim.

— Może się ożenił i święci miodowy miesiąc!

— To ostatnie nadzwyczaj prawdopodobne! — potwierdził szyderczo Schöneich.

Wszyscy wybuchnęli homerycznym śmiechem.

— Może umarł!

— Pewnie pojechał do Konstantynopola!

— A może go pan, hrabio, spotkał na Ladronach?

Robiono coraz dziwniejsze przypuszczenia.

— A ja wiem, co się z nim stało! — ozwał się Herbert, wydymając się jak paw.

— No, no, że też ty coś wiesz nowego! — szydził Schöneich.

— Przegrał zakład ze mną. Wstydzi się pokazać i żałuje „Scherza".

— Jaki zakład?

— O piękną damę, kiedyś, w teatrze.

— Aha, na wiosnę... Ta w opalach! Wiemy wiemy, Znalazłeś ją? Słuchamy!

Herbert uśmiechnął się triumfująco. Wypił kieliszek wina, rozparł się jak basza i odchrząknął do narracji. Schöneich odchrząknął także.

— Było to w Ems...

W tej chwili za drzwiami rozległo się szastanie lokajów i głos rozkazujący:

— To dobrze. Otwieraj!

Herbert zamilkł. Na progu stał Wentzel Croy-Dülmen we własnej osobie.

— *Prosit-Mahlzeit!* — powitał wesoło.

— Aaaa! — rozległo się na wszystkie tony.

Porwano się gromadnie z powitaniem. Dobry kwadrans krzyżowały się wykrzykniki, pytania, śmiechy, koncepty; potem usadowiono ulubieńca na honorowem miejscu i zaczął się formalny szturm ciekawości.

Schöneich zrzucił binokle, oparł łokcie na stole, oglądał przyjaciela od stóp do głowy; sam nie badał, ale słuchał, obserwował, kiedy Wentzel kłamał, czy prawdę mówił. Podrzucał co chwila nieznacznie jakiś dowcip.

Admirał pierwszy przyszedł do słowa:

— Czy nie spotkał pan przypadkiem mojej żony? — zagadnął naiwnie.

— I owszem. Miałem przyjemność podróżowania jednym pociągiem — odparł spokojnie.

— Czyż tylko jednym pociągiem? — zamruczał Schöneich.

— Jakto! Kiedyż pan wrócił?

— Przed godziną. Ledwiem się przebrał i rozmówił ze Sperlingiem, i oto jestem.

— Więc Aurora już jest?

— Jest i czeka pana niecierpliwie.

— Uhm, niezawodnie! — burczał gdzieś w pobliżu niemiłosierny dowcipniś.

Admirał rzucił cygaro na obrus, zapomniał rękawiczek, nie wziął reszty z pieniędzy i wyleciał, ubierając się na schodach.

Za nim pogonił grad dowcipów.

— Pośpiech wart szczęśliwszych rezultatów. Fregata zawija do portu w archipelagu wysp Złodziejskich, po hiszpańsku Ladrony! — objaśniał serjo baron.

Wentzel z miną niewiniątka spożywał obiad. Opadnięto go znowu, na wyścigi.

— Coś porabiał tyle czasu? Można było podbić Europę!

— Objechać kraj cały! Napisać strategiczne dzieło!

— Posądzają, żeś się ożenił, żeś się sturczył, żeś umarł nawet!

— Lidja lada dzień...

— Co lada dzień? — przerwał niespokojnie.

— Lada dzień wypowie ci służbę. Urlop jej się sprzykrzył! — krzyczał Herbert.

— Czemuś nie przyjechał na polowanie?

— Znalazłem dziś zaproszenie na biurku.

— Gdzież ciebie szatan nosił?

Wentzel zaspokoił głód i pragnienie — zabrał głos.

— Byłem, koledzy, w srogich opałach. O mało mnie nie ożeniono.

— A to gdzie?

— Nad Renem.

— Pewno z Emilją Koop! — zawołał Schöneich.

— Naturalnie. Czy ciebie ciotka wtajemniczyła?

— Jakżeś się obronił?

— Uciekłem i schowałem się we Francji.

— Aha, żeglowałeś po admiralskiem morzu!

— Broń Boże! Studjowałem naszych sąsiadów.

— Kierujesz się na ambasadora, wedle mojej rady. Winszuję.

— Nie, mam zamiar wydać dzieło statystyczne!

— O pięknych damach! No, no, te sąsiedzkie studja musiały cię słono kosztować.

— Ani grosza. Jeździłem od miasta do miasta, od domu do domu prywatnemi ekwipażami.

— W roli sąsiada?

— W roli stroiciela fortepianów. Czegóż się śmiejecie? *Mein Wort!* Miałem kamerton i klucz.

— Cha, cha, cha! A toś im urządził instrumenta! Pyszny koncept! — śmiał się Herbert.

— Zostawiam ci go do dyspozycji w razie potrzeby.

— I twój Urban stroił fortepiany?

— Urban udawał, że ma niezawodny sposób wypędzania szczurów. Ladaco, jeszcze się obłowił. A ja przywiozłem trzysta franków cioci Dorze, jako trofea mych trudów. Żebyście ją widzieli w tej chwili! Radziłem za ten kapitał nabyć chińskie dziecko!

— Gdzież się zjechałeś z admirałową?

— Po drodze, wypadkiem. *Mein Ehrenwort!*

— Chcemy wierzyć, chcemy! — kiwał głową Schöneich. — A wiesz, co się tymczasem stało z twym „Scherzem"?

— Pochwalił mi się dżokej, ledwiem wysiadł w domu. Wygrał 25,000 w Baden.

— Uhm?... To i koniec. Herbert dowodzi, że koń już jego.

— Jego? A to jakim sposobem?

— Znalazł piękną nieznajomą.

— Cooo?... Herbert! *Potz Blitz!* Gdzie? Jak?...

— Było to w Ems... — zaczął dumnie triumfator.

— W Ems?... Ty tam jeździłeś?...

— A tak. Towarzyszyłem pani...

— Mniejsza, komu towarzyszyłeś. Więc ta dama była w Ems na kuracji? Kto ona? Włoszka?...

— Ale gdzież tam! Poddana pruska z Poznania.

— Taak? Nie może być!

— Ależ niezawodnie. Czytałem w spisie gości...

— No, no, do rzeczy! Nie kłóćcie się. Polka czy Hotentotka, dość, że kaducznie piękna! Wygrałeś zakład? Posiadłeś jej serce?

— Tak prędko?! Zawiele wymagasz!

— Dostałeś pocałunek?

— Nie, tak dalece...

— Uścisk dłoni, spojrzenie, obietnicę?

— Nie.

— Cóż pleciesz o wygranej?

— Bo jestem na drodze do wygranej. Znalazłem ją; wiem, jak się nazywa, gdzie mieszka; posłałem jej bukiet z cyklamenów...

— Który przyjęła?

— No, nie... odesłała...

— A to dopiero droga szczególna do wygranej! Jesteście obadwaj fryce. Zabieram sobie „Scherza" i „Fingala". Wentzel stroił fortepiany, a ty posyłałeś bukiety... nieprzyjęte. Istotnie, rozultat zdumiewający!

— Powoli, powoli, powoli Michael! — zawołał Croy-Dülmen. — Jeszcze termin nie upłynął. Niech Herbert powie, co zdziałał.

— Przecie już słyszałeś. Dostał figę.

— Dostałem fotografję! — pochwalił się właściciel „Fingala".

— Pokaż, pokaż! — zawołali wszyscy.

Herbert dobył z pugilaresu ozdobną kartkę! Tak, była to ona, ta sama cudownie piękna dziewczyna o dumnych ustach i poważnych, głębokich oczach.

Schöneich z kolei wziął fotografję, obejrzał i ruszył ramionami.

— I takiej ty posyłasz bukiety! Przyznaj się, że i tę podobiznę kupiłeś u fotografa.

— A no, prawda! Przecie nie mogłem prosić, bo...

— Boś jej głosu nie słyszał.

— Owszem, ale mówiła do swej towarzyszki.

— Więc była i eskorta?

— A jakże. Stara, okropna megera, w przeraźliwej żałobie. I panienka ubierała się czarno. Chodziłem za niemi jak cień i może wreszcie znalazłbym

sposobność poznajomienia się choć z trudem, bo ci Polacy trzymają się klanem, gdyby nie to...

— Żeś usłyszał impertynencje...

— Ale gdzież tam! Na domiar nieszczęścia, pod koniec sezonu przyjechał do nich jakiś facet, jak siarka chłop, i nie odstąpił na krok.

— Pewnie narzeczony.

— Nie, krewny. Nazywali się po imieniu.

— No, więc ty go wyzwałeś i zabiłeś...

— Jakże bez powodu? Dałem za wygraną i wyjechałem, ale mam plan obmyślony, niezawodny.

— Ciekawym usłyszeć ten twój plan pierworodny! — szydził Schöneich.

Croy-Dülmen zrazu słuchał zawstydzony.

Herbert pokazał się rozumniejszym od niego.

Była to hańba, skaza na opinji.

Ale w miarę opowiadania uspokoił się zupełnie. Przeciwnik, wedle wyrażenia barona Michała, zjadł mydło. Więc hrabia uśmiechnął się lekceważąco, sięgnął po ananas z kosza i począł go krajać na wety. A Herbert roztaczał swój plan.

— Jadę do Poznania, kupuję w sąsiedztwie majątek i zaczynam się starać według wszelkich form. W ostateczności gotówem się ożenić.

— Jeżeli cię zechcą! — mruknął Schöneich.

— Mnie?! — oburzył się magnat.

— Żebym był panną, tobym odmówił.

— Ktoby tam tobie proponował!

— Możem nie ładny, nie szykowny?

— Śliczny! — parsknął śmiechem Wentzel. — Jakże się wabi ta piękna Polka, Herbercie?

— Jadwiga.

— One wszystkie widocznie Jadwigi.

— Alboż znasz więcej tego imienia?

— Moja matka była Jadwiga — mruknął niewyraźnie, spuszczając oczy nad talerzem.

— Nazwisko dzikie, trzeba się zakrztusić: Chrząstkowska...

— Jak? Co?

Hrabia upuścił nóż na stół; twarz jego wyrażała okropne zdumienie i komiczny przestrach.

— Chrząstkowska! — powtórzył Herbert, kalecząc niemiłosiernie wyraz i krzywiąc się, jakby jadł cytrynę.

— A ten młody, co jej towarzyszył, także Chrząstkowski?

— Zdaje mi się.

— Jan?

— Skądże mogę wiedzieć? Co tobie?

— *Verflucht, verdammt!* — krzyknął hrabia, zrywając się na równe nogi. —Bywajcie zdrowi!

— Sfiksował! — wołał Schöneich.

Jak admirał, Wentzel nie wziął reszty; z paltotem dogonił go lokaj na schodach; kapelusza zapomniał. Jak szalony wyleciał na ulicę.

Taranty stały przed bramą. Skoczył do karety.

— Do pana Sperlinga! Galopem!

Konie pognały jak wicher, krzesząc iskry z kamieni; latarnie migały jak błędne ogniki, stangret bezustannie krzyczał: baczność! — policjanci daremnie wołali, — konie niosły, aż na drugi koniec miasta, gdzie mieszkał plenipotent hrabiego, młody jurysta, kolega z uniwersytetu.

Wentzel wyskoczył w biegu, zginął w bramie.

— Jest pan Sperling? — spytał szwajcara.

— Nie wychodził, a może nie wrócił.

— Cóżeś robił, słomiana lalko? — zawołał panicz groźnie i ruszył na schody, skacząc po cztery stopnie.

Od urodzenia tak się nie zmęczył i od urodzenia nie odwiedzał plenipotentów — dawał im audjencję u siebie w pałacu. To też, gdy zadzwonił — Sperling, otwierający zamiast lokaja, aż się cofnął z podziwu.

— Pan hrabia? Co się stało?

— Gdzie listy, któreś dziś ode mnie zabrał?

— Są u mnie.

— Pokaż ten z dzikim podpisem, z Poznania, gdzie pytają o metrykę mej matki.

— Zaraz, proszę do gabinetu.

Weszli do izdebki, zawalonej foljałami; przy biurku pisała młoda kobieta.

— Moja żona, hrabia Croy-Dülmen, — przedstawił adwokat, a potem, zwracając się do niej, spytał: — Gdzie są listy hrabiego, Lili?

Kobieta w milczeniu podała pakiet, skłoniła się i wyszła.

Sperling przerzucił zwitek, Wentzel targał wąsy. Nareszcie znaleziono kwestjonowany list. Nosił adres pałacu „Pod Lipami" i pisany był złą niemczyzną. Hrabia go znalazł w stosie innych na biurku, odczytał, a ponieważ był w interesie prawnym, polecił odpowiedź Sperlingowi. Teraz porwał go gorączkowo i przeczytał raz, drugi; zawierał co następuje:

„Szanowny Panie! W imieniu pani Tekli Ostrowskiej udaję się do niego w następującym interesie. Po zgonie ś. p. Wacława Ostrowskiego, w maju bieżącego roku, potrzebne są dla formalności prawnych spadkowych: metryka i świadectwo ślubu i zgonu ś. p. Jadwigi z Ostrowskich, hrabiny Croy-Dülmen,

o które-to papiery w kopji ośmielam się upraszać. Na koszta stemplowe i pocztowe załączam 25 marek, ufając, że Szanowny Pan drobnej tej prośbie nie odmówi.

Przyczem pozostaję z należnym szacunkiem

Jan Chrząstkowski.

Adres mój następujący: Provinz Posen, poczta Braniszcze, majątek Marjampol".

Wentzel przetarł oczy i powtórzył półgłosem:

— Chrząstkowski, Chrząstkowski! — Potem spojrzał na Sperlinga i spytał: — Aleś jeszcze nie odpisał, sądzę?

— Owszem. Nie odkładam nigdy do jutra.

— Człowieku! I cóżeś odpisał?

— Co pan hrabia polecił: że nie ma ani czasu ani ochoty na szperanie w dokumentach, a papierów po matce nie wie nawet gdzie szukać; dawno je darował szczurom.

— *Donner und Blitz!* Czarno na białem... Taka monstrualna obraza! Czyś zwarjował?

— Nie, ja panie hrabio — rzekł z ukłonem jurysta.

— I list poszedł?

— Przed godziną.

Wentzel garściami wziął się za włosy.

— Trzeba go wycofać!

— Poczta nie wydaje.

— *Zum Kuckuck* poczta! Ja ją własnemi rękami podpalę, byle ten nieszczęsny list zatrzymać. Prędzej, bierz kapelusz, jedźmy.

I stała się rzecz niesłychana: Wentzel, patrjota i zapaleniec pruski, klął tego wieczora zarząd niemiecki, złajał od „*lumpów*" urzędników pocztowych, groził

pobiciem starszemu, proponował łapówki — i nareszcie, około północy, znalazł się w kancelarji cyrkułu, oskarżony o naruszenie porządku, o gwałt, o nieposzanowanie przepisów, o obraźliwe słowa i ruchy.

Sperling dawno był uciekł. Bojąc się awantury i rozgłosu, młody człowiek uznał się winnym, zapłacił sto marek kary i został przez żandarmów odprowadzony do karety.

Postawił jednak na swojem: list Sperlinga miał w kieszeni — okazał się mocniejszym nad rygor pruski.

Nazajutrz ciocia Dora wracała wcześniej z rannej mszy, rozpromieniona powrotem wychowańca. Radość przy spotkaniu z nim zagłuszyła dawny żal, zawód i słuszne oburzenie. Przyjęła go zgodnie z parabolą o synu marnotrawnym.

Powóz jej wyminął przy bramie inny. Był to wolant hrabiego — a dalej dorożka, przy której krzątał się Urban, ładując walizy.

Cioci Dorze zastygła krew w żyłach.

— Co ty robisz? — spytała lokaja.

Nim zdołał odpowiedzieć, hrabia się zjawił w paltocie i kapeluszu, nakładając rękawiczki.

— A! ciocia wraca od św. Jadwigi! — zagadnął wesoło. — Dzień dobry!

— Co to jest? Gdzie ty jedziesz?

— Ja jadę do św. Jadwigi!

— Do kościoła? Z rzeczami?!

— Uhm, myślę odprawiać tam rekolekcje!

— Co ty gadasz! Takie niełądne żarty! Mów prawdę. Kiedy wrócisz?

— Po rekolekcjach. Do widzenia! Czy kupiła już ciocia chińskie dziecko?

— Pfe! Dorosły człowiek, a błaznuje jak łobuz! Jesteś źle wychowany!

— No, to mi ciocia pierwsza mówi w życiu! Ach! ja nieszczęśliwy! Czyż nigdy nie znajdę łaski w cioci oczach? To mnie do grobu wpędzi!

Załamał ręce ruchem teatralnego kochanka. Panna Dorota zakryła twarz aksamitnym modlitewnikiem i podreptała szybko na górę.

— *Marsch!* — zakomenderował hrabia stangretowi.

Wolant wytoczył się na ulicę i popędził na dworzec kolei.

Wentzel był tak zajęty, że nawet nie spojrzał w okna hrabiny Aurory. Co prawda, nie ciekawy był zobaczyć admirała.

V.

Z pomocą karty geograficznej odnalazł Croy-Dülmen miejscowość Braniszcze.

Była to duża wieś o dziesięć wiorst od kolei żelaznej, przerznięta szosą i posiadająca pocztę, telegraf, doktora, aptekę, szkółkę i oberżę „Pod smokiem".

Do owej tedy oberży, w ulewny deszcz, odkrytą karjolką bez resorów, zajechał pewnego wieczora panicz berliński z nieodłącznym Urbanem, obadwa zziębnięci, potłuczeni i w szkaradnych humorach. Lokaj przez uszanowanie milczał, hrabia klął. Istotnie, ciężka to była wyprawa.

Blichtr niemiecki ginął o parę kroków za plantem kolei, — dalej leżał kraj obcy, nieprzyjaźni ludzie, nieznane stosunki, niezrozumiały język.

Zaborcy skaleczyli mowę miejscową, a nie nauczyli swojej, — z tego utworzył się żargon, którego ani rodowity Niemiec, ani Polak z innych stron nie potrafiłby zrozumieć. Był to bigos słowiańsko-germański, przeraźliwy!

W oberży gospodarz powitał dostojnego gościa tysiącem ukłonów; należał do jakiejś nieokreślonej rasy, wyrażał się jak krowa po hiszpańsku.

— To dopiero metys polsko-pruski! — pomyślał Wentzel pogardliwie.

Dnia tego nie można było myśleć o dalszej podróży. Rozgościł się w najlepszej izbie, zjadł kolację i legł spać, zdając bezpieczeństwo swej osoby i mienia w ręce wiernego Urbana.

Gdy się obudził, na świecie było południe.

Bolały go członki od twardej pościeli, a głowa od mocnej woni siana; przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajdował.

— Urban! — zawołał.

Drzwi się otwarły, w promieniach światła ukazała się wypomadowana, uczesana modnie głowa lokaja.

— *Was gibs ?* — ziewnął Croy-Dülmen.

Sługa tempem żołnierskiem przymaszerował aż do łóżka, wyprężył się jak struna i wyraportował jednym tchem:

— *Gut Marjampol, Besitzerin Wohlgeborene Frau Thekla von Ostrowska; liegt ungefähr zwei Meilen nach Osten!*

— Głupiś ze swoim *Osten!* Nająłeś konie?

— Pocztę, jasny panie.

— To dobrze. Będę wstawał.

Urban przyjął tę wiadomość głębokim ukłonem i zamilkł, zajęty tualetą pańską.

Nie odzywał się nigdy niezapytany.

A Wentzel stroił się jak na królewskie salony, z całą starannością kobiecego ulubieńca i wytwornego eleganta.

— Gdzieś dostał wiadomość? — zagadnął — Któż tu rozumie po ludzku?

— Poczthalter, jasny panie, jedyny cywilizowany człowiek. *Ein echter Preusse!*

— Pani Ostrowska sama mieszka?

— Po śmierci męża mieszka przy niej panienka, sąsiadka, *Fräulein von Żonżoska*, której brat, *Herr von Żonżoski*, zarządza majątkiem i interesami.

— Cóż o nich wszystkich mówi poczthalter?

Urban pozwolił sobie na gest oburzenia.

— *Schauderhafte Geschichten!* Niemców tam nie puszczają na dziedziniec, nie przyjmują na służbę. Stara pani nie przyjmuje nikogo, kto ich językiem nie mówi, a pan Żonżoski przestrzelił sobie umyślnie prawą rękę, żeby nie służyć w armji naszej.

— Ho, ho! Scewola! — mruknął Wentzel. — Daj perfum. A o panience nic nie mówił?

— Panienka jest okropnie dumna! *Sie ist verlobt mit Herrn von Glempocki aus Struka.*

— Masz zdumiewającą pamięć. Temi nazwiskami można język połamać. No, daj mi tu kawy i każ konie zakładać.

Urban zwrócił się na pięcie i zniknął.

W godzinę potem Wentzel siedział na bryczce pocztowej i rozglądał się ciekawie dokoła. Okolica była płaska, piasczysta, starannie uprawna, przerznięta siecią dróg i strumyków. Wsie tylko, brudne, nieporządne, stanowiły smutny kontrast z osadami Niemców, rozrzuconemi tu i owdzie. Wzdłuż gościńca dwory stały zrzadka, jak baszty, samotne, ciche, zamyślone zda się, w wieńcu włoskich topoli. Istotnie, były to bastjony zdobytej fortecy. Ona sama kruszyła się i rozpadała w ruinę pod naciskiem zdobywcy: wieżyce stały, patrząc z góry na zniszczenie i zgubę, — zachowały jeszcze na swem czole starą wiarę, starą krzepkość i starą tradycję. Zdobywca obchodził je, czekając cierpliwie na czas i na wewnętrzną niezgodę. Na materjalną siłę i opór nie było materjalnego sposobu.

Hrabia spytał o nazwę pierwszego dworu, ale pocztyljon odwrócił się, popatrzał nań i zaśmiał się, trzęsąc przecząco swą płową sarmacką czupryną.

— Nikiej nie rozumiem, wielmożny panie! — rzekł.

— Ciekawym jak się poczthalter z nim porozumiewa — mruknął Niemiec, a Urban na koźle zawyrokował:

— *Polnisches Vieh!*

Chłopak musiał to słyszeć nieraz z ust swego chlebodawcy, bo błysnął w stronę lokaja wilczem spojrzeniem i odparł zajadle:

— Bodaj cię kolki rozparły, szwabska pokrako!

Do jednego wreszcie dworu zawrócił Mazur po parogodzinnej jeździe. Skręcił z gościńca w topolową wysadę, śmignął biczyskiem po szkapach, przytknął trąbkę do ust i oznajmił gości wesołą pobudką. Po murowanym moście wpadli na dziedziniec, objechali galopem trawnik, usiany gęsto krzewami, i po brukowanym podjeździe dotarli do drzwi wchodowych.

Tu chłopek całą siłą zatrzymał swój niesforny zaprząg, a biczyskiem wskazał kogoś, stojącego obok oficyn.

— A ot i panicz z Olszanki stoją — rzekł.

Wentzel rzucił okiem w tamtą stronę. Był to ów blondynek z teatru, tylko że nie w stroju balowym, ale w długich butach, szamerowanej węgierce i prostym słomianym kapeluszu.

Popatrzył na pocztowe konie i, zamiast iść przyjmować gości, zawrócił na folwarczny dziedziniec.

Hrabia wysiadł z bryczki, a ponieważ nikt na spotkanie nie wychodził, więc otworzył ciężkie drzwi i wszedł do obszernej, mrocznej sieni.

Dopiero teraz ukazał się ktoś żywy — w osobie starego, zgarbionego lokaja w ciemnej liberji.

— Czy pani przyjmuje? Oto moja karta — rzekł po niemiecku hrabia, wyjmując bilet.

Ale sługa rękami tylko strzepnął.

— Pan nie mówi po polsku? — spytał.

Wentzel ramionami ruszył — nie rozumiał.

— To proszę do oficyny... bo pani... tego... nie zechce gadać... tego... nie rozumie... — jąkał stary złą niemczyzną.

— Może przyjmie, spojrzawszy na bilet — protestował młody człowiek.

— Eh, nie, żeby i z nieba bilet... tego... pani nikogo takiego... nie widuje. To pan Jan... umie po szwabsku! Proszę pana... ja... tego... zaprowadzę.

Poszli tedy przez dziedziniec na folwark, do dużej, murowanej oficyny. Stary poprowadził Niemca do środka, gdzie u okna siedział młody człowiek, blondyn i, gwiżdżąc, robił naboje do strzelby. Dwa gończe powitały obcego groźnem warczeniem, a ich pan podniósł obojętnie głowę.

— Cicho, Śpiewak. A czego tam, Walenty?

— Niemca przyprowadziłem do panicza, żeby go wyrozumieć.

Blondyn zerwał się żywo, zdjął kapelusz, odsunął z biurka patrony, kopnął nogą burczące psy i powitał przybyłego dość znośną niemiecczyzną.

— Czem mogę panu służyć?

— Właściwie przyjechałem z wizytą do pani Ostrowskiej i sądzę, że przyjęłaby mnie, gdyby jej dano mój bilet. Ale ten zwyczaj, jak widzę, nie jest tu jeszcze w użyciu.

— Owszem, ale pani Ostrowska nie rozumie ani słowa po niemiecku i wątpię, czyby pana przyjęła. Z kim mam przyjemność?

— Jestem wnuk pani Ostrowskiej, Croy-Dülmen.

— Jan Chrząstkowski, jej sąsiad i wychowaniec.

Skłonili się sobie wzajemnie, przyczem gospodarz podał krzesło i sam usiadł.

Gdy tak siedzieli naprzeciw siebie, stanowili dziwny kontrast i ciekawe studjum. Jeden — szczupły, delikatny, salonowiec od stóp do czoła, o głowie patrycjusza, zimnej a dumnej — piękny chłopiec, ale pięknością wielkomiejską, roznerwowaną i bladą. Oczy jego patrzały na świat z wyrazem zmęczenia, przesytu i pogardliwej pewności siebie, usta miały przykry grymas cynizmu i szyderstwa.

Naprzeciw niego ten ogorzały wieśniak, rozrosły, muskularny, niedbały o szablon światowy, a swobodny, żywy, prosty jak leśna drzewina.

Wichrowata, swawolna, szeroka natura wyglądała mu ze szczerych, siwych oczu. Było to dziecko rozległych pól, wsi — otwarte, ogniste, a dobre jak biały chleb wielkopolski.

Czuć było jednak, że wraża mowa ściskała mu duszę wspomnieniem krzywdy, że narodowość gościa tłumiła w nim wszelkie dobre instynkta, wyrzucała na wierzch z serca całą niechęć, zaciętość i cichą wściekłość zwyciężonego.

Croy-Dülmen pierwszy się odezwał:

— Bardzo mi przykro, że rodzina mej matki nie zawiadomiła mnie o śmierci dziadka. Chociaż prawie obcy, nie omieszkałbym odwiedzić babkę zaraz po tej ciężkiej stracie. Dowiedziałem się o zgonie dziadka zaledwie z listu pana i pośpieszyłem zaraz z wypeł-

nieniem smutnego obowiązku. Sądzę, że babka uwzględni moje pobudki i, choć Niemca, raczy wysłuchać. Możemy zresztą porozumieć się po francusku.

— Pan pozwoli, że jej te słowa powtórzę — rzekł Chrząstkowski, wstając.

— Bardzo proszę o to.

Polak wyszedł i wrócił po chwili.

— Pani Ostrowska pozwala panu przyjść. Wymaga wyłącznie francuskiej rozmowy.

Była to audjencja jak u cesarza.

Croy-Dülmen pokręcił głową, ale nadzieja ujrzenia pięknej siostry Chrząstkowskiego stłumiła budzącą się niecierpliwość. W milczeniu wziął kapelusz i poszedł za przewodnikiem.

Pod gankiem stała poczta i Urban siedział na stopniu bryczki, melancholijnie wodząc oczami po niebie. I pan i sługa nie byli przyjęci z otwartemi ramionami. Zdarzyło się to im po raz pierwszy w życiu i tem ciężej dotykało. Stary sługa spotkał ich z lampą w ręku i poprowadził w głąb domu, po ciemnych, pustych salonach; nareszcie otworzył jedne drzwi i wpuścił ich do niewielkiego, słabo oświetlonego gabinetu. Dwie świece, osłonięte zielonemi umbrelkami, rzucały krąg jasności na stół, przykryty ciężkim, wzorzystym adamaszkiem, przy którym siedziały dwie kobiety: jedna z robotą włóczkową w ręku, druga pochylona nad rozwartą książką. Czytała głośno — słyszał Croy-Dülmen w sąsiednim pokoju; na skrzyp drzwi urwała nagle, podniosła powoli oczy i spuściła je znowu.

Mała, żywa i jeszcze czerstwa staruszka opuściła na stół kościane druty, przechyliła się za obręb światła, zasłoniła dłonią oczy i zagadnęła niecierpliwie:

— Czy wy się dziś nie uspokoicie? Kto tam znowu?

— Ja, babuniu — zabrał głos Chrząstkowski. — Przyprowadzam, wedle pozwolenia, hrabiego Croy-Dülmen.

— A no, to wchodź i zamykaj drzwi. Ten pan może raczy się zbliżyć i przywitać sam.

Nie wstała, ale tylko protekcjonalnie kiwnęła głową na głęboki ukłon młodego człowieka. Oddał również głęboki młodej czytelniczce.

— Hrabia Croy-Dülmen, moja siostra — przedstawił Jan po francusku.

Panienka w milczeniu skłoniła lekko swe piękne, blade czoło — nic więcej.

— Ja nie mówię po niemiecku — zaczęła staruszka ale pan rozumie po francusku?

— Naturalnie — potwierdził w ponownym ukłonie.

Stał wciąż jeszcze z kapeluszem w ręku, a bystre oczy pani Ostrowskiej oglądały krytycznie tego nieznanego, obcego zupełnie syna jedynej córki. Jan przysunął gościowi krzesło. Zaległa chwila milczenia. Pierwszy raz czuł się piękny panicz zakłopotany, zmieszany, niezdolny rozpocząć rozmowy. To przyjęcie odurzyło go, jak cios obuchem po głowie. Sądził, że zrobi swą wizytą honor i rozradowanie: czuł się traktowanym jak natręt, z widoczną chęcią pozbycia się go co rychlej. Młody obywatel usiadł obok siostry i, milcząc, kręcił swe jasne wąsiki; panienka przerzucała machinalnie kartki książki; babka, obejrzawszy gościa uważnie, wzięła znowu druty. Trzeba było samemu iść do ataku.

— Mówiłem właśnie przed chwilą panu, — spojrzał na Jana — jak mi przykro, żem nie został zawiado-

miony o zgonie ojca mej matki. Byłbym tu oddawna, szczęśliwy, gdybym mógł w czem służyć. List pana Żonżoskiego...

— Co? Jak? Jak pan powiedział? — zaperzyła się staruszka. — Co to? Drwiny? Umyślnie kaleczysz nazwisko?

Croy-Dülmen poczerwieniał jak żak, obejrzał się, nie wiedząc, co dalej mówić i czy nie lepiej ukłonić się i jechać.

Wtem piękna dziewczyna podniosła głowę; na twarzy, przez wyraz powagi, przedzierał się mimowolny uśmiech.

—Babunia zapomina, że hrabia po raz pierwszy w życiu wymawia polskie nazwisko, do tego tak trudne, jak nasze — ujęła się spokojnie.

— Oho, oho! Znam ja tych arogantów! Ojciec tego młodzika, gdy tu wszedł, niosąc zgubę biednej naszej Jadwini, był taki słodki, taki miły, tyle obiecywał! Miał Jadwinię co rok nam na święta przywozić, syna, jeśli będzie, oddać na wychowanie. Złote góry! Tymczasem porwał ją do swego zamku rozbójniczego nad Ren, i tyleśmy ją widzieli. Słowo Niemca to fałsz... Moja jedyna córka umarła wśród obcych, wrogów, sama. Nie dano nam znać o chorobie i śmierci.

— W tem przynajmniej niema mojej winy. Miałem wówczas trzy dni wieku — wtrącił Croy-Dülmen.

— Zrobiłbyś tak samo! — przerwała, zapalając się coraz mocniej. — Każdy z was taki. Znam ja was. Cierpiałam całe życie za to, żem córce mojej pozwoliła zrobić mezaljans.

Hrabiemu wypadł z rąk kapelusz. Otworzył usta, wlepił wzrok w staruszkę.

Co? Mezaljans zrobiła ta polska szlachcianeczka? Jego ojciec, hrabia od krzyżowych wojen, był jej niegodnym!

Czy to dom warjatów, czy on śni?

Potem nagle ogarnęła go wściekłość — zbielał, zębami gryzł do krwi wargi, w piersi huczał mu orkan śmiertelnej obelgi.

— Nie przyszedłem tu po krytykę i sąd na mego ojca i moją narodowość — zaczął głucho. — Rodziców obojga nie pamiętam, o mezaljansach mam wbrew przeciwne przekonanie; co zaś do Polaków, mamy względem nich najlepsze intencje.

— Znamy, znamy te wasze intencje! Wygnać nas precz, a przedtem wyzyskać wiarę, łatwowierność, zapał, zdolności, siły wszystkie. Czegóż milczysz, Jasiu? Opowiedz, jak twemu starszemu bratu pod Fröschweiler zagrali i jak padł tam w pierwszym szeregu, w pierwszym pułku! Tak, tak! Niema Wacia, niema mojej Jadwini!

Urwała. Gniew jej stopniał pod tem mogilnem wspomnieniem, spuściła głowę, a na robotę w drżących rękach spadły dwie wielkie łzy sierocej starości. Milczenie zaległo pokój.

— Babuniu! — upomniał, korzystając z chwili, Jan — Hrabia jest pod naszym dachem...

— Mam prawo mówić prawdę: niech słucha.

— Słuchałem długo i cierpliwie — zaczął Wentzel dziwnym tonem; — pani jesteś moją babką i starą, zbolałą kobietą; więc nie wdaję się w swary. Przyznaję jednak, że nie spodziewałem się takiego przyjęcia tam, gdziem osobiście nic nie zawinił. Jestem Niemiec wychowaniem, krwią, pojęciami i życiem, ale nie przestępowałem tego progu jako wróg. Moje intencje były

czyste i prawe. Przepraszam najmocniej za żywe słowo, jeślim niem obraził. Chciałem choć późno, poznać kraj mojej matki, myślałem, że zastanę tu rodzinę. Pozwoli pani się pożegnać.

— Proszę zaczekać; zobaczę czy konie gotowe — rzekł Jan, zrywając się z miejsca.

Croy-Dülmen podziękował ukłonem i usiadł znowu. Czuł, że do domu tego nie wróci więcej; i ogarnęło go gwałtowne pragnienie usłyszenia jednego choćby słowa z ust panienki. Pamiętał słowo w słowo rozmowę owej burzliwej nocy przed pół rokiem, jej wzgardę i gniew. Boże, co on jej wtedy mówił! Czuł się skazanym bez odwołania.

Rozmowy zawiązać nie widział sposobu, gdy wtem ona spojrzała nań po swojemu, posępnie, i spytała:

— Pan bawi stale w Berlinie?

— Całe lato byłem nieobecny, pani. Część czasu spędziłem w dobrach, resztę we Francji.

— W Biarritz — dodała spokojnie.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie — czy była jasnowidzącą?

Zrozumiała widocznie myśl wzroku, bo dorzuciła w formie objaśnienia:

— Hrabina Mielżyńska bawiła tam i spotykała pana.

Spuścił głowę i zarumienił się. Czy tylko tyle opowiedziała hrabina? W Biarritz on z hrabiną Aurorą uchodzili za małżeństwo. Istotnie, wiodło mu się szczęśliwie w tym domu!

Staruszka zajęła się robotą, z pod oka niekiedy patrząc na wnuka, Prusaka. Nie mieszała się do rozmowy, myślała o czemś innem.

W tej chwili Jan ukazał się z powrotem.

— Konie gotowe — rzekł, wahając się — ale deszcz leje strumieniami.

Croy-Dülmen złożył dwa milczące ukłony i wyszedł z Chrząstkowskim. Deszcz padał jak z cebra. Młody człowiek wyszedł z gościem na ganek i wzdrygnął się.

— Nie sposób jechać — zauważył — Może pan się zgodzi przenocować u mnie, w oficynie. Mam dwa pokoje na usługi.

Croy-Dülmen spojrzał w szczerą twarz chłopaka.

— Pan się nie boi przyjmować Niemca na dziedzińcu pani Ostrowskiej?

— Jutrobym dostał burę, gdybym pana wypuścił w taki czas. Proszę za mną. A ty, przyjacielu, ruszaj do stajni ze zwierzętami, a potem spać do czeladzi. Wara mi tylko z papierosami! Walenty, parasol!

Po godzinie siedzieli obydwaj przed kominem, na stole szumiał samowar i dymiła obfita kolacja. Urban w sąsiednim pokoju słał łóżka.

Podobnego zakończenia całej awantury nie spodziewał się hrabia Croy-Dülmen.

Jana oderwano na chwilę do spraw gospodarskich.

Wentzel zamyślił się nad wypadkami ubiegłego dnia. Dziwny kraj, gdzie młodzież była tak cicha, skupiona w sobie, milcząca, a starzy przy siwych włosach zachowali gorące uczucia, zapał i siłę. Dziwny kraj, dziwni ludzie!

Pani Tekla to nie była ciocia Dora, którą można było ułagodzić konceptem i uśmiechem, lub nastraszyć lada czem.

Młody człowiek to nie był pusty frant stołeczny, lub nadęty oficer z gwardji; a ta dziewczyna — o, nie była to istota, której serce zdobywało się powierzcho-

wną pięknością, fizycznym urokiem lub słodkiemi słowami.

Hrabia poruszył się niecierpliwie.

— Weźmie Michał „Scherza“ — zamruczał upokorzony — i „Fingala“ — dodał jako pociechę, ciskając w płomień niedopalone cygaro.

— Cóż pan taki markotny, hrabio? — ozwał się Jan.

— Na złą pogodę — odparł.

— Barometr idzie w górę — pocieszył wieśniak.

Usiadł znowu naprzeciw gościa i podrzucił drew na ogień.

— U nas ziemniaki marnieją niewykopane — mówił dalej, — a zasiewy niesporo schodzą w te słoty.

— Pan dzierżawi Marjampol?

— Nie, tylko administruję. Mam majątek o miedzę. Ojciec nas odumarł młodo; pan Wacław Ostrowski był naszym opiekunem. Teraz, po jego śmierci, odpłacam się pozostałej wdowie. Siostrę ona wychowała; niech staruszkę pielęgnuje. Mieszkam u siebie w Olszance, ale dojeżdżam tu codzień.

— Pan nie żonaty?

Chłopak się zaśmiał. Ten śmiech zerwał lody.

— Czy wyglądam tak staro?

— Państwo tu wszyscy macie wygląd nad wiek poważny.

Chmura przeszła po czole Polaka.

— Ot, tak nam sądzono — mruknął wymijająco. — Na wsi pleśnieje się, obrasta mchem, grzybieje.

— Pan nie bywa nigdy w Berlinie?

— Byłem parę razy, ostatni raz przed śmiercią pana Ostrowskiego. Był jeszcze rzeźwy i nie spodziewaliśmy się wrócić tu z trumną.

— Więc to było tak nagle?

— Apopleksja po powrocie z teatru. Ale zdaje mi się, żem wtedy pana widział w loży, a potem w krzesłach. Byliśmy we troje, z Jadzią. Pan sobie nie przypomina.

— Owszem. [illegible] pana zwróciła szczególną uwagę. Żeby[illegible] widział, [illegible] mój dziad... Nazajutrz wyjechałem z Berlina.

— Nazajutrz pan Wacław już nie żył. Jak piorun przyszło. Biedna pani Tekla została samiutka jedna na świecie. Ni męża, ni bliskiej rodziny, ni dzieci. Pan nie powinien czuć do niej żalu za ostre słowa. Żywej jest natury, a taka nieszczęśliwa!

— Darowałem jej wszystko; żałuję, że dla niej czemkolwiek być nie mogę.

— Do rana jeszcze daleko, a pan bardzo do swej matki podobny, sądząc z portretu.

Doktor Voss za podobne zestawienie omal nie został obitym; teraz Wentzel nie zaprzeczył nawet ruchem.

Widocznie, że nabierał ochoty na ponowną wizytę u gniewliwej staruszki, nawet z perspektywą powtórnego łajania.

Ha, żeby jeszcze raz zobaczyć cudną siostrę Jana, posłyszeć głos, zajrzeć w mroczne głębie oczu! Dotąd nie zauważył, jakiego były koloru, tylko to czuł, że miały w sobie coś niepojętego, co ciągnęło i odpychało zarazem.

Ach, jakie one piękne byłyby w uczuciu, w uśmiechu, w kochaniu! Ach!

— Czy istotnie straciliście państwo brata we Francji? — ozwał się po przerwie.

— Istotnie, zginął zaraz z początku wojny. Był kapitanem w pułku Poznańskim. Szukaliśmy z Jadzią daremnie grobu. Leży gdzieś we wspólnym dole. Wojna nie matka, lecz macocha. Wola boża! Zginął jak bohater! I pan służył?

— Tak, w gwardji. Pamiątek na skórze mam niemało, alem żyw wrócił i z żelaznym krzyżem. Pod Fröschweiler byłem przy baterjach, widziałem atak poznański. Szli jak potępieńcy... Nie rozumiałem wtedy, dlaczego... Ha, to im nie hańba!

— I ta szrama na czole to z wojny order? — zagadnął Jan, nie podnosząc ostatniej uwagi.

— Nie, to z pojedynku. Fraszka! Czy mogę panu służyć cygarem? Prosto z Hawany...

— Dziękuję. Ja zaś nawzajem zaproponuję panu hrabiemu kieliszek tego maślacza. Wyborny!

— Na nową znajomość, z całą przyjemnością. Nie rozumiem ja was, a wy mnie macie za wroga, za szpiega może. Ten pierwszy kieliszek waszego miodu piję na zgodę i porozumienie, a jeśli zechcecie, na dobrą znajomość.

Wyciągnął dłoń do Polaka. Chrząstkowskiemu po raz pierwszy znikł przymus z twarzy. Podał bez wahania rękę.

— Lewą!? — uśmiechnął się Croy-Dülmen.

— Prawą mam uschniętą, bezwładną, ale lewa jest szczera i wierna — odparł — może jej pan zaufać.

Wypili toast duszkiem.

Nie wiedział Wentzel, że tą krótką odezwą i podaniem ręki trafił lepiej do duszy Polaka, niż tysiącem rozumnych dowodów i całym szeregiem faktów. Drobną tą sceną zyskał sobie sprzymierzeńca we wrogim obozie.

— A teraz spać — zawołał gospodarz, już zupełnie swobodnie; — północ, a pan wygląda zmęczony. I ja dziś dzień cały polowałem na zające.

Położyli się w jednym pokoju. Przedtem Polak, klęcząc, odmówił pacierz i z czołem schylonem bił się w piersi pokornie.

Niemiec patrzał na to zdumiony. Nie modlił się nigdy — zostawiał tę fatygę cioci Dorze...

VI.

Barometr Chrząstkowskiego mówił prawdę. Dzień wszedł jasny i pogodny. O świcie dzwon, wzywający do roboty czeladź, zbudził młodych ludzi. Jan wstał zaraz, ubrał się i wyszedł do gospodarstwa. Wentzel założył ręce pod głowę i medytował nad swojem położeniem.

Minęła godzina, czy dwie, gdy nagle rozwarły się z łoskotem drzwi i wpadł Chrząstkowski.

— Czy wie pan, co się stało? — zapytał.

— Skądże?

— Babka mnie wyłajała.

— Tak rano? Zaco?

— Zato żem pana puścił w noc i w deszcz.

— Przecież jestem!

— Ba, alboż mi dała przyjść do słowa!? Napadła z góry: jesteś źle wychowany! Niemcy cię nauczyli grubiaństwa i niegrzeczności! Taki deszcz, noc ciemna, choć oko wykol, i ty wypędzasz gościa na złamanie karku! Jaki ty Polak! Jaki ty gospodarz! Jaki ty chrześcijanin! Śpiewaka pewnie zatrzymałeś w izbie, a człowieka wyprawiasz z domu.

— No, aleś się pan wreszcie usprawiedliwił?

— Jakoś, z wielkim trudem. Co dała, to wziąłem.

— I cóż powiedziała potem?

— Nic, pokazała mi plecy i zaczęła gderać na kogoś innego. Czy pan ma ochotę na drugą wizytę?

— Jeżeli to możliwe, bardzo.

— A no, to ja pójdę po radę do Jadzi. Niech panu wstęp ułatwi.

— Czy pańska siostra wszechmogąca u staruszki?

— O, Jadzia! Ona, choć zawsze milczy i nawet oczu nie podnosi, z ludźmi, co chce, robi.

— I z panem?

— I ze mną, wyznaję. Taki u nas zwyczaj. Kobieta zawsze przewodzi: nie matka, to siostra; nie siostra, to żona. Dlatego to one takie harde i nieprzystępne: czują swą siłę. I ja sam nie przeczę, że siostra rozumniejsza ode mnie. Czemuż mam jej nie słuchać?

— Dziwni z was ludzie! Żeby mi przyszło do głowy słuchać rad której z mych znajomych, tobym po tygodniu dostał się do bonifratrów. Co prawda, nasze damy wolą być prowadzone i kochane. To wygodniejsze.

— Nie mów pan tego pani Tekli.

— Ani pańskiej siostrze?

— O, Jadzia nie należy do zapalonych, wyznaje swobodę zdań; ale babunia zmyłaby panu głowę.

— Dziękuję. Obejdę się bez tego zaszczytu. Losy zgodnego porozumienia składam w pana łaskawe ręce. Pragnę odjechać stąd w spokoju.

Jan wyszedł, a hrabia śpiesznie się ubrał i czekał rezultatu układów pokojowych.

Szły widocznie z wielką trudnością.

Nareszcie zjawił się Jan.

— Gotowe. Babka czeka pana.

Gdy wychodzili na dziedziniec, wysypała się naprzeciw nich gromadka dzieci z książkami w ręku.

Za niemi z bocznego ganku oficyny wyszła siostra Jana, z łagodnym uśmiechem na ustach tłumacząc coś dwóm małym dziewczątkom, pucołowatym, jasnowłosym, w schludnych wełnianych sukienkach. Dzieciaki, zadarłszy główki jak pisklęta, słuchały uważnie młodej opiekunki, potem, ucałowawszy jej rękę, pobiegły za innemi. Młodzi ludzie zbliżyli się do panienki z powitaniem.

— Pani utrzymuje ochronkę? — zagadnął Niemiec.

— Są to dzieci oficjalistów i służby domowej. Uczę je religji, historji i robót.

— Ach, co nas ta nauka kosztuje! — wtrącił Jan — Co miesiąc pismo z *bezirku*, płać!

Panna Jadwiga rzuciła mu spojrzenie łagodnej wymówki. Pocałował ją w rękę.

— Już milczę, Jadziniu! — zaśmiał się serdecznie — Wszak to nie skarga była. Wiesz, że płacę bez szemrania.

— Pani lubi dzieci? — zagadnął Wentzel.

— Lubię — odparła lakonicznie.

Widocznie nie było w jej zwyczaju opowiadać o sobie.

— Babka w ogrodzie; zaprowadź, Jasiu, pana hrabiego.

— A ty, co masz lepszego do roboty?

— Muszę się przebrać do obiadu.

— Aha! zapomniałem, że czekasz na swego lubego Adama — śmiał się, mrugając swawolnie.

Ruszyła brwiami. Żaden nerw nie drgnął na tej lodowatej twarzy.

— Zapomniałeś, że się codzień przebieram — odparła chłodno, odchodząc ku domowi.

Rozmawiali ciągle po francusku przez grzeczność dla gościa; teraz Jan zaczął po niemiecku, żartobliwie:

— Co prawda, wolę być jej bratem, niż narzeczonym. Nie zazdroszczę memu przyszłemu szwagrowi losu. Chwała Bogu, że ten człowiek posiada dobrą dozę cierpliwości.

— Pana siostra jest zaręczona?

— Nie wiem poco, ale jest. Z sąsiadem naszym Adamem Głębockim. At!...

Nie dokończył, ręką machnął.

— Kiedyż wesele? — badał Croy-Dülmen.

— Nie wiem. Teraz żałoba. Pani Tekla ani słyszeć nie chce o małżeństwie, Jadzia po swojemu milczy na wszystko, a Głębockiego o zdanie nikt nie pyta. W takim stanie rzeczy mogą się wlec *ad infinitum*, chyba się w to wmiesza Opatrzność i ja...

— Myślałem, że w Polsce żenią się tylko z miłości — zauważył Niemiec z uśmiechem.

— Kto ich tam wie, może się i kochają! Ja, znając Jadzię, sądzę, że idzie za Głębockiego przez obowiązek Polki.

— Czy ten pan jest odszczepieńcem?

— Nie, jest bankrutem. Jadzi szkoda ziemi polskiej oddawać w ręce obce: chce ją ratować swym posagiem. Bardzo problematyczne szczęście! Ale oto i babka.

Pani Tekla gderała za coś na ogrodnika; spojrzała zezem na młodych ludzi.

Jan ją ucałował w rękę — pogładziła go po głowie. Niemcowi kiwnęła po swojemu, sądząc, że jak wczoraj, powita ją tylko ukłonem.

Stała się jednak rzecz niesłychana. Dumny panicz schylił pokornie swój hardy kark nisko, bardzo nisko — i rękę babki podniósł do ust, jak wnuk i sługa.

Przez ocz staruszki przeszło zdumienie, może radość, ale nie zrobiła żadnej uwagi. On pierwszy zagaił rozmowę — naturalnie po francusku.

— Przepraszam za natręctwo, ale nie mogłem się zdecydować odjechać po wczorajszem rozstaniu. Może mi się uda pojednać pa... — zająknął się — pojednać babkę z Niemcami, chociażby ze mną jednym.

— Jeżeli nie masz innego zamiaru, to możesz sobie zaraz jechać i nie wracać. Pozwalam ci tu pozostać pod warunkiem, że mi nie wspomnisz nawet ich nazwy. Jesteś młodzik, możesz zmieniać sto razy zdanie, a ja, mój panie, siedmdziesiąt lat przeżyłam i pewnie, że nad grobem, dla twoich pięknych oczu mych zasad nie zmienię. Dosyć o tem, jeśli chcesz obiadować w Marjampolu.

— My, babciu, od wczoraj rozmawiamy, ani razu nie wspomniawszy narodowości — rzucił pojednawczo Chrząstkowski.

Zamiast się uspokoić, zaperzyła się jeszcze bardziej.

— Już ty mi się tylko za przykład nie stawiaj! Gotóweś jeszcze zaprzyjaźnić się z Niemcem, tego Szwaba za kolegę obrać.

Croy-Dülmen skłonił się z uśmiechem.

— Świadczę się niebem, że nie pierwszy wymówiłem tę okropną nazwę.

— Z konieczności, jakże mam powiedzieć? Jesteś Szwab, opite bawarem Niemczysko!

— Jako żywo, nigdy piwa nie pijam! Nie lubiłem go nawet, będąc studentem; a co do nazwy, jestem przecie ochrzczony, dla rodziny mam imię, jak każdy.

Staruszka coś zamruczała. To wezwanie do pokrewieństwa nie rozczuliło jej bynajmniej, a jednak było to w ustach hrabiego monstrualne ustępstwo.

Za podobne zestawienie pojedynkował się cztery razy w życiu — uważał je za sromotę i obelgę. W tej chwili, gdy kończył zdanie, ze szpaleru wyszła do nich smukła postać panny Jadwigi. Musiała słyszeć, bo po raz pierwszy spojrzała w oczy hrabiego i uśmiech lekko ironiczny drgał wokoło poważnych ust. Spotkali się wzrokiem — poczerwieniał, jak winowajca, złapany na gorącym uczynku zdrady i spuścił oczy, zawstydzony.

— Ach, ta nieszczęsna rozmowa na wiosnę! Czy rozum stracił wtedy, mówiąc swe *credo* obcej, spotkanej na ulicy kobiecie! Jakieś fatum go prześladowało! Co ona myślała o nim!

Pani Ostrowska, na widok swej wychowanki, wyrzuciła z serca żal na ogrodnika.

— To nieuk, osioł, próżniak! Okropność, jak ci Prusacy lud zdemoralizowali.

— To drugi raz! — szepnął hrabia Janowi.

Obadwa spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się w wąsy. Nic nie uchodziło oka cholerycznej staruszki.

— Cóż to śmiesznego? — zawołała z impetem. — U was wszystko żart, fraszka, nawet to, co was boleć powinno!

Tu spostrzegłszy się, że połączyła w swej admonicji Niemca z Polakiem, machnęła tylko ręką i podreptała ku domowi.

— Et, co z wami gadać! — zamruczała na odchodnem.

Młodzi ludzie, obydwa z natury weseli, zaśmieli się serdecznie; uśmiechnęła się nawet poważna panna Jadwiga.

Nagle pani Tekla obejrzała się i przystanęła.

— Słyszysz, Jadziu, turkocze! — wołała. — Już jedzie miły konkurent! Wybrałaś go, idźże sama bawić. Nie znam nic nudniejszego, nad tego człowieka, ale to nie moja rzecz.

I poszła w inną stronę. Panienka spoważniała natychmiast i zwróciła się do domu, zrywając po drodze kwiaty z rabatki. Nie spieszyła się wcale.

—Czy mamy ci iść w sukurs, Jadziu? — żartował Jan.

— Do woli — odparła po swojemu, krótko.

— Zostawiam ci swobodę pierwszego powitania, żebyś się nie potrzebowała krępować — drażnił się dalej.

— Czemu się nie nauczysz krępować języka? — odrzuciła zdaleka.

— Z konieczności muszę mówić, jako reprezentant rodziny. Żebym ten urząd tobie zlecił, mianoby nas za głuchoniemych.

Nie odrzekła nic więcej i znikła w cieniu szpaleru.

— Pan Głębocki często bywa? — spytał Wentzel, patrząc uparcie w to miejsce, gdzie ją cień zakrył.

— Co parę dni, regularnie od obiadu do kolacji.

— Co robią narzeczeni? Rozmawiają?

— Z Jadzią! Toby było trochę za trudno. Grają w domino i milczą; czasem przeglądają dzienniki i milczą; w wielkie święta chodzą na szpacer i także milczą. W antraktach słuchają gderania pani Tekli.

— A pan co wtedy robisz?

— Z początku dotrzymywałem im towarzystwa, alem się tak znudził, że odtąd uciekam na odgłos turkotu bryczki Adama. Ten nieszczęsny wysłuży sobie męczeńską koronę!

— Ma tak piękną nagrodę, że mu się nie dziwię — rzekł z uśmiechem Niemiec.

— Rzecz gustu. Jadzię wysoko cenię, szanuję, uwielbiam jako brat i Polak; ale zakochać się w niej, to dla mnie niepojęte, to to samo, co uderzyć do serca tej brzozy u płotu. Mnie do kochania potrzeba życia, śpiewu, śmiechu, choć trochę kokieterji i żartu. Nieprawdaż?

— Niezawodnie. Arkadyjscy pasterze wyginęli.

— Oprócz jednego Głębockiego. O, Walenty nas szuka. Pewnie obiad.

Zbliżyli się do sługi i wstąpili przez taras do wnętrza rezydencji. W sali jadalnej, przy wódce, ujrzał Wentzel cierpliwego Głębockiego. Był to człowiek średniego wzrostu i średnich lat, opalony, suchy, trochę łysawy blondyn. Patrzał z pod brwi krzaczastych nieufnie; w ustach miał rys zacięty; długie, w dół zwieszone wąsy czyniły go jeszcze dzikszym.

Musiał to być człowiek skrytej namiętności i niesłychanego panowania nad sobą.

Niebezpiecznie było z nim zaczynać walkę — był zazdrosny, mściwy i cierpliwy.

Jan ich zaprezentował — poprzestali na ukłonie. Czy przeczuwali, że będzie między nimi bój na śmierć i życie?...

— Jakże kartofle, Adamie? — zagaił Chrząstkowski.

— Niezgorzej.

— A siewy?

— Schodzą.

— Dobrali się w korcu maku —-pomyślał Croy-Dülmen.

— A twoja „Norma“ zdrowa?

Tu ożywiła się posępna twarz Głębockiego.

— Żdżarski targował ją wczoraj — odparł żywiej nieco.

— Sprzedałeś?

— Jeszcze nie. W ostateczności chyba.

— Przecie ją Jadzia chciała nabyć.

— Już nie chce. Mówiła mi...

— Jakto! Przecie coś mówiła? Niesłychane! — żartował wesoły chłopak.

Rysy Głębockiego skurczyły się kamienną ostrością: nie rozumiał żartów.

Wejście dam przerwało rozmowę. Zasiedli do obiadu. Narzeczeni siedzieli obok, ale nie mówili ani z sobą, ani z resztą towarzystwa. Jan z hrabią podtrzymywali rozmowę. Chrząstkowski wypytywał o stolicę. Wentzel przyszedł do siebie i dał się porwać na barwną, tryskającą dowcipem gawędkę. Opisywał berlińskie życie, zabawy, kółka, intrygi, aż wreszcie zdołał zaciekawić babkę — rozmarszczył jej czoło. Wstali od stołu bez żadnej kłótni.

W salonie, wedle opowieści Jana, narzeczeni zajęli się milczącem przeglądaniem dzienników. Młodzi ludzie wymknęli się do oficyny.

Poczta dawno była odprawiona, Urbana wysłano po rzeczy hrabiego do miasteczka. Przymus znikł. Gwarząc coraz ufniej, coraz przyjaźniej, ani się obejrzeli, jak mrok nadszedł.

Spędził ich stary lokaj.

— Pani kazała się pytać, co się stało z Niemcem — objaśnił Chrząstkowskiemu swe przybycie.

— Powiedz, że przyjdziemy zaraz na herbatę. A pan Głębocki jeszcze bawi?

— Tyleczko wyjechał.

— Tak wcześnie! Oho! To go dobry duch natchnął.

W jadalni paliła się już lampa. Panna Jadwiga własnoręcznie przyrządzała herbatę.

Brat ją spotkał żartem:

— Tak krótko dziś graliście w domino! Szkoda. Kto kogo ograł?

— Pani Ostrowska czeka ciebie od godziny. Otrzymała jakieś listy, potrzebuje rady w niemieckim języku.

— Już idę, na burę — mruknął, odchodząc w głąb domu.

A zatem miał Croy-Dülmen tak upragnione sam-na-sam. Niech się stara o uśmiech pięknych ust, spojrzenie surowych oczu, niech zdobywa.

Chwila milczenia, podczas której obserwował ją, oparty o poręcz krzesła; nareszcie się odezwał:

— W San Marino zapominają znajomych, jak widzę, i zapominają przyrzeczeń...

— Przyrzeczeń? — powtórzyła pytająco.

— Zdaje mi się, żem wygrał zakład z panią.

— Może być, nie pamiętam.

— Założyłem się, że odnajdę panią. Ja nie zapomniałem.

— Bardzo chwalebna pamięć. Cóż z tego?

Pytania te i odpowiedzi, krótkie, urywane, zimne jak cięcia stali, zbijały go z tropu, onieśmielały zupełnie. Był to jakby pojedynek, w którym on otrzymał tysiące piekących razów, nie mogąc ich ani odbić, ani oddać.

—Należy mi się nagroda.

— To jedno dobrze pamiętam, że żadnej nie obiecałam. Zadowolenie fantazji powinno panu wystarczyć.

— A jeśli nie wystarczy?

— To musi.

Potrząsnął zuchwale głową.

— Czy wie pani, że Wentzel Croy-Dülmen tego słowa nie uznaje w stosunku do siebie?

— To wiem, że hrabia Wentzel Croy-Dülmen nie zawsze jest takim lwem, jak się zdaje. Umie się trwożyć, kryć z zasadami, bawić się we frazesy, jak komedjant: nie potrafi stawić czoła jednej, starej kobiecie!

— Znosiłem wszystko dla zdobycia sposobności rozmowy z panią.

— Jest to nikczemność i fałsz! Jak pan śmiesz patrzeć w oczy swej babki, oszukiwać ją dla marnej igraszki?

— Czy pani nie przypuszcza, że zdanie można zmienić?

— Czy pan myśli tym frazesem i mnie oczy zamydlić? Po niewczasie. Widziałam pana samym sobą i pamiętam...

— Obraziłem panią...

— Mnie? Pan? Obrazić mnie może tylko ktoś, o kogo dbam.

A więc widział Wentzel te oczy mroczne, pełne błysków, te usta milczące, pełne życia, miał — czego pragnął.

Wyprostowana, z brwią ściągniętą, rzucała mu lekceważenie po lekceważeniu, a w nim, zamiast gniewu, budziło się dzikie jakieś uczucie pożądania.

Pod wpływem tym wyrwała mu się gwałtownie z ust zuchwała przysięga:

— A ja mówię, że pani o mnie dbać będzie, musi! I albo znienawidzi mnie, albo pokocha, chociażem Niemiec, i nikczemnik, i kłamca, i próżniak... to wszystko, co pani mi zarzuca.

Przeląkł się sam tego zuchwalstwa; myślał, że go spiorunuje wzgardą; tymczasem ona popatrzyła nań chwilę przejmująco, potrząsnęła głową i odrzekła zwykłym, ponurym tonem:

— Za nienawiść lub miłość nikt nie może ręczyć, ani pan, ani ja. Ale na to mogę przysiąc, że nie pokocham ani Niemca, ani próżniaka, ani nikczemnika, ani hulaki... tego wszystkiego, czem pan jest! Polka zaczyna od szacunku!

— Zobaczymy, kto kogo zwycięży! Ja jeszcze nie znam porażki — rzekł stanowczo.

— Jeszcze pan nie znasz wielu rzeczy. A przedewszystkiem zapominasz się pan względem mnie. Jestem zaręczona.

— Między ustami a brzegiem puharu wiele jeszcze zdarzyć się może — rzucił lekko.

— Zastosuj to pan do siebie.

— Wolę do pana Głębockiego — odparł zuchwale.

— Jak się panu podoba, byle nie do mnie. Zechce pan uwolnić mnie od dalszej swej arogancji. I moja cierpliwość może się wyczerpać!

— Ale nie moja.

— Obejdę się bez tej wiadomości.

Rozdrażnienie wybiegło obojgu na twarze: ona stała się blada jak marmur, na jego czoło wybiegła sieć żył. Kipiał pod chłodem tej dziewczyny, zapomniał panowania nad soba.

Gdzie się podziało jego cezarowe: *veni, vidi, vici!*

Po ostatniej odpowiedzi panna Jadwiga ruszyła ramionami i wyszła z pokoju. Począł chodzić wzdłuż i wszerz, by się opamiętać.

Jan go tak zastał.

— Co? Niema Jadzi? Jedyna do bawienia gości! Sąsiedzi będą mieli pociechę z domu państwa Głębockich! Wie pan, co babka mi poleciła? Zatrzymać pana na tydzień! Zgoda?

— Z całą przyjemnością. Dziękuję.

— Posłyszy pan niejedno kazanie o Niemcach.

— Cóż robić! Cierpimy za winy rodziców.

— Jakto?

— Żeby ojciec mój dotrzymał obietnic, danych rodzinie żony, byłoby inaczej, może lepiej, — dodał powoli.

— At, co tam rodziców obwiniać! Żeby nam Jadzia dała herbaty, toby było nietylko lepiej, ale zupełnie dobrze.

. . . . . .

Po tygodniu wrócił hrabia do Berlina i zaraz na wstępie zawołał grooma:

— Odprowadź „Scherza" do barona Michała von Schöneich! Marsz!

Zamyślił się chwilę.

— Zakład przegrałem — mruknął — ale ją mieć będę, chyba ona zginie, albo ja. Głupi był zakład, kapitalnie... No, kto ją tam wiedział! Brr! żeby się o nim dowiedziała! *Verflucht, verdammt!* Uh! co za królewska dziewczyna! Takiej być ukochanym, to dopiero jest się czem pochwalić. Tymczasem trzeba się o Aurorę dowiedzieć. Czy licho już gdzie poniosło admirała? Doprawdy, czegoś mi jednak tęskno za moją Loreley. Urban, konie!

VII.

Pewnego dnia, wśród zimy, Jan Chrząstkowski wysiadł na berlińskim dworcu i kazał się wieść do pierwszego lepszego hotelu; tam zjadł śniadanie, przebrał się i wyszedł na miasto.

Obyczajem wieśniaka, gapił się w okna magazynów, czytał afisze na rogach ulic, zabłądził parę razy, raz wpadł pod konie i nareszcie po wielu przygodach dobił się pod Lipy. Tu zaczął chodzić od bramy do bramy po informacje o właścicielach, jakby zbierał szczegóły do gotajskiego kalendarza; aż po wielu trudnościach ze szwajcarami dożeglował do pałacu Wentzla Croy-Dülmen. Odetchnął jak po ukończonej ciężkiej pracy i zadzwonił.

— *Wer da?*

— *Ich!* — odparł dumnie Jan, stając u okienka.

Urzędnik pałacowy czytał dziennik i dość niechętnie przerwał politykę.

Wyglądał uroczyście w ponsowym płaszczu, szamerowanym złotem. Błyszczał jak słońce.

— Gdzie mieszka hrabia? — spytał Polak, pospiesznie biorąc za klamkę dalszych podwoi.

Ale zatrzask odmykał się tylko z loży, a szwajcar nie spieszył się z pociśnięciem sprężyny.

— Pan hrabia nie przyjmuje o tej godzinie — ogłosił, jak dekret senatu, pokazując na zegar nad okienkiem.

— To nie twój kłopot. Otwórz, dam sobie radę.

Szwajcar popatrzał na niego, jak na warjata, zażył dyskretnie tabaki i, podnosząc wskazujący palec do wysokości nosa, wyrecytował jak z książki:

— Recepcyjne godziny u jaśnie wielmożnych hrabiów Croy-Dülmen są następujące: od jedenastej do pierwszej po południu, od trzeciej do czwartej wieczorem. We środy i piątki przyjmuje się także później zaproszonych gości. Stosuje się to tylko do znajomych i krewnych, przychodzących z wizytą, którzy winni się oznajmić wizytową kartą, tu złożoną. Wizyty nieznajomych i interesantów przyjmuje plenipotent jaśnie wielmożnego hrabiego, pan Fryderyk Sperling we własnem mieszkaniu: Ortweinstrasse nr. 17.

— Oto bilet. Proszę mnie oznajmić hrabiemu. Przyjmie niezawodnie — zawołał Jan niecierpliwie. — Zresztą, zaledwie dwunasta.

— I pięć minut. Kartę raczy pan przedstawić o trzeciej.

— Bodajeś pękł, kufo browarna! — zaburczał Polak, wściekły, zawracając z powrotem.

Ciężkie dębowe podwoje zapadły za nim; znalazł się na ulicy.

— Podłe Niemcy! — klął, wodząc oczami po frontonie pałacu. — Oj, dałbym ja, dał tej grubej poczwarze! Wracaj znowu po obiedzie.

Gdy tak medytował, patrząc w okno, czy się gdzie Wentzel nie pokaże, nagle otwarły się szybko małe, niepozorne drzwiczki lewego skrzydła i z nich

wybiegła młoda dama, żegnając kogoś kaskadą śmiechu; za nią zamknęło się tajemnicze wejście.

Kobieta otarła się prawie o Jana, który na nią wytrzeszczał oczy, zmieszała się z tłumem i znikła.

— Oho, patrzcie... ta kursuje pięć minut po dwunastej! No, no, akuratność niemiecka toleruje ładne wyjątki bocznemi drzwiami! A żebym ja tam zakołatał? Wezmą mnie za panienkę i puszczą do sanktuarjum! Ho, ho, ten paniczek, *si correct*, figluje na swoich śmieciach! Na zdrowie mu, byle tylko otworzył.

Zastukał raz i drugi do furtki, bez skutku — i dał za wygraną.

— Nie znam umówionego znaku. Co robić? Pójdę na miasto popatrzeć, wrócę o trzeciej.

Stawił się punktualnie co do minuty. Gruby szwajcar protekcjonalnie kiwnął mu głową, wziął bilet i pocisnął sprężynę zatrzasku i dzwonek elektryczny.

Drzwi się otwarły, ponsowo-złoty lokaj powitał gościa ukłonem, wziął kartę i cicho, jak widmo, poprowadził oszołomionego po marmurowych schodach przykrytych dywanami, na pierwsze piętro.

Na załomach rycerze z bronzu świecili gazowemi pochodniami, a na końcu schodów wiotka bronzowa Psyche wyciągała w górę śliczne ramiona z alabastrową lampą.

Magnacki przepych bił ze ścian, malowanych *al fresco*, z marmurów — przepełniał dom cały. Lokaj, zawsze milczący, wprowadził gościa do salonu, obwieszonego gobelinami i zniknął, niosąc bilet na złoconej tacy.

Po dość długiem oczekiwaniu skrzypnęły drzwi. Jan się porwał uradowany i struchlał.

Naprzeciw niego wyszła maleńka postać panny Doroty von Eschenbach i przywitała go staroświeckim dygiem.

— Pan zapewne chciał się widzieć z Wentzlem? — zaczęła uprzejmie, spostrzegając jego zakłopotanie.

— Tak, łaskawa pani!

— Jestem panna Dorota von Eschenbach, ciotka Wentzla — przedstawiła się, dygając powtórnie. — Pan ma interes do niego. Może dzierżawca? Jest pan Sperling.

Jan się zaśmiał.

— Interes mój nie wymaga plenipotenta. Wystarczy mi godzina rozmowy z hrabią.

— Ach, panie! Godzina rozmowy! Ja od dwóch tygodni nie mogę go zdobyć na minutę! Teraz karnawał. Dziś bal w ambasadzie austrjackiej, jutro u książąt Ernestów, pojutrze u hrabiostwa Spangendorf, we czwartek przyjęcie u dworu. Karnawał, okropność! Bardzobym chciała panu dopomóc. Przed chwilą posłałam do Wentzla; może się zjawi.

Ponsowy lokaj ukazał się w progu.

— Pan hrabia śpi — oznajmił oficjalnie. — Urban kazał powiedzieć, że dla nikogo nie ośmieli się go budzić!

— Biedaczysko! — westchnęła ciocia Dora. — Byłoby to niemiłosierne, przerwać mu spoczynek.

Jan się zniecierpliwił. Biedaczysko nie był przecie ani starcem, ani chorym, ani niemowlęciem — nie czuł dlań żadnej litości.

— Bardzo mi przykro, żem panią utrudzał. Żegnam.

Wstał i wyszedł, życząc Wentzlowi djabłów i licha.

Dzień był stracony. Poszedł wieczorem do teatru, ale darmo się rozglądał. Wentzla nie było, sztuki

mało pojął, znajomych nie miał, ziewał jak na niemieckiem kazaniu.

Następnego dnia włóczył się po mieście, tam, gdzie najwięcej było prywatnych ekwipaży, strojnych dam i okazałych magazynów — i tam nie było Wentzla.

Zamiast niego los mu nadarzył Urbana.

Factotum hrabiowskie widocznie było na urlopie. Miał na sobie kamerdyner angielskie palto, błyszczący cylinder, lakierki i jasne rękawiczki. Z nosem zadartym i rękami w kieszeniach wyglądał jak jego pan. Z pod pachy wyglądała laseczka o złotej skówce. Laseczką tą wydziobywał oczy przechodniom i gwizdał sobie aryjkę Straussa.

Ujrzawszy Chrząstkowskiego, nie zmieszał się wcale, uchylił z wdziękiem kapelusza i mijał jak kolegę.

— Czekaj-no, czekaj — zatrzymał go Jan. — Gdzie twój pan?

Urban zrobił gest niewiadomości.

— Uwolniłem się na tydzień, proszę pana. Wracam w tej chwili ze ślizgawki — odparł z ujmującym uśmiechem. — Teraz karnawał.

— Przecie mogę się zobaczyć i spotkać z hrabią choćby w karnawale.

— Spotkać bardzo łatwo. Nasze taranty znają cały Berlin. Ale zobaczyć się, to prawie niepodobna. Pan hrabia bardzo zajęty.

— Możesz mi ułatwić wizytę?

— Chyba za tydzień.

— Zwarjowałeś! Mam do niego polecenie od jego babki z Marjampola.

Tu Urban wyjął ręce z kieszeni i przybrał typowo-lokajską pozę.

— *Die Wohlgeborene aus Marjampol? Das ist etwas anderes.* Mogę panu dać bilecik polecający do mego zastępcy Augusta.

— Tfu! Będę chodził od fagasa do fagasa! Wolę z niczem wrócić. *Schönen Dank!* Obejdę się bez twojej pomocy.

Urban nie zrozumiał powodu gniewu. Uchylił na pożegnanie cylindra i wszedł do okazałej restauracji.

W Janie wzbierał gniew. Chciał wracać z niczem, ale zląkł się pani Tekli. Wsiadł do dorożki i kazał się wieźć za Brandenburską Bramę.

Było to dobre natchnienie. Wśród setek powozów i koni dwa przepyszne taranty mignęły mu jak błyskawica. Kazał stangretowi je dopędzić. Stanął w dorożce i wyglądał.

Taranty zwolniły biegu, dorożkarz ćwiczył swe szkapy — zrównali się. Jan zajrzał do powozu i zaklął po mazursku.

Ujrzał wewnątrz szlify wojskowe i szubkę chudej damy o bladych oczach.

Nie znał majora Koop i nadobnej jego Emilji, więc się nie przywitał, tylko kazał zawrócić, i zły jak piorun, wysiadł na obiad w hotelu.

Dano mu sporo siekaniny i słodką zupę na pociechę, — to mu wcale nie poprawiło humoru. Ruszył jednak z wzorową wytrwałością na dalsze poszukiwania.

Włóczył się to tu, to tam, zapatrzony w przejeżdżające powozy, obrywając treny damom, popychający i popychany, często łajany; raz go nawet wystrofował policjant. Naprożno — nie widać było ani tarantów, ani Wentzla, ani nawet Urbana. Żałował bardzo Jan, że się nie wypytał lokaja o klub czy restau-

rację, gdzie hrabia obiadował zwykle. Byłaby to nić Arjadny.

— Zabawię do jutra i wrócę, albo napiszę. Pani Tekla zada mi pieprzu, jak amen w pacierzu. Cóżem winien? Ten przeklęty hrabia karnawałuje, a ja nie jestem panienką. Oto cały powód niepowodzenia. Alboż to moja wina? Ot, zajdę na szklankę ponczu. Zimno!

Wszedł do kawiarni. Naprzeciw niego siedziało trzech panów, rozmawiając wesoło.

Mimowoli zaczął półuchem nasłuchiwać.

— Hrabina Aurora wyjechała do Poczdamu. Nie będzie dziś na balu u ministra.

— Szkoda. Obiecała mi walca.

— Słyszeliście, że na maskaradzie wczoraj Schöneich przebrał się za damę i uwziął się na Herberta.

— I cóż?

— Ale, komedja! Herbert się zapalił, nie odstąpił na krok, przysięgał, że poznaje Almę z baletu. Zaprosił na kolację, poił szampanem i odwiózł swoją karetą. Dziś wyzwał Schöneicha na szpady.

— Będą się bili?

— Koledzy nie dopuścili. Baron pozwolił Herbertowi na przyszły bal wziąć swoje domino i kok.

— No, już trzeba przyznać, że Wentzel i Schöneich broją bez pamięci w tym roku.

Jan aż podskoczył na krześle i wytężył uwagę.

— A zawsze się im uda spłatać figla i wykręcić się sianem. Myślałem, że będzie źle, gdy wykradli starą guwernantkę księżniczki Elizy!

— Co? Nie słyszałem! — spytał ciekawie jeden.

— Prawda, że ty wczoraj przyjechałeś z Wiednia. Jak wiesz, Wentzel ma ząb na szambelana Astowa

za jakąś plotkę o nim i o hrabinie Aurorze. Stary coś widział, coś słyszał, coś dodał i wypaplał. To i dosyć. Otóż obydwaj z papryką urządzają farsę. Guwernantka wracała z teatru, Wentzel się do niej przysuwa, czuli, uśmiecha, wreszcie błaga o chwilę rozmowy. Gdzie? — W hotelu. Babie podobał się chłopak — zgoda! Tak ją łotr usidlił, że nie patrzała, gdzie jedzie. Zawiózł ją prosto do szambelana, przekupił służbę, ulokowali guwernantkę w gabinecie i niby wyszli na chwilę, poto tylko, żeby zaprosić znajomych, jako od Astowa, na karty. Zebrali umyślnie najplotliwszych radców i gromadą wpadli. Tymczasem szambelan miał fluksję i rano się położył. Zbudził go krzyk kobiecy. Guwernantka zaczęła być niespokojna, wołała ratunku. Szambelan myślał, że to pożar, rozbój, awantura; narzucił szlafrok i wypadł bez peruki i zębów, — Adonis. Guwernantka w krzyk, dostała spazmów. On do niej — ratować — ażtu lokaj otwiera drzwi i recytuje z tuzin nazwisk. *Tableau!*

Młodzi ludzie aż się pokładali od śmiechu. Jan miał ochotę im zawtórować.

— Cóż Wentzel i Schöneich?

— A cóż, sprawa zaszła aż do cesarza. Wzywano obu. Skandal! Astow zachorował. Guwernantkę musiano schować, bo ją palcem wytykano. Myśleliśmy, że im obu każą wyjechać co najmniej. Wrócili z gęstemi minami. Hrabina Aurora zaręczyła, że byli u niej tego wieczora. Spadło wszystko na Astowa.

— Żeby nie hrabina, toby sto dam za nimi ręczyło.

—Wiesz, że o Wentzla panna Annheim obiła szpicrutą Ellę Schwan!

— Widziałem. Działo się to przy stu świadkach w manežu. Kłóciły się jak przekupki.

— Schöneicha boją się jak złego ducha. Znają je do gruntu. A jak weźmie na fundusz, to nie zostawi suchej nitki.

— A wiecie z kim Wentzel teraz romansuje?

— Z dwudziestoma!

— To flirt, ale serjo z jedną.

— Z hrabiną Aurorą.

— To urzędowo. A nieurzędowo... z żoną swego plenipotenta. Znacie Sperlinga?

— Aha! Młoda, szczupła brunetka. Widziałem w teatrze. Ten Wentzel specjalista od mężatek.

— Bo się żenić nie wybiera, jak ty. Na twoją pannę Hertę ani spojrzy teraz, ale po ślubie radzę ci wyjechać.

— Co też i uczynię. Te kobiety, jak owce! Za jedną skoczy tysiąc.

— Wczoraj była znowu awantura u Lidji. Powybijano wszystkie okna, potłuczono lustra i lampy, nie zostało jednego całego sprzętu. Dziś ich z dwudziestu wybiera się do Buff.

— Chodźmy i my!

— Pójdę i ja — pomyślał Jan.

Młodzi ludzie zapłacili i wyszli z hałasem; za nimi wymknął się Jan, uśmiechając się triumfująco. Wiedział, gdzie szukać hrabiego. Kazał się wieźć do Buff i po długiem kręceniu się w labiryncie ulic znalazł się wreszcie przed oświetloną bramą trzeciorzędnego teatrzyku. Spóźnił się widocznie. Przed świątynią wesołej sztuki pełno było powozów i koni, roiło się od liberji, jakby cała arystokracja pruska dała sobie tam *rendez-vous*.

Jan omal nie krzyknął z radości. Taranty Wentzla stały u bramy. Spytał stangreta o hrabiego.

— *Soeben angekommen* — odparł sługa.

— Ha, mam cię przecie! — zamruczał, biorąc bilet do krzeseł.

W sali gorąco i tłok był nie do opisania. Podrzucany jak piłka, dobił się swego miejsca, odsapnął i rozejrzał się po sali. Wentzla nigdzie nie było. Publiczność składała się ze studentów, młodzieży rzemieślniczej i handlowej i trochy oficerów. Afisz ogłaszał „Orfeusza w piekle".

Jan stracił na chwilę przytomność, odurzony śmiechem, piskiem, tupaniem i przeraźliwą muzyką janczarską.

Widzowie wrzeszczeli jak stado dzikich; wywoływano aktorki po sto razy, rzucano na scenę bukiety, miotano się, machając kapeluszami i chustkami.

— Czy do tych Szwabów złe przystąpiło? — pomyślał Jan, wytrzeszczając oczy. — Ale dziewczęta ładne! Ani słowa. Tej czarnej i jabym bukiet dał. No, no, co też ten karnawał wyprawia. Ale gdzie Wentzel? Przecie nie występuje za aktora. Nie wysiedzę tu nic: trzeba gdzieindziej zakołatać.

Przecisnął się do przejścia i wpadł na jakiegoś służącego w liberji.

— Słuchaj-no, a gdzie ci panowie, co ich niema? — krzyknął, porywając człowieka za kołnierz.

— Co ich niema... — wybełkotał lokaj zdyszany — To oni są... są... ale ja biegnę po szampana...

Obydwa pletli trzy po trzy, ale rozumieli się doskonale. Jan wetknął srebrniaka w rękę draba.

— Znasz hrabiego Croy-Dülmen?

— Jakiego? Mego pana? Toż przecie lecę po szampana.

— A gdzie twój pan?

— A ot tam, w garderobie. Ale ja lecę, proszę darować!

Wyrwał się i pobiegł, skacząc po trzy stopnie. Jan ruszył, gdzie mu wskazał, źle oświetlonym korytarzykiem, aż do drzwi, u których stała straż teatralnego sanktuarjum, olbrzymi woźny.

— Proszę mnie puścić za kulisy.

— *Verboten* — była lakoniczna odpowiedź.

— Masz talara.

— *Verboten*.

— No, to daj moją kartę hrabiemu Croy-Dülmen.

— *Verboten*.

— Ażebyś się zadławił swojem *verboten!* Puszczaj bo stracę cierpliwość!

— *Gehen Sie zum Kuckuck!*

— Ty sam tam pójdziesz, szympansie! Mam interes bardzo pilny do hrabiego.

— To nie czas na interesa. Karnawał!

Sprzeczka stawała się żywą. W Polaku zaczynała grać krew słowiańska. Szwajcar wojował flegmą.

— *Du Haderlump!* — huknął Chrząstkowski — Ty mi jeszcze radzić będziesz!

Porwał Niemca za ramię, odrzucił na bok.

— *Mord! Skandal!* — zaryczał olbrzym.

Na to hasło drzwi się otwarły. Kilku liberyjnych lokajów skoczyło z pomocą.

W mrocznym korytarzyku zakotłowało się jak w garnku. Jan jak odyniec począł się szamotać i bronić, klnąc po polsku; lampka zgasła, mrok rósł. Ktoś pobiegł alarmować policję. Gruby szwajcar wył nieludzkim głosem:

— *Mord! Mord! Mord!*

Wtem drzwi z za kulis otwarły się znowu, w głębi huczały śpiewy i śmiechy — wychodzący zajrzał w korytarz.

— *O Je, O Je, O Je*! — lamentował szwajcar.

— Kogo tam mordują? — krzyknął głos, na dźwięk którego Jan wykrzyknął rozpacznie:

— Ratunku, hrabio! Te plugawe Szwaby zaduszą mnie w tej norze!

Nim skończył, Croy-Dülmen już mu był u boku i uścisnął serdecznie. Napastnicy zmykali chyłkiem, szwajcar uchylił kapelusza.

— *Kreuz-Element!* — klął hrabia — A to awantura. Skąd się pan tu wziął? Z drogi, hołota! Aaa, to ty, Auguście! Jest szampan? Czemuś tego pana nie przeprowadził? *Dummes Tier!* Proszę, proszę, panie Janie! No, nie poturbowali cię zbytnio?

— No, nie. Żebym miał prawą rękę, tobym się ja im dał we znaki. Ha! dobiłem portu! Trzy dni szukam pana hrabiego.

— Co się stało? Przecie nie żadne nieszczęście u was? — spytał hrabia niespokojnie.

— Ej, nie! Mam tylko polecenie od babki, ale nic nie nagli. Nie będę tem hrabiemu przerywał zabawy. Rozmówimy się jutro, bylem tylko dostał audjencję!

— Ależ jestem na rozkazy wszystkich z Marjampola. Co prawda, karnawał to gorączka.

— Wiem coś o tem i nie przeszkadzam. Jutro przyjdę o południu do pałacu.

— *Unsinn!* Chodź pan tam, zabawimy się. Będziesz pan wyglądał istotnie jak Orfeusz w piekle. *Es geht flott!*

— Widzę, widzę. Istna wieża Babel! — śmiał się Jan.

— Wentzel! Wentzel! — rozległo się wołanie i sarkastyczna twarz Schöneicha wytknęła się na korytarz — za nim mignęły obnażone ramiona dwóch dam.

— Chodź, Michel! — zawołał hrabia. — Przedstawiam ci nowego gościa, mego znajomego z Poznania. Pan Chrząstkowski, baron Schöneich.

Papryce spadły z nosa binokle.

— Pan Żonżowski! — powtórzył przeciągle.

A potem, jakby zrozumiał, zaśmiał się impertynencko w oczy Wentzla.

— Aha! — rzekł tylko i grzecznie zwrócił się do obcego.

— Pan nie zna pięknej Lidji?

— Nie, panie.

— Ani czarnookiej Esmeraldy?

— Niestety, nie — odparł Jan wesoło.

— Ani Elli Schwan?

— Nikogo.

— Zatem ja pana zaznajomię. Bo to, widzi pan, Wentzel zły na towarzysza i kolegę. To żarłok!

— A pan apostołujesz wstrzemięźliwość?

— Uhm! Ja...

— Ty jesteś pijany, Michel! — przerwał Wentzel. — Prowadź pana Chrząstkowskiego!

— Wypiłem jeden tylko toast za zdrowie Herberta, który pociemku, zamiast Lidji, pocałował w rękę maszynistę.

— Ejże, a może to ty sam bez binokli! — śmiał się Croy-Dülmen.

— Ja, mój drogi, Lidji nie całuję w rękę!

Schöneich, wygłosiwszy to zdanie, zatrzymał się i, kładąc rękę na klamce drzwi, spytał Jana:

— Czy pan był kiedy na balu warjatów? Nie, no to niech pan patrzy i admiruje.

Weszli do dużej sali, pełnej zakamarków, nisz, drzwiczek, zawalonej dekoracyjnemi przyborami. Wśród tego bezładu kilkadziesiąt osób udawało dom obłąkanych.

Piękne aktorki, w kostjumach i trykotach, snuły się, otoczone gronem młodzieży. Każdy robił, co mu się podobało. Jedni pili szampana, inni śpiewali kuplety; śmiano się, dowcipkowano, tańczono — hałas panował piekielny.

— A co? Warjaty! — zaśmiał się Schöneich po minucie obserwacji. — Jak pan myśli, co większe: czy zdolność aktorek, co prosto stąd biegną na scenę, czy cierpliwość i pobłażanie publiki?

— Jedno i drugie monstrualne — odparł Jan.

— Wentzel — szepnął baron, — Widzisz Herberta przy Lidji? Przecie skombinował, co maszynista, a co primadonna! Patrz, jak wetuje porażkę. Oho, jaki do ciebie podobny! Wąsy kręci i oczy mruży, jak kot. Ani się obejrzysz, jak się zupełnie przejmie twoją rolą.

— Ja mu dam! — zamruczał gniewnie hrabia.

— Dajże pokój. Zrobisz awanturę, a potem pojedynek. Chcesz zarznąć barana. Wstyd! Idź-no w drugą stronę i załóż się z kolegami, że Herbert ucieknie za godzinę. Będzie farsa. *Salut*, piękna Esmeraldo!

Smagła dziewczyna wracała ze sceny, otarła się o niego, zaśmiała swawolnie, unikając uścisku. Wentzel zastąpił jej drogę, wywinęła się i jemu, rzuciła w drugą stronę — spotkała oko w oko Jana.

— *Sooo!* — rzekł przeciągle Schöneich. — Wybieraj bramę i zapłać kopytkowe, piękna Gazello! Jesteśmy jak boginie z lasku Ida. Wybór trudny!

No, no, jak ci się zdaje? Przecie jam piękny jak Wenus, ochrzczono mnie nawet: *Schön bin ich!*

Aktorka dała mu szczutka w nos, natarła na Jana.

— *Mein Herr!* Proszę odstąpić!

— *Mein Fräulein*! Baron podał warunki! — odparł żartobliwie.

Nim się obejrzał, wyśliznęła mu się z rąk i uciekła ze śmiechem. Schöneich pogroził jej palcem.

— Ho, ho! Patrz pan, mruga, proszę spróbować szczęścia! Tylko w ciemności ostrożnie z maszynistami!

Aktorka istotnie kiwnęła na Jana, niknąc za jakiemiś skrzyniami; po chwili wahania poszedł za nią w towarzystwie Wentzla. Schöneich popatrzył za nimi.

— Z tego Wentzla skończony łotr! Ani się pochwalił ze znajomością tego ognistego kawalera. Sekret, hm, to coś podejrzanego; czuję opale w pobliżu! Fe, chłop jeszcze spłata figla i ugrzęźnie w Polsce. Dziedziczne choroby bywają najcięższe. Ho, ho, poczekaj, zadam ja ci antydotu! Niech-no zaalarmuję hrabinę Aurorę, albo Herberta.

Schöneich począł skubać swe rudawe faworyty — był to znak dyplomatycznego namysłu; potem wsunął się w tłok rozbawionej młodzieży i, rzucając po drodze śmieszne zaczepki, dożeglował do kanapy, gdzie piękny Herbert, rozwalony obok rudowłosej Lidji szeptał zaklęcia i karmił cukierkami. Spojrzał zezem na intruza.

Ale baron bez ceremonji ulokował się z drugiej strony aktorki, na jej falbanach, i flegmatycznie zapalił cygaro.

— Tak, moi państwo — zaczął z sarkastycznym grymasem, — powiem wam bajeczkę.

— Eh, nie przeszkadzaj! — burknął Herbert. — Ot, lepiej przekonaj Lidję, żem lepsza partja od Wentzla.

— Tego, mój drogi, uczynić nie mogę, bo mam was obu za złe partje! Najlepszą jestem ja.

Aktorka parsknęła śmiechem, a Schöneich mówił dalej, obserwując z pod oka Jana Chrząstkowskiego i Wentzla z Esmeraldą.

— Twój hrabia, piękna Lidjo, zachowuje się bez żadnych względów dla ciebie. Widzisz, jak mu oczy się błyszczą do Esmeraldy. To będzie gwiazda sezonu!

Zielone oczy Lidji zamigotały wściekłością.

— Będzie to zatem sezon brunetek! — syknęła.

— A twój książę Herbert, czarodziejko, zostawi cię jeszcze dziś na koszu! — szydził dalej niemiłosierny Schöneich.

— To fałsz! — zaperzył się Herbert. — Panny Lidji nie opuszczę, choćby się świat skończył! Jest mojem bóstwem! Nie boję się Wentzla!

— To kwestja nie rozstrzygnięta, bo ci Wentzel zdobyczy nie odbiera. Zajęty jest swoim przyjacielem, panem Żonżoskim.

— Co? — skoczył Herbert — A ten tu skąd się wziął?

— Przypadkiem. Bawi w Berlinie z siostrą, tą w opalach. Wentzel się nimi zajmuje.

— *Teufel.*

— Czy oni ciebie zajmują?

— Nie, ot, tak sobie! Mnie zajmuje tylko panna Lidja! — szepnął melancholijnie.

— Pamiętaj-że służyć rycersko damie, bo gdy się zachwiejesz, ja ci staję za rywala.

— Żebyś lepiej poszedł sobie do djabła!

— Aha, prawda, przygniotłem falbankę, przepraszam, nie przeszkadzam.

Schöneich ukłonił się bardzo nisko i gdzieś się zapodział, bo go Herbert nigdzie nie spostrzegł. Przechylił się poufale do Lidji i roztaczał obraz swych doskonałości, a jej szczęścia, gdy mu los powierzy.

Tak był zatokowany i zachwycony sam sobą, że nie dojrzał, jak tuż za kanapą, w cieniu jakiejś kulisy, wysunęły się binokle barona i ruda głowa teatralnego posługacza.

Obydwa szeptali coś tajemniczo, potem sługa głową dał znak, że pojął i zniknął. Schöneich wynurzył się, jak duch, z przeciwnej strony i połączył się z Wentzlem i z Polakiem. Wkoło nich zebrała się zaraz gromadka, śmiejąc się i gestykulując.

Zielone, zazdrosne oczy Lidji nie schodziły z nich. Po chwili Wentzel spojrzał na nią, odłączył się od grupy i podszedł, gryząc w zębach cygaro.

— No, Herbercie! — rzekł wesoło. — Dość się bawić w kłusownika, idź na neutralne terytorjum.

Aktorka rzuciła się niecierpliwie.

— Pan mi raczy oszczędzić swych impertynencyj, bardzo proszę! Nie jestem niczyją zwierzyną; książę Herbert jest moim gościem.

Wentzel wzruszył lekko ramionami.

— Doprawdy? Przywiozłem tu panią memi końmi z mego mieszkania, mieliśmy po teatrze jechać razem na kolację.

— Pojadę z księciem. Może pan sobie wziąć Esmeraldę do pary! — zawołała z furją.

— Zatem daje mi pani odprawę. Jak się podoba. Żeby tylko pani nie została bez pary!

— To mój kłopot — wygłosił Herbert, rozpływając się z powodzenia i triumfu.

Wentzel obojętnie rzucił cygaro przez głowę pyszałka w kąt między kulisy.

— Spalisz teatr! — zawołał Herbert, oglądając się.

— Więc co?? To zapłacę! Życzę państwu powodzenia.

Zawrócił się na obcasie i odszedł.

Czuła para została sama. Towarzystwo, jakby zamówione, trzymało się zdaleka; muzyka głuszyła gwar, aktorzy i aktorki snuli się bezustannie ze sceny i na scenę, publiczność hałasowała jak stado potępieńców, za kulisami szampan krążył coraz gęściej, podniecając humory.

Tylko Herbert gruchał i gruchał, nadymał się jak indor, rączki Lidji trzymał w gorącym uścisku, wyfryzowaną modnie głowę chylił nad nią coraz niżej, coraz poufalej.

Nie widział, że naprzeciw niego Schöneich, usadowiwszy się na jakimś koszu, naśladował jego każdy ruch, trzymając w objęciach wypchanego z pakuł bożka Bacchusa. Aktorki i młodzież pokładali się od śmiechu. Jan Chrząstkowski z Wentzlem ryhotali, bez ceremonji, głośno.

Nareszcie ramię zdobywcy objęło wiotką kibić Lidji, usta jego wyciągnęły się do pocałunku... Wtem trzask, łoskot — i dym buchnął kłębami z za kanapy.

— *Feuer!* — wrzasnęło sto głosów, jak na komendę.

Herbert skoczył na równe nogi, zaplątał się w koronki Lidji, potknął się — upadł, porwał się i jak warjat rzucił się do drzwi.

— *Wasser! Es brennt!* — wrzeszczał nieludzkim głosem.

Kłęby dymu tymczasem rosły, rosły, stawały się coraz czerwieńsze, aż wreszcie łuna ponsowego bengalskiego ognia oblała kanapę, Lidję, plecy bohatera i pokrzywione od szalonego śmiechu twarze obecnych.

— *Es brennt! Es brennt!* — rozległo się po korytarzach.

Zrobił się zamęt. Policja, strażacy, dyrektor, służba, biegli ze wszech stron, widzowie zaczęli z wrzaskiem uciekać.

— *Was gibt's? Was gibt's? Was brennt?*

— *Bengalisches Feuer!* — objaśnił Wentzel prosto w ucho naczelnika straży.

Policjant starszy podniósł głos stentora:

— Za ten żart, moi panowie, będziecie odpowiadali przed sądem. W stolicy, w miejscu publicznem, taki zamach na spokój obywateli, trwoga, alarm, to pachnie wieżą! Kto się tego dopuścił?

Nagle przed srogim pruskim urzędnikiem wyrósł z tłumu Schöneich, ciągnąc za sobą nieszczęsny manekin Bacchusa.

Wziął go za ramiona, postawił frontem i, przykładając jego rękę do piersi wypchanej słomą, rzekł z przejęciem:

— *Der da hat's gemacht! Der Schurke!* Niech wyzna! Złapałem go na uczynku! *So ein Halunke!*

Tu zamilkł, biorąc za ucho straszydło, ale natomiast z gardła Bacchusa wyszedł żałosny, piskliwy głosik:

— *Ich bin's! Es ist eben Karnewal!* Odsiedzę wieżę w post!

Twarz policjanta skurczył śmiech — na to hasło wybuchnęli wszyscy: strażacy, służba, dyrektor, —

Library
St. Hyacinth College and Seminary
Granby, Massachusetts

tylko Schöneich zachował spokój i zaczął targać Bacchusa, aż go rzucił do nóg policjanta, i wśród niepohamowanej wesołości otaczających, biedny bożek jąkał, łkając:

— Już nigdy nie naruszę spokoju obywatelskiego, darujcie mi ten jeden raz! Byłem pijany! To Sylen winien, to nie ja! Ach, nie zamykajcie do wieży!

Policjant ocierał oczy czerwonym fularem, kopiąc nogami niewinny manekin, cofnął się do drzwi i uciekł, widząc, że na karnawał nie było lekarstwa; za nim wycofali się podwładni.

Ogień bengalski zgasł oddawna. Lidja sama siedziała na kanapie, szarpiąc koronki i płacząc ze złości. Nie zapomniał i o niej Schöneich. Podjął bałwana, majestatycznie podszedł do niej i posadził u jej nóg.

— Jest to jedyny zbywający kawaler. Wolny i niepodległy jak pani! — rzekł w głębokim ukłonie.

Wentzel nie widział tej sceny, bo klepał protekcjonalnie po ramieniu dyrektora, drugą ręką tkając mu garść przekonywających argumentów.

Muzyka ucichła, damy ubierały się spiesznie, ruszano do odwrotu.

— Na kolację! Na kolację! — wołano.

Powoli wypróżniała się sala. Został hrabia, Jan, Esmeralda, Ella Schwan, Schöneich i Lidja zemdlona na kanapie. Ostatni żart dobił ją. Pierwszy aktor całej farsy, Bacchus, leżał na ziemi, z torsem w rozkrzyżowanych ramionach, z uśmiechem pijanego zadowolenia na tekturowej twarzy. Baron wezwał przyjaciela.

— Ocuć ją, słyszysz, Wentzel! Obiecaj jej rivierę djamentową, czy coś równie ożywczego. Niech otworzy oczy, bo ci zostanie bałwan za damę. Ja służę Elli,

pan Żonżoski Esmeraldzie. Chyba weźmiesz maszynistę w braku towarzyszki.

— Idźcie naprzód, panowie. Dopędzę was na dole — uspokajał Croy-Dülmen.

Nie wiadomo, jakich użył argumentów, ale nim siedli do powozów, zjawił się, prowadząc pod rękę Lidję uśmiechniętą, różową, z błyszczącemi oczami.

Taki był wstęp Jana na berliński karnawał.

Co dalej nastąpiło, pozostało mu mglistem wspomnieniem śmiechu, hulanki, toastów, śpiewów; zdawało mu się nawet, że kogoś pocałował, ale ponieważ był niezupełnie trzeźwy, więc nie mógł zaręczyć, kto to był: Esmeralda, Schöneich, czy maszynista. W rezultacie zbudził się nazajutrz po południu w gabinecie Wentzla.

Hrabia już się ubierał, a raczej ubierało go trzech lokajów i fryzjer.

Zaczęli przypominać farsy wieczorne i śmieli się jak szaleni, aż nagle hrabia uderzył się w czoło.

— Aha, a interes babki! — zawołał.

— Wcale nie karnawałowej treści — odparł Jan markotnie. — Aż mnie ochota odchodzi wyłuszczać go. Może pan już zapomniał o Marjampolu!

— Chciałbym! — mruknął Croy-Dülmen niewyraźnie. — Jest może list do mnie? — dodał głośniej.

— Pani Tekla powiedziała, że prędzej jej ręka uschnie, niż do Niemca napisze. Znasz ją pan. Przytem była okropnie gniewna.

— Cóż się stało?

— At, tegom się dawno spodziewał. Głębocki sprzedaje majątek. Wie pan, ten pan, co to był.

— Wiem, narzeczony pańskiej siostry.

— Właśnie. Zrujnowały go konie i zbytkowne budowle. Pan tego nie rozumie, jak w gospodarstwie trzeba być wyrachowanym, nie pozwalać sobie na żadne fantazje. Adam handlował końmi, zawsze ze stratą, i murował do końca: tak przyszło i do zguby. Do tego nasze nieszczęsne warunki... At, co tam opowiadać! Bieda — i koniec!

— Przecie mi pan mówił, że posag panny Jadwigi miał ratować fundusz.

— Et! Tej Jadzi nikt nie zrozumie... Zresztą ten głupi Głębocki stracił resztę otuchy i energji. Zachorował ze zgryzoty. Odwiedziłem go. Ażem się zląkł, tak się zestarzał. — „Co ci?" — pytam. — „Zabiorą Niemcy Strugę!" — jęczy. — „To nie daj zabrać, czyś baba?" — „Ba, kiedy nie sposób ratować: długi prywatne i bankowe, i procesy, i żydy! Robactwo!"

Jan aż się zżymnął, potarł desperacko swą najeżoną czuprynę; hrabia usiadł obok niego i słuchał uważnie.

— Otóż — mówił dalej Chrząstkowski — wróciwszy, napadłem na Jadzię: „Słuchaj, dziewczyno, ratuj ukochanego, bierzcie się, ślubujcie piękne rzeczy i płaćcie długi!" Myśli pan, co się stało?

— Rozgniewała się!

— Żebyż! Wiedziałbym przecie co myśli; ale ona popatrzyła na mnie jak na idjotę i wyszła z pokoju. Ani słowa! Ot, jak to drewno! Desperacja! Uderzyłem po ratunek do babki. Aj, aj, aj! Szatan mi to doradził, bom podobnej awantury, jakem żyw, nie widział. Furja pani Tekli nie da się opisać. Posłałem po Głębockiego pięciu posłańców, a nim przybył, cierpiałem najniewinniej za wszystkich Niemców na ziemi! Dostało się tęgo Głębockiemu, ale ratunku i pani Tekla nie umiała znaleźć. Nawymyślała mu i wypędziła. W nocy

przyszło jej szczególne natchnienie: kazała mnie zbudzić o świcie; myślałem, że się rozchorowała ze złości, i oto com usłyszał: „Ruszaj mi zaraz dziś do Berlina i przywieź z sobą hrabiego Croy-Dülmen. Powiedz mu ode mnie, że jeśli nie posłucha, to popamięta Teklę Ostrowską!“

Wentzel się śmiał z całego serca. Widocznie polecenie zrobiło mu ogromną przyjemność.

— Cóż pan na to? — zagadnął Jan.

— Jadę dzisiaj, za godzinę! Boję się strasznie babki.

— A karnawał? Znudzi się pan u nas.

— No, przecież i u was się bawią. Pan mnie zapozna z sąsiadami, a może panna Jadwiga ofiaruje walca.

— Oj, nasze bale! Po wczorajszym nie zachwycą nikogo.

— Widzę, że pan połknął haczyk Esmeraldy. No, ta nam nie uciecze.

— A bura pani Tekli nie minie! — westchnął Jan — Straciłem pięć dni zamiast dwóch. Oj, ten karnawał!

— Pokusa! — zaśmiał się Wentzel. — Tymczasem dwie godziny czasu do wyjazdu. Ciekawym, gdzie to Urban...

— Na ślizgawce — objaśnił Jan i opowiedział spotkanie z lokajem.

— Małpa! — zdecydował chlebodawca łyżwiarza. — Ja go nauczę *moresu!* Hej, August! Dostawić mi tu Urbana, skąd chcesz, prędko!

W pół godziny *factotum* zjawiło się, pokorne, milczące, sztywne, w swym czarnym fraku.

Westchnął w duchu na rozkaz pakowania, ale się ze zdaniem nie ośmielił i ruszył na kolej. Po godzinie nie było Wentzla w stolicy. Schöneich zaspał tego dnia — po śniadaniu kazał się wieźć do przyjaciela. Widmo Polski nie dawało mu spokoju.

— Pan hrabia wyjechał — oznajmił mu szwajcar.

— Co? Gdzie? Z kim?

— Z jakimś młodym, nieznajomym panem. Do Poznania, z kuframi.

Schöneich zagwizdał przeciągle.

— *Entwischt!* Źle! Trzeba wziąć hrabinę do pomocy! *Es wird zu arg!*

Po chwili meldował się w pałacu hrabiny Aurory. Na głowę Wentzla zbierały się gromy najsroższe, bo z rąk kobiecych. A on ich ani przeczuwał!

VIII.

Innym się wydał Poznań Wentzlowi! Za pierwszą bytnością zieleniły się łąki, złociły pola — teraz śnieg pokrył całą krainę, życie zamarło.

Pod Braniszczem zadymka ich opadła, poczta nie chciała jechać.

Hrabiego tymczasem, im dalej od Berlina, ogarniała coraz mocniejsza gorączka i niebywałe rozdrażnienie. Wpadł jak furjat na poczthaltera.

Był to ów, wedle Urbana, jedyny cywilizowany człowiek i rodowity Prusak.

— *Spitzbube, Schurke, Lump!* — posypało się na niego z ust kompatrjoty, ku wielkiej uciesze Jana i służby pocztowej.

Znalazły się natychmiast konie i sanki, gdy wtem przybiegł żyd faktor.

— Wielmożna pani z Marjampola przysłała konie — oznajmił; — oni tu już jeżdżą od trzech dni.

— Oj, oj, — mruknął Jan. — To jej wcale humoru nie poprawi. Niech zajeżdżają.

Ruszyli lotną czwórką siwoszów, w noc, w zawieję, bez drogi. Urbana zostawiono, na pociechę poczthaltera.

— Zmarzniesz, hrabio — mówił Jan, patrząc z trwogą na miejskie palto Wentzla i jego malutką bobrową czapeczkę, wsadzoną z fantazją na prawe ucho!

— Jeszcze mi nie rychło krew zastygnie. Mam ochotę żywcem ujrzeć panią Teklę i powalcować z Polką. *A propos*, czy z pana plotkarz, panie Janie?

— Albo co?

— Te berlińskie saturnalje nie dla uszu dam z Marjampola. Kolegi się nie zdradza!

— Czy się boisz, hrabio, babuni? — żartował Polak.

— Przyznam, że więcej pana siostry. Żebyś pan wiedział, jak mnie spytała o Biarritz kiedyś latem. O *Je!* Spiekłem raka jak student. Te wasze damy z ich powagą Sybilli djabelnie imponują.

— Cóż pan spłatał tak strasznego w Biarritz?

— Ot, zjechaliśmy się wypadkiem z hrabiną Aurorą, moją starszą znajomą... i... i... była hrabina z Poznania. Eh, plotka! Nie lubię rumienić się przed panienką. Niech pan milczy o Lidji.

— Dobrze, dobrze! Jadzia nieciekawa, nie spyta. Zresztą i jabym dostał mycie głowy za kulisy. Brrr! jak zimno! Popędzaj, Maciej! A nie błądzim?

— Uchowaj Boże, proszę łaski pana — odparł wąsaty Mazur.

Śnieg zasypywał oczy. Wyglądali jak bałwany białe, wicher przejmował do kości.

Pomimo to, Wentzel gwizdał coraz to nowe aryjki z operetek i sypał jak z rękawa anegdoty.

Dziwna radość przejmowała mu duszę. Nie była to miłość dla pięknej Jadwigi, ale zadowolenie próżności i triumf. Babka wzywała go sama. Po co? Kto wie, może powie: kupuj Strugę i żeń się — z kim? Łatwo się domyśleć.

A może panna Jadwiga tęskniła za nim... To wezwanie było z jej inicjatywy? Zdawało mu się

to zupełnie naturalnem. Tysiąc razy się zdarzało. Przytem wiózł do Marjampola niespodziankę. Z tego sekretu nie pochwalił się ani przed baronem, ani przed Janem, przed nikim.

Miało to być ostateczne *coup du théatre*.

Z głową napchaną podobnemi myślami nie czuł mrozu, droga mu się tylko dłużyła nieskończenie.

— Gdzież ten Marjampol bogi odniosły? Jedziemy chyba na koniec świata — zauważył po raz setny.

Jan wstał w saniach, rozejrzał się uważnie.

— Za kwadrans staniemy na miejscu — pocieszał.

Zmrok zapadał, dzień zimowy robił się coraz posępniejszy.

— Ot i Męka Pańska! — oznajmił furman, rozwijając sążnisty bat i zbierając silniej lejce.

Wysada zamajaczyła, jak rząd olbrzymich grenadjerów u wnijścia do królewskiej rezydencji, wpadli w bramę przez okropne zaspy; siwosze, parskając radośnie, zaryły się pod gankiem.

— Do oficyny, Maciej! Do oficyny! — krzyczał Jan; ale na odgłos dzwoneczków i palenia z bata w domu zajaśniały światła, stary Walenty ukazał się w progu.

— Pani kazała prosić tutaj — rzekł; — właśnie piją herbatę.

Młodzi ludzie wysiedli i spoważnieli, jak na komendę.

— Teraz bomba pęknie — szepnął Jan, rozbierając się szybko i trąc pokostniałe dłonie.

Wentzel uśmiechnął się zagadkowo.

— Chodźmy śmiało.

W jadalni pani Tekla z Jadzią siedziały, jak wtedy, same; ale obeszło się tym razem bez rekomendacji.

Niemiec poszedł prosto do ręki babki, ucałował ją i wyrzekł powoli, z nadzwyczajnym wysiłkiem pamięci:

— Jestem na rozkazy babuni!

Staruszka aż podskoczyła z podziwu.

— Co? Jak? Kto ciebie nauczył po polsku? Fe, źle wymawiasz! No, no, ale powtórz.

— Co, hrabio? — wołał Jan — Umiesz po naszemu i torturujesz mnie tyle dni niemiecką mową... to kryminał!

— Nauczyłem się trochę — odparł Wentzel wesoło — żeby mieć prawo obywatelstwa w Marjampolu.

— Szpetnie mówisz, okropnie! — wyrzekła pani Tekla.

— Może babunia woli po francusku?

— Nie, nie! Gadaj, jak umiesz. Cóż robić!

Panna Jadwiga powitała tymczasem brata serdecznym uśmiechem i uściskiem; na ukłon hrabiego odpowiedziała chłodnem pochyleniem głowy.

Ani wzruszenia, ani radości, ani nawet najmniejszego wrażenia.

Walenty podał im herbatę i zakąski — usiedli na końcu stołu.

— Zmizerniałeś, Jasiu — ozwała się panienka, bystro patrząc w szczere oczy chłopaka.

— Co? Zmizerniał? Czemu? Może chorowałeś? — wmieszała się żywo staruszka, spoglądając na wychowańca.

Biedny Jan pod ogniem tych krytycznych oczu splonął rumieńcem jak panienka, wnurzył nos w filiżankę.

— Broń Boże! Byłem zdrów zupełnie. To podróż...

— Cóżeś robił cały tydzień w tem szwabskiem gnieździe? Można było zajechać do Chin. Miałam kogo posyłać! Jesteś i będziesz rozhukanym błaznem.

Tu Wentzel wmieszał się swą łamaną polszczyzną:

— Pan Jan nie mógł się ze mną spotkać. Rozmijaliśmy się ciągle. Teraz karnawał...

— Karnawał! Czy nie wstyd, żeby dorośli zajmowali się takiemi rzeczami! Ale co się po Szwabach można dobrego spodziewać! No, jedzcie. Walenty, daj panom nalewki. Zmarzli! Jadziu, każ przynieść temu Niemcowi piwa do kolacji.

— Dziękuję! Nigdy piwa nie pijam! — zawołał, kłaniając się młodej gospodyni.

— Osobliwość! — zamruczała pani Tekla.

Oczy jej ukradkiem zerknęły na wnuka, korzystając że wszyscy byli zajęci jedzeniem.

Jan, zaspokoiwszy głód i stłumiwszy pomieszanie, zwrócił się do siostry.

— Jadziu, przywiozłem ci z Berlina piękny prezent za trudy, poniesione w mojem zastępstwie przy gospodarce. Cóż zdziałałaś, siostrzyczko?

— Odprawiłam pisarza w Olszance.

— Oho! tak energicznie! Po siedmiu latach służby!

— To ci bynajmniej honoru nie czyni tyle lat dać się okradać!

— Co? Piasecki złodziej? Eh! ktoś ci plotkę doniósł.

— Ciekawam kto i jak mógł mi donieść, kiedy ty sam nazywasz mnie głuchoniemą! — odparła, podnosząc brwi. — Przecie, żebym lubiła mówić, a choćby słuchać, rozmawiałabym z tobą.

— Więc ja ci mówię, że Piasecki złodziej — zawołała pani Tekla. — Już bo ty jesteś dobroci i łatwowierności anielskiej. Służba cała ubóstwia ciebie, bo ją rozpieszczasz, tolerujesz usterki, darowujesz

najgorsze winy. Pewnie spostrzegłeś oddawna fałsze w rachunkach Piaseckiego i pozwalałeś się okradać.

— At, jakieś tam kilka korcy pośladu. Biedak ma żonę...

— Aha! ładną Marcelkę! — zaperzyła się pani Tekla i chciała coś dodać, ale panna Jadwiga rzuciła jej proszące spojrzenie, więc tylko pogroziła palcem Janowi.

— Jak panią szanuję, takem nawet nie wiedział jej imienia — tłómaczył się chłopak; — alem rzeczywiście tolerował ten drobiazg Piaseckiemu.

— Trzeba było oznajmić mi tę tolerancję wyjeżdżając — rzekła Jadzia.

— Złapałaś go na gorącym uczynku?

— A jakże! — odpowiedziała za nią pani Tekla. — Pojechała w nocy z tutejszym rządcą do Olszanki i zastała dwie fury pod magazynem. Był to brat i szwagier pięknej Marcelki ze zdobyczą.

— To trochę zadużo! — wtrącił Jan.

— Zdaje się! Jadzia zażądała księgi i wzięła klucze. Nazajutrz przy sobie kazała odmierzyć zboże i znalazła wedle rachunków dużą superatę ziarna.

— Miałaś niemały kłopot, Jadziuniu.

— Dwa dni tylko — odparła spokojnie.

— Więcej nieszczęść nie było?

— Owszem: fornal złamał nogę na lodzie, ale sądzę, że się wygoi. Doktór przyjeżdża codzień.

— A ty go pewnie sama opatrujesz?

Nie było odpowiedzi. Zamyśliła się, przypominając wypadki tygodnia, i dodała:

— Zresztą nic więcej. Na listy w interesach odpisałam, zobaczysz w biurze.

Wentzel słuchał i patrzał. Dziewczyna ta była kontrastem wszystkich, które znał i kochał kiedykolwiek. Jego urok, porywający kobiety, na niej jednej nie robił żadnego wrażenia. Nie spojrzała nawet na niego.

— No, no, ja ręczę, że Jadzia dobrze gospodarowała — pochwaliła kogoś po raz pierwszy pani Tekla. — Możesz jej dać prezent. Pewnie to coś niedorzecznego.

— Przeciwnie, coś bardzo stosownego. Masz, siostrzyczko.

Staruszka zajrzała przez stół.

— Pierścionek! Nonsens! Wiesz, że ona tego nigdy nie nosi.

— Powinna się przyzwyczaić do obrączki — wygłosił patetycznie Jan.

Panna Jadwiga wzięła do rąk śliczne cacko z turkusem, zmierzyła na palec.

— Mogłabym go chyba włożyć na pierwszy — rzekła z uśmiechem.

— Fe! — oburzyła się pani Tekla. — Wiesz, że po tem poznaje się głupców. Chociaż robisz istotne głupstwo!

Jan wybuchnął śmiechem.

— Proszę pani, niech zrobi choć jedno w życiu. Nie będzie mi tak rozumem imponować.

Ciemne, niezbadane oczy Jadzi podniosły się powoli na brata, na jasną skroń wybiegł nieznaczny rumieniec.

— Mogę ci zaręczyć, że zrobię głupstwo i to olbrzymie — odparła z widocznem rozdrażnieniem — Za prezent dziękuję.

Przechyliła się do niego wdzięcznym ruchem i pocałowała w czoło.

Wentzel zajadle targał wąsy. Delikatność nie pozwalała mu mieszać się do tej rodzinnej dysputy. Dałby jednak dużo za ten pocałunek. Miał przecie na czole pamiętną szramę z jej winy.

— Kto cię nauczył po polsku? — zainterpelowała pani Tekla wnuka — Musiał to być nielada osioł!

— Była to żona mego plenipotenta, Polka.

— Pewnie gadaliście o amorach?

— Skąd to przypuszczenie? Przecież nie popisywałem się odmianą słowa *kocham*. Czy babunia myśli, że to by szło gładziej?

— Et, bredzisz. A czytać umiesz?

— Mogę zastąpić pannę Jadwigę w głośnem czytaniu.

— Dziękuję, śliczniebym wyszła! Nieprawdaż, Jadziu?

— Nie wiem, babciu. Sądząc z rozmowy, pan hrabia jest bardzo zdolny do języków. Mówi poprawnie.

— Oho! oho! Co ty możesz wiedzieć o tem! Chociażby mówił jak ty, to jeszcze źle. Prusacy wam zupełnie mowę skaleczyli. Za mojej młodości chłop lepiej umiał po polsku, niż wy wszyscy teraz.

Wszyscy znieśli pokornie krytykę. Wentzel odważył się pierwszy odezwać:

— Pani Sperling rada była ze mnie...

— Głupia jest twoja pani Sperkel, czy jak tam! — zaperzyła się babka. — Jeżeli co umiesz, to zasługa twojej matki, że ci dała delikatne polskie gardło, dlatego niby coś pojąłeś z naszych twardych brzmień. Ale jeśli to ma być podobne do polskiego języka, to pianie koguta podobne do śpiewu słowika. No, kończcie kolację beze mnie, a ty, Jadziu, poprawiaj to szwabskie bredzenie...

Podreptała w głąb domu.

— Czy pozwalasz, Jadziu, palić? — spytał Jan.

— Proszę — odparła, wstając.

— Ale ty nie zmykaj. Cały tydzień cię nie widziałem. Niech się przypatrzę i nacieszę.

— Istotnie, rozrzewniająca czułość! Tęsknota po mnie wygląda ci z twarzy. Jakżeś się bawił w Berlinie?

— Wcale nie.

— Chcę wierzyć — uśmiechnęła się ironicznie. — Przez cały tydzień zwiedzałeś galerje obrazów i Tiergarten.

— Pan Jan szukał mnie trzy dzień — przyszedł Wentzel z pomocą koledze.

— Trzy dni — poprawiła, nie podnosząc dalej kwestji.

— A ty nie balowałaś? — zagadnął Jan.

— Nie miałam czasu. Ale *à propos*, Cesia Żdżarska była tu wczoraj. W środę urządzają kulig do Siewnicy od nich. Zapraszała nas.

— A Głębocki odwiedzał ciebie?

— Był.

— Ileż zgraliście partyj w domino?

— Czy ci ta wiadomość potrzebna do statystyki?

— Ach, Boże! Co za gorzka niewdzięczność! Chciałem ci zrobić przyjemność, przypomnieć miłe chwile sam-na-sam.

— Posiadam dobrą pamięć. Przypomnienie zbyteczne.

— No cóż, jedziesz na kulig?

— Do środy daleko.

— Czyż ty nie robisz planów na przyszłość?

— Co do kuligów — nie.

Wentzel zrobił w duchu uwagę, że dziewczyna ta pobiłaby nawet Schöneicha w grze na słowa.

— Byłem w teatrze w Berlinie — opowiadał Jan, zaciągając się tytuniem, — dawali jakiś straszny dramat, było pełno trupów.

— Tytułu nie pamiętasz?

— Zapomniałem: Hamlet, czy Otello.

— Dwie rzeczy nadzwyczaj do siebie podobne! — zaśmiał się Wentzel, a Jan wtórował z całego serca, rad, że rozchmurzył nawet poważne usta siostry.

Wtem w sali rozległy się drobne kroczki staruszki.

— Fe! — gderała już zdaleka — Co tu dymu! Ale ładnie pachnie.

Wetknęła głowę przez drzwi.

— Czy to pan hrabia myśli, że tu przyjechał opowiadać brednie i śmiać się z tym pustakiem? Bardzo proszę, mam interes.

— Służę babuni! — zawołał, zrywając się żywo.

— Pierwej słuchaj, a potem służby ofiaruj. Otóż tak jest... Jadziu, jeżeli się zawstydzisz, to nic, bo to prawda i koniec. Tu, niedaleko, mieszka okropny niedołęga, Głębocki...

— Jadziu, spuść oczy — szepnął konfidencjonalnie Jan.

— Cicho! Co się mieszasz i przerywasz! Otóż ten safanduła traci majątek, samochcąc, śliczne złote jabłko. To się stać nie powinno. Otóż, co ci miałam powiedzieć. Jeżeli ty, hrabio, pozwolisz, żeby obrzydliwy Szwab kupił choć piędź ziemi u Głębockiego, to ja, twoja babka, własnoręcznie dam ci trzydzieści rózeg na kobiercu!

Na ten finał Jan parsknął śmiechem, Wentzel odstąpił mimowoli o krok, panna Jadwiga zniknęła z pokoju — może i ją śmiech ogarnął.

I po tę to miłą obiecankę gnał Croy-Dülmen z Berlina na złamanie karku! Chwilę stał osłupiały, ale wnet — czy go zaraził śmiech Jana i istotnie ubawiła perspektywa rózeg — wybuchnął i on sam szaloną wesołością.

— Wszystko zrobię, by tego uniknąć. Gotówem nawet kupić Strugę, ale...

— Ale cóż? Nie masz pieniędzy?

— Oj, starczyłoby na trzy powiaty. Ale w takim razie dostanę sześćdziesiąt rózeg.

— Co to za kpiny! — oburzyła się.

— Zupełnie serjo. Dostanę zato, że nie obroniłem od Niemców, a drugą dozę jako nabywca Szwab.

— Jakto Szwab? Moja Jadwinia... Ale to może i prawda... Szwab! Niemczura! Prusak! Croy-Dülmen! Pfe! — zatrzepała rękami ze wstrętem, obróciła się żywo i pobiegła do siebie.

Jan siadł, trzymając się za boki ze śmiechu.

— Zabiłeś, hrabio, tęgiego klina. Nie zamknie oka noc całą. Zawoła pewnie Jadzię do rady.

— Panna Jadwiga ją do reszty na mnie zbuntuje.

— Broń Boże! Przecież, jeśli pańską pomoc usunie, to ją pani Tekla gwałtem zapędzi do ołtarza, pomimo swej antypatji dla Głębockiego. To są dwie jedyne drogi wyjścia. *Aut — aut!* Babunia pewnie przenosi polską ziemię nad Jadzię, choć ją niby ubóstwia jedną, i gotowa spalić biedną dziewczynę dla jednego morga, nietylko dla kilku tysięcy. Oho, znam ją. Niech-no co weźmie do głowy, to nie da tchnąć,

aż dopnie. Jadzia się ani obejrzy, jak ją odstawią z posagiem do Strugi.

— Przecie to się stanie prędzej, czy później.

— No, nic nie wiem. Moje panie okrzyczały mnie mazgajem i błaznem, więc się boję ze zdaniem wystąpić; ale widzi mi się, że papiery Adama spadły. Ta Jadzia to istny sfinks. Niechże radzą! Chodźmy do oficyny. Oczy mi się kleją.

Nazajutrz, ledwie świt, Walenty wpadł do mieszkania młodych ludzi — zbudził hrabiego.

— Pani prosi zaraz do siebie.

Croy-Dülmen porwał się jak na alarm, ale ledwie zrozumiał, o co chodzi, gdy przyleciał chłopiec kredensowy.

— Jasna pani kazała, coby pan graf zara szedł.

— Idę, idę!

Ubierał się z gorączkowym pośpiechem.

— Jak to dobrze, że ja nie mam pieniędzy... mogę spać spokojnie — mruczał Jan z pod kołdry.

W tej chwili zjawił się ogrodniczek.

— Jasna pani kazała jasnemu grafowi oznajmić, że czekają! — zawołał zdyszany.

— Rózgi gotowe! — śmiał się Chrząstkowski.

Wentzel wyszedł jak stał — w lakierkach i eleganckim tużurku, na śnieg; krawat zapinał w drodze. Nie było go dobre trzy kwadranse, nareszcie wrócił.

— Po egzekucji? — pytał Jan.

— Nie; uniknąłem szczęśliwie bastonady. Pozwolono mi łaskawie nabyć Strugę.

— Pan pewnie zły na siebie za podany projekt.

— Wcale nie. Jeden majątek więcej cóż mi może zaszkodzić? Będę pańskim sąsiadem. Dzisiaj pojadę do Głębockiego i dobijemy targu.

Jan nic nie odpowiedział i coś sumował.

— To milczenie jest mocno anti-germańskie — zauważył wesoło Croy-Dülmen, zaczynając z gruntu toaletę.

— Broń Boże... Przecie pan nie posądza mnie o szowinizm pani Tekli. Niemców gatunkuję na różne kategorje. Nie jest pan ani urzędnikiem, ani policjantem, ani aferzystą na naszą krwawicę, ale arystokratą i człowiekiem dobrze wychowanym. Sąsiedztwo pańskie zaś nie zbliży mnie z wami, chyba z rządcą i plenipotentem. Nie zakopie się pan na wsi, tembardziej u nas, Polaków. Milczałem, bom myślał, czy powiedzieć coś panu.

— *G'rad heraus!* Słucham.

— Czy pan ma ochotę kupić Strugę, rzetelną ochotę? Czy pan woli wykręcić się słomą z tej alternatywy?

— Mam szczerą ochotę.

— No, to nie jedź, hrabio, do Adama.

— A to dlaczego?

— Bo on tobie, hrabio, Strugi nie sprzeda.

— Z jakiego powodu?

— Bo ciebie cierpieć nie może.

— On, mnie! Racja?

— Kto z niego rację dobędzie! Ale ja go znam dobrze. Jestem tego pewny.

— To jednak szczególne! — zamruczał Wentzel.

— Otóż, com chciał rzec. Na hasło waszego imienia odda majątek tamtym, co dość już dawno targują. Zapomniałem nazwiska.

— Dam drożej.

— I oni już dają bajeczną cenę. Głębocki myśli, że chyba zwąchali gdzie naftę, czy węgiel. Uwzięli

się na niego. Majątek dobry, nad rzeką, można trzymać stadninę i bydła co niemiara, ale takiej masy pieniędzy nie wart nigdy.

— Któż to go targuje? Nie przypomina pan sobie? — zagadnął żywo Niemiec, przestając się nagle ubierać.

— Pan... pan... Nawet z tytułem i *von!* Do djaska z temi nazwiskami!

— Z tytułem? Aha! może książę F.?

— To, to, to! A pan jakim cudem zgadł?

— Słyszałem coś o tem — uśmiechnął się dziwnie — no, i znam nabywcę, i pan go zna.

— Ja? — rzekł przeciągle Chrząstkowski.

— Przecie pan pamięta bohatera farsy Schöneicha..

— Bachusa! — zaśmiał się.

— Nie, pięknego Herberta!... No, to on jest księciem F.

— A do tego co przystąpiło?

— Oczy pańskiej siostry w Ems. Postanowił ją zdobyć.

— Cha, cha, cha! Prawda! Snuł się za memi paniami jakiś facet, ku okropnemu oburzeniu pani Ostrowskiej. Mówiła, że raz go złajała po polsku, a potem dla lepszego zrozumienia, po francusku. Cha, cha! To wyśmienite! Muszę powiedzieć to Jadzi i Głębockiemu. Pewnie z plenipotentem rywala więcej gadać nie zechce. To dopiero nafta i węgiel! Cha, cha! Eksplozja! Czy ci ludzie pofiksowali? A ta Jadzia? Co oni w niej widzą? Dla tej lodowej bryły płacić za Strugę w trójnasób! Ten książę pięknieby wyszedł! Produkcyjne ulokowanie kapitałów i serca! Niema co!

— Oziębłość jest najniebezpieczniejszą kokieterją — wtrącił Croy-Dülmen. — Pan nie zna Niemek.

Po nich siostra pańska — to antypody... Może głowę zawrócić, do szaleństwa popchnąć.

Jan wytknął z pod kołdry głowę, popatrzył bystro na mówiącego i znów ją schował.

— Nigdy tego nie pojmę. Ideałem kobiety jest dla mnie Cesia Żdżarska — zamruczał.

— Czy to przyjaciółka panny Jadwigi?

— A coś w tym rodzaju. Koleżanka z pensji... Także antypody. Choć sądzę, że do Niemek niepodobna. Poznasz ją, hrabio, na kuligu, bo przecie spędzimy razem ostatki karnawału.

— Naturalnie. Nie wyjadę inaczej, jak właścicielem Strugi.

— W takim razie zdaj pan na mnie ten interes. Już ja dam radę Adamowi.

— Dziękuję serdecznie za pomoc i życzliwość.

— Ach, drobiazg! Czy pan już gotów? Niech nam dają śniadanie. Zaraz poślę po Urbana, a po obiedzie odwiedzę ten obraz Toggenburga.

Wedle programu, Wentzel został na resztę dnia z damami.

Pani Tekla robiła wełniane kaftaniki dla dzieci z ochronki; panna Jadwiga, mało mieszając się do rozmowy, poprawiała piśmienne zadania swych uczennic.

Hrabia, wśród ciągłej krytyki i gderania, opowiadał swe życie.

Nic jej się nie podobało: że przeszedł gimnazjum — źle, że skończył kurs prawa — niepotrzebnie, że wstąpił do wojska — głupio.

Nareszcie przyszedł najcięższy obrachunek — teraźniejszości.

— No, a teraz co porabiasz?

Spuścił głowę i, kręcąc markotnie brodą, rozmyślał, jak streścić podróże, polowania, sport i miłostki w określeniu czynu i zajęcia.

— Teraz, babciu, myślę obrać jakąś karjerę.

— Myślisz dopiero? A, to ślicznie. Przecież masz dobra... Zarządzasz prawdopodobnie? Ileż to morgów?

— Nie pamiętam, doprawdy, w tej chwili.

— Coraz lepiej! Można ci połowę ukraść. No, masz pewnie browary, winnice?...

— Zapewne, że są.

— Jakto, zapewne? Co to za frazes? Ileż obrotu rocznego?

— Dużo, babciu.

— Ja chcę wiedzieć cyfrę!

— Kiedy nie wiem ściśle. Musiałbym się spytać Sperlinga. W dobrach są rządcy i technicy: w Dülmen — Johann Assauer, w Schagern — Thomas Spiess, w winnicach — Francuz z Burgundji, no, a w browarach zarządza mój kolega Martinsen.

Oblicze pani Tekli robiło się coraz czerwieńsze z oburzenia i gniewu.

— Próżniaku! Pasorzycie! — wyrzuciła z siebie. — Coś ty wart na świecie! Fe, taki młody, zdrów, silny, i do niczego! Ja jestem stara kobieta, a wiem, ile Marjampol ma obszaru, ile przynosi dochodu, co wart koń i wół, gdzie jakie ziarno rodzi, ile gorzelnia zużytkuje ziemniaków... księgi codzień przeglądam. Fe, jak ci nie wstyd żyć na świecie, spojrzeć ludziom w oczy? Żadnego zajęcia! Szuka dopiero karjery w 27-u latach wieku! Oburzające!

Panna Jadwiga, jakby czuła, że obecność jej jest szczytem przykrości dla młodego człowieka, wstała.

— Babcia mnie nie potrzebuje? — rzekła — Pójdę odwiedzić Wincentego.

— Dobrze, dobrze, tylko zabierz go ze sobą. Nie mogę patrzeć na taką karykaturę. Pokaż mu nasz ład, niech powącha choć raz w życiu zacier wódczany. Fe, niedorajda, hultaj, pustak! Pięknie on urządzi Marjampol, gdy mnie nie stanie!

— Ależ babciu! — bronił się skonfundowany.

— No, no, no! Idź już sobie! Pewnie przyjechałeś bez futra. Niech ci Walenty da kożuszek Jasia. Nie fanfaronuj na mrozie.

Jeszcze za drzwiami wołała o nierozwadze.

— Był to feralny dzień, gdym panią poznał — rzekł na ganku do swej pięknej towarzyszki, biorąc z jej ręki pakiet szarpi i arnikę, — od tej chwili znoszę ciągle porażki. Nikt tu nie ma miłosierdzia dla mych usterek i słabości. Same upokorzenia!

— Nie trzeba ich było wywoływać zawiązaniem stosunków i znajomości — odparła, idąc naprzód.

— Istotnie, byłoby to lepiej — rzucił, rozdrażniony tem jawnem lekceważeniem.

— Fakt nabycia Strugi jest w takim razie bardzo niekonsekwentny.

— Czy pani nie chce, bym kupował?

— Nie mam w tym względzie żadnego osobistego zdania. Znajduję tylko, że kto cierpi upokorzenia, powinien je albo znosić cierpliwie, jeśli chce się poprawić, albo usunąć zupełnie, gdy go to tylko drażni i obraża. Nie lubię wątpliwych pozycyj i utyskiwań: to broń i położenie słabych istot.

— Zawsze krytyka i potępienie spotyka mnie z ust pani. Jeśli pani chodzi trochę o moją poprawę, to proszę być łaskawszą. Najsilniejsza wola upadnie,

zmęczona bezustannem szyderstwem i pogardą! — zawołał gwałtownie.

— Oto jest stajnia. Są to powozowe konie pani Tekli, młodzież i część roboczych. Reszta w pracy — powstrzymywała jego zapęd tem arcyprozaicznem objaśnieniem.

Rzucił się niecierpliwie.

— Wierzę ślepo w doskonałość marjampolskiej gospodarki. Niech mi pani odpowie.

— Ślepa wiara w doskonałość gospodarek jest właśnie pana grzechem, jakem uważała z rozmowy z babką. Gdzież poprawa?

— *Pends-toi, brave Crillon!* Pani jest sroga, jak Katon.

— Wypełniam polecenie pani Tekli. Służę panu za przewodnika. Pójdziemy do browaru.

— Służę pani! Cóż robić! Zobaczymy, kto z nas dwojga więcej okaże: czy pani w uporze, czy ja w cierpliwości.

— Nie jestem wcale upartą i nie rozumiem zastosowania tej wady w stosunku moim do pana.

— Czyż to nie upór w okazywaniu mi tak odstręczającej niechęci i lekceważenia? Inna, na miejscu pani, dałaby się ułagodzić i wzruszyć moją wiernością i pracą.

— Mój panie, nie okazuję ani niechęci, ani lekceważenia, tylko to, co czuję: najzupełniejszą obojętność. Co zaś do wierności, tej ani potrzebuję, ani żądałam; a praca powinna sama z siebie dać panu zadowolenie, jeśli istnieje rzeczywiście.

— Pani mi pozwoli nie wierzyć w obojętność.

— Zostawiam zupełną swobodę wiary i niewiary. Pan jest człowiekiem bardzo szczęśliwym.

— Tego nie znajduję, niestety!

— I owszem: próżność, zarozumiałość i wiara w swe doskonałości, czyż to nie jest szczęśliwy stan duszy? Żadnych walk, żadnych wątpliwości i kompletne zadowolenie z siebie.

— Powiedziałem, że nie wierzę w obojętność, bo jestem pewien, że mnie pani nie cierpi. Na to nie trzeba ani zarozumiałości, ani wiary w siebie, niestety!

— Cieszy mnie, że pan zaczyna trafnej widzieć rzeczy. To postęp. Ale otóż i obora. Ma pan przed sobą opasy na targi do stolicy. Jest ich dwieście sztuk.

Rozejrzała się uważnie po bydle i zwróciła się do nadzorcy wołowni, który, ujrzawszy ją, przybiegł natychmiast.

— Ten czarny wół wygląda mizernie. Każ go pan umieścić oddzielnie. Trochę tu nieporządnie.

Poszli dalej i nie mówili do siebie długą chwilę. Wentzla opadała rozpacz. Z jakiego kruszczu ją ulano, tę niezbadaną, cudną dziewczynę? Czy był sposób przebicia tego pancerza z zimnej, logicznej rozwagi, szyderstwa i niesłychanego spokoju?

Żaden nerw nie zadrgał na twarzy — nie było sposobu pojąć, co czuła i myślała.

Z nim była to dumna królowa, ze służbą wzorowa gospodyni, w domu idealna siostra i towarzyszka staruszki. Czy potrafi być czarodziejką dla kogoś jednego, — pokochać?

Wyglądało to na niemożliwość.

Hrabia się tak zamyślił, że nie widział, gdzie idą; aż nagle ona stanęła na progu czworaków mieszkalnych czeladzi i obejrzała się na niego.

— Proszę o pakunek i dziękuję za wyręczenie. Nie wzywam pana za sobą, bo tu się kończy moja

misja cicerona i skarby Marjampola. Tu jest dla pana zawiele śmiecia i swędu, przytem biedak chory leży. Może pan na mnie zaczeka.

— Wolę wejść z panią i może pomoc w opatrunku.

Weszli do izby. W progu Wentzel się potknął i uderzył głową o niski uszak, aż mu w oczach pociemniało.

— Jest to symboliczny pokłon wielkości przed ubóstwem — rzekła po francusku panna Jadwiga, uśmiechając się lekko.

— Bolesny — odparł, śmiejąc się.

Gromadka obdartych dzieci i kobieta z niemowlęciem na ręku rzucili się na powitanie panienki. Musieli ją bardzo kochać i szanować.

I nagle, jak czarem, przeistoczyło się oblicze poważnej dziewczyny. Jakby słońce przeszło po niem, znikł surowy rysunek ust, i ściągnięcie brwi, i nieruchomość twarzy.

Śliczny uśmiech znalazła dla dziatwy, serdeczne słowo dla matki. Potem podeszła do okna, gdzie na ławie leżał biedny kaleka.

Dała mu tytoniu, pocieszyła nadzieją wyzdrowienia i, usuwając ręce od pocałunków, zabrała się do opatrunku.

Oh, umiała być czarodziejką dla słabych i nieszczęśliwych!

Hrabia pomagał jej w zakładaniu bandaży na połamaną nogę, nie czuł zaduchu izby, nie widział śmiecia, nie żałował swych wypieszczonych rąk magnata. Stali oboje pochyleni, tuż obok siebie, połączeni wielką ideą miłosierdzia. Co prawda, w tem towarzystwie zgodziłby się hrabia przesłużyć życie całe przy ambulansach.

A chory błogosławił ich, łącząc oboje w swych prostych życzeniach.

— Bodajże wam Pan Jezus udzielił doli szczęśliwej, żeby wam za łaskę dał szczęście i skarby! Dziękuję, jasna panienko, do śmierci nie zapomnę! I wam, paniczu, żeście tacy litościwi. Magduś, nalej wody na ręce wielmożnym państwu.

Wymyli ręce w glinianej misie i obtarli grubym ręcznikiem.

— W Polsce uważają to za prognostyk kłótni — rzekła panna Jadwiga pierwszy raz wesoło.

— Wszystko, byle nie obojętność — odparł.

Wcisnął w dłoń kobiety garść srebra i wyszli przeprowadzeni błogosławieństwem.

Ledwie oddalili się parę kroków, wpadły na dziedziniec sanki Jana. Na widok tych dwojga, spacerujących tak poufale, Jan zdumiał się.

— Stój! — krzyknął, wyskakując. — Witam, witam!

— Tak prędko? — spytał Croy-Dülmen.

— Z Adamem krótka gawęda: albo milczy, albo słucha, zupełnie jak Jadzia. Nie znam dwóch istot bardziej do siebie podobnych. Spędziliśmy, hrabio, identycznie to poobiedzie, co? Słuchano i milczano.

— Co do mnie, to się mylisz — wtrąciła panna Jadwiga. — Kiedy może mnie kto wyręczyć w bawieniu gości, chętnie milczę; ale, będąc sama z kimś, nie mogę czynić co lubię, więc rozmawiam.

— Bardzo to dla mnie pochlebne — rzekł Wentzel pół żartem, pół serjo. — Nigdy już nie nadużyję pani grzeczności, choćby na rozkaz babuni.

— Proszę pamiętać — mruknęła po swojemu, posępnie; blask znikł, była znowu chmurna i surowa.

— Otóż Głębocki się zgadza sprzedać komukolwiek Strugę, byle nie księciu F. Napędziłem mu strachu. Podpaliłem i naftę i węgiel.

— Czy pan Głębocki zdrów? — spytała panienka.

— Tak, siostrzyczko; wrócił do normalnego stanu: zdrów i zakochany. Sprzedaje Strugę, przenosi się do folwarku, co ma po ciotce, ze rzeką, z tamtej strony szosy, ekwipuje się i żeni. Co prawda, robi wyśmienity interes: mówię o sprzedaży, a nie o żonie. Przywiozłem z sobą plany, inwentarze i potrzebne dokumenta, za parę tygodni sprawa będzie skończona. Czy państwo już wracają z przechadzki? Chwała Bogu, dostaniemy herbaty.

Zamiast Wentzla, który wyglądał dziwnie osowiały, pani Tekla wzięła się pilnie do przeglądania planów i dokumentów. Jan jej wykładał warunki Głębockiego, Jadzia przygotowywała herbatę, hrabia niby słuchał interesu, niby patrzał na cyrfy, ale w istocie mało słyszał, jeszcze mniej widział, na nic zgoła nie uważał.

Zbudził go, jak ze snu, podniesiony ton babki.

— Co? To rozbój! Któż może tyle zapłacić! Słyszałeś, panie hrabio, cenę?

— Słyszałem — odparł. — Choćby miljon, gdy chodzi o ratowanie ziemi, zapłacę.

Staruszka skoczyła na równe nogi.

— Co ty bredzisz! Śpisz, czy jeszcze marzysz o Berlinie? Sam nie rozumiesz, co gadasz!

Był tak roztargniony, że się zląkł, iż coś powiedział niedorzecznego, i aż poczerwieniał.

— Ależ, babciu! Cóż ja powiedziałem tak złego? — bronił się, zbity z tropu.

— *Absurdum!* Miljon dla ratowania ziemi! Jakiej? Czy ty wiesz, czy ty pojmujesz? Co tobie do tej ziemi!

Ona nie twoja, cudza, wroga! Ja chcę, żebyś zrobił dobry interes, tylko tyle!

Oprzytomniał, zląkł się, że go panna Jadwiga znowu posądzi o fałsz dla zamydlenia oczu staruszki, o podłość, jak to nazywała, i odparł swobodnie:

— Sąsiedztwo Marjampola będę zawsze uważał za dobry interes, a Struga nie będzie mi obcą ziemią, ale własną, skoro ją nabędę.

— No, pewnie, własną i drogą! — wmieszała się do rozmowy panna Jadwiga z odcieniem ironji.

Jan się zaperzył:

— Ty jeszcze drwinkuj! Z twego powodu, dla pięknych oczu, sąsiedzi głowy tracą.

— Co? Jak? — spytała pani Tekla.

— A no, to jasne. To cena postawiona dla konkurenta.

Staruszka spojrzała na Wentzla strasznym wzrokiem.

— On się ośmiela... — zaczęła.

Jan parsknął śmiechem.

— Ależ, pani! Toż przecie nie hrabia. A to wyśmienite! I oto jeszcze pana posądzą! Konkurentem o względy i sąsiedztwo Jadzi jest książę F.

Wentzel odetchnął, bo babka zwróciła wreszcie swe świdrujące oczki z jego twarzy na Jana.

— Co to nowego? Jaki książę?

— A ten, co to w Ems posłyszał od pani kazanie po francusku. On to chciał kupić Strugę i postawił bajeczną cenę.

— Ta łala, ta tyczka, ten farmazonik! Tak głupim może tylko być Prusak.

— Że się stara o mnie, babciu? Dziękuję! — rzekła z uśmiechem panienka.

— Naturalnie. Cóż to? Poszłabyś może za Niemca? At, na co to próżne gadanie! Tej ceny dać nie można.

— Ależ można, babciu — ujął się Croy-Dülmen z nagłą żywością. — Będę tam trzymał stado; tyle łąk, mówił pan Jan. Parękroć mniej lub więcej kapitału, co mi tam! *Ich kauf's Grossmutter!*

Ani się spostrzegł, jak mu ten frazes niemiecki wyrwał się z gardła. Zamknął sobie usta dłonią ruchem panicznego przestrachu, ale już poniewczasie. Obejrzał się trwożnie, czy go nie przywali sklepienie tej patrjotycznej sali, albo czy babka nie każe go wyrzucić za drzwi Walentemu, potem przechylił się do niej i pokornie pocałował w rękę.

— Proszę darować — przeprosił swą łamaną polszczyzną. — Zapomniałem się.

Udała, że nie posłyszała, i mówiła dalej o Strudze.

— Zapewne, majątek ładny, ale zawsze taki kapitał! Kiedyś jeszcze zbankrutujesz z mego powodu. Parękroć... Jak to łatwo powiedzieć! Nigdy nie zarabiałeś i nigdy nie rachowałeś.

— Obiecuję poprawę, ale Struga musi być moją. Nie zbankrutuję teraz, jeżeli dotychczas to się nie stało. Postanowiłem ustatkować się i pracować.

— Uhm! W Berlinie! — zamruczała już łagodnie — No, dosyć o tem. Herbata podana. Pomówimy jeszcze jutro.

— Po herbacie zagramy partyjkę bilardu — zaproponował Jan.

— I owszem, służę panu — odparł.

Zdawało mu się, że to będzie przyjemność i rozrywka. Mylił się. Gdy zostali sami przy grze, ogarnął

go niewytłumaczony niepokój i roztargnienie. Dał się pobić raz i drugi, aż wreszcie rzucił kij.

— Nie uważam dzisiaj. Wstydzę się swojej opinji. Nigdy mi się nie zdarzyło przegrać.

— Na dobitkę wstydu pobił pana mańkut! — śmiał się Jan. — Chodźmy do dam. Niech nam Jadzia co zagra na pociechę i zakończenie wieczoru.

— Czy i ten talent posiada?

— Alboż ma ich więcej? Co do muzyki, posiada ją dobrze. Żeby pan słyszał, jak z Cesią Żdżarską grają „Rapsodję" Liszta...

Weszli do saloniku. Kobiety rozmawiały z sobą żywo — urwały na ich widok.

— Jadziu, zabrzdąkaj — prosił Jan, — tylko, przez litość, nic smutnego i czułego. Daj mnie tę bawełnę, zwinę najporządniej. Zagraj, siostrzyczko!

Nie droczyła się, obyczajem panienek. Po chwili z pod jej palców wybiegła ognista melodja jakiegoś marsza.

Salonik przedstawiał miły rodzinny obrazek; tony muzyki dodawały mu życia i wdzięku, a staruszka królowała w aureoli siwych włosów, jak matka tych trojga młodych.

W piersi hrabiego robiło się coraz dziwniej.

W obrazku tym i w tem kółku on jeden czuł się obcym i w tej chwili zamyślił się po raz pierwszy poważnie nad swojem położeniem. Dziwny smutek ścisnął mu duszę. Poczuł nagle brak rodziny, domowego ogniska, ciepła, tego, co rozgrzewa i zapełnia duszę.

Istotnie, czem on był? — Sierotą, bezdomnym sierotą. Całe życie przewinęło mu się przed myślą. Co on miał? Kochanki, kolegów do nadużyć i szału, pochlebców, banalną cnotę cioci Dory — i nic więcej.

Ani kochania wielkiego, ani szlachetnej przyjaźni, ani rodzinnego zacisza i ufności.

Domem jego był klub, zaciszem buduar kobiecy, gdzie często przychodził jak złodziej, a wychodził zawsze z niesmakiem i nudą... a jednak żył w podobny sposób 27 lat i czuł się szczęśliwym. Skąd przyszło mu nagle w tej chwili pragnienie czegoś innego, nieznanego dotąd? Dlaczego nagle poczuł się tak biednym, tak samym, tak sierocym wśród swych bogactw, sławy i uwielbienia? — Sam nie umiał wyjaśnić sobie powodu tych uczuć. To tylko stało mu się jasnem, że między nim a tem trojgiem ludzi, wśród których bawił, była przepaść, a w nią trzeba było rzucić i podeptać, żeby ją zrównać, i ową sławę, i uwielbienie, i pychę, i klub, i przyjaciół, i kochanki — całe 27 lat wieku — wszystko.

Żeby mu kto z tamtej strony podał rękę, zachęcił, powiedział mu „rzuć!“

Ale nie! Ludzie ci nie narzucali się, ani prosili — trzeba było iść do nich, nie wiedząc jak przyjmą i czy nie odtrącą od siebie, od tego ognia, od tego domu, gdzie on był wrogiem mową, zasadami, imieniem..

Była to ciężka droga, z bardzo niepewnym rezultatem.

IX.

Była to środa, owa kuligowa środa, której wyglądały niecierpliwie panienki i młodzież okoliczna. Jan z Wentzlem dwa już dni byli nieobecni w Marjampolu, ku zgrozie niecierpliwej staruszki.

Bawili w Strudze, dobijając targu z Głębockim, w przerwach siedzieli w Olszance Chrząstkowskich, polując na zające i sarny.

Pani Tekla traciła cierpliwość i, żeby nie flegma panny Jadwigi, posłałaby dawno po nich.

Ciekawość o interes łączyła się z niepokojem o szaleństwa i nierozwagę młodych. Widziała ich obu postrzelonych, chorych z przeziębienia, z ranami i tyfusem.

Nie można było jej uspokoić.

— Przyjadą na kulig — wmawiała Jadzia, — nic im się nie przytrafi. Jan jest dobrym myśliwym, a hrabia nie wygląda na zagorzalca. Ujrzymy ich całych we środę.

— Moje dziecko, jesteś uosobieniem zimnej krwi. To wstyd w twoim wieku — gderała staruszka łagodnie.

Jadzia była u niej na specjalnych prawach.

Wreszcie nadeszła środa. Młodzi ludzie zjawili się weseli, z dobremi minami, zaprzyjaźnieni w najlepsze, jakby się znali od szkolnej ławy.

— Przecie! — odetchnęła staruszka, patrząc to na wnuka, to na wychowańca, z widocznem zadowoleniem.

Nie mieli ani ran, ani tyfusu.

— Czy jedziemy na kulig? — wołał Jan z progu.

— Ot, co temu w głowie! — oburzyła się pani Tekla — Cóż ze Strugą słychać, powiedz lepiej.

— Struga moja! — pochwalił się Wentzel — Jestem poznańskim obywatelem.

— Doprawdy? — rzekła ironicznie — Obywatelem!... Próżniakiem i pasorzytem będziesz w Poznaniu, jak i w twoich obrzydliwych Prusach. Będziesz szerzył zły przykład i psuł młokosów swym zbytkiem i bezładem. Oto co jest! Ale poczekaj, ja ci nie dam dokazywać. Będziesz trzymał polską służbę i administrację... ani nogi szwabskiej, rozumiesz!

— Rozumiem. Nikogo z obecnych nie usunę, chyba się przekonam o istotnej złej woli i nieudolności.

— O! już o czem się ty przekonasz! — machnęła lekceważąco ręką.

— Czy jedziemy, pani, na kulig? — powtórzył Jan.

— A to w ukropie kąpany! Zobaczymy!

— Ciekawym co? Jadzia mówi: zobaczymy, i pani to samo. Za godzinę trzeba ruszać.

— Panowie przecie nie potrzebują opieki babci. Mogą sami jechać — wtrąciła Jadzia.

— Ja bez pań nie pojadę! — oznajmił stanowczo Wentzel — Zabawa w zupełnie obcem towarzystwie nie nęci mnie wcale. Potrzebuję eskorty. Jeżeli panie zostają, to i ja nie pojadę. Będziemy czytali wieczorem Angela...

— Anhellego, Prusaku! — wołała babka — Któryż to raz cię poprawiam!

— Pierwszy, sądzę, i ostatni. Czy zostajemy?

— Idźcie sobie precz z waszą gorączką! A to istna egzekucja! Kulig! Mnie starej to nawet w głowie!

Jan wziął siostrę na stronę.

— Aniołku, gołąbko, różyczko! Namów babkę, jedźmy. Tak mi się chce potańczyć i pohulać — prosił jak dziecko.

— Na cóż ja ci jestem potrzebna? Przecie się Cesią nie nazywam — odparła ze śmiechem. — Jedźcie sobie z Bogiem, nikt was nie zatrzymuje.

— Kiedy hrabia nie chce.

— Ano, to jego proś. Wyglądacie jak Kastor i Pollux.

— Ach, jakaś ty nieznośna! Hrabia słusznie cię kokietką nazywa. Drożysz się na złość jemu i mnie — zawołał niecierpliwie.

— Na takie *dictum* stanowczo nie pojadę! — odparła, marszcząc brwi.

— No, nie, nie! Nie mówił tego. To mój wymysł. Doprawdy niegrzecznie odmawiać Żdżarskim. Wyglądać to będzie na demonstrację.

— Strasznie się tego boję.

— Czego się spieracie? — wmieszała się babka.

— Jadzia nie chce jechać. Sprzysięgli się wszyscy na mnie.

— Idź-no do gospodarstwa tymczasem, a hrabia niech się ubiera na bal. Cóż z wami robić! Trzeba starej ustąpić i tłuc się dla was. No, no, nie dziękuj. Robię to ustępstwo tylko dlatego, żeby ten Niemiec zobaczył choć raz w życiu porządne towarzystwo i nauczył się bawić przyzwoicie.

Po tej konkluzji podreptała do siebie, zostawiając Jasia w szale radości, a hrabiego z miną tragikomicznego zdumienia, obrazy i niedowierzania. Cel poświęcenia babki miernie mu trafił do przekonania.

Popatrzył na Jana, tańczącego solo walczyka w stronę drzwi, — na pannę Jadwigę, uśmiechającą się zagadkowo, ruszył ramionami i wahał się, co robić.

Dopomogła mu w namyśle:

— Warto się obrazić i zostać samemu z Anhellim — rzekła drwiąco.

— Co, buntujesz hrabiego? Fe! Nie wódź na pokusę, kiedyś sama zła. Aha, nie udało się mnie dokuczyć; musisz jechać i pląsać, jak każda śmiertelniczka! Bardzom rad. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Chodźmy, hrabio, przyoblekać godowe szaty.

Gdy się drzwi za nimi zamknęły, sarkazm znikł z twarzy panienki: podeszła do okna, oparła czoło o szybę i zadumała się chwilę.

— Ach, żeby wrócić można było wstecz i obrać inną drogę! Dałabym wiele! — zamruczała, patrząc ponuro w biały śniegowy całun.

Nagle rzuciła się niecierpliwie i zagryzła wargi.

— Wartam rózeg! — dodała z gniewem, odchodząc.

W godzinę młodzi ludzie stawili się w pałacu, wyperfumowani, ogoleni, ubrani bez zarzutu, w lakierkach i rękawiczkach; siwosze pani Tekli w budzie na saniach i szalone kasztany Jasia w malutkich saneczkach dzwoniły gotowe pod gankiem. Panie się nie śpieszyły, pomimo palenia z bata i napędzania Jana, który, jak duch pokutujący, chodził od drzwi staruszki

do progu pokoju siostry, znosząc cierpliwie gniew jednej i milczenie drugiej.

— Jedźmy naprzód! — zawołał wreszcie.

— A jak się panie rozmyślą? — wtrącił ostrożny Niemiec.

— Ej, nie, widziałem przez szparę robrony na pani Tekli i jakiś biały obłok na Jadzi. Nie rozbiorą się po takiej fatydze nadarmo. Jedźmy, bo nas kasztany rozniosą.

Ruszyli, marznąc sumiennie w balowem odzieniu. Szczęściem, do Żdżarskich było niedaleko.

Dwór oświetlony jaśniał jak morska latarnia wśród śnieżnej równiny, muzyka grała w najlepsze.

— Opuściliśmy introdukcję — żałował Jan, wysiadając.

Na spotkanie gości wyszedł gospodarz domu z synem. Zaczęła się uciążliwa prezentacja. Jan, zdrajca, przedstawił Niemca Żdżarskiemu, uścisnął dłoń jego syna, Stefana, zakręcił się i umknął, korzystając z zażyłości i praw sąsiedzkich.

Wentzel, wchodząc do salonu, ujrzał go w wirze tańczących. Śmiał się swym szczerym śmiechem w jasne oczęta młodej, szczupłej panienki.

— Pewnie Cesia Żdżarska — pomyślał, wzdychając.

Niestety, nie był ani sąsiadem, ani krewnym, ani nawet rodakiem w tem gronie. Zaczęto go, jak ciekawe zwierzę, wodzić od krzesła do kanapy, od kanapy do fotelu, przedstawiać dziadkom, babkom, ciotkom, wujaszkom — nawet księdzu proboszczowi. Co krok nieznane nazwisko, potem jego tytuł, obustronny ukłon, jakiś frazes okropną niemczyzną — i znowu to samo trochę dalej.

Bolał go kark od ukłonów, w głowie się kręciło od tych nazwisk i komplementów. Klął w duchu cere-giele światowe, on, taki ich apostół dotychczas, i myślał z rozpaczą, że do rana nie skończy tej męki.

A Jan, niecnota, tańczył, tańczył z całego serca — i ani dbał o towarzysza.

X.

Nareszcie ostatni ukłon przed damą bardzo chudą i bardzo elegancką. Wentzel zrazu zobaczył tylko koniec tej elegancji, t. j. jedwabne pantofelki na bardzo małej nóżce i chciał iść dalej, gdy dama ozwała się piękną francuszczyzną.

— O, pana hrabiego miałam przyjemność widzieć przelotnie w Biarritz.

Podniósł oczy.

Dama miała na sobie fioletowy atłas i śliczne djamenty. Sama była śniadą brunetką, o ostrych rysach, szczupła, fertyczna, lat około czterdziestu, ale jeszcze przystojna, żywa, o biegających czarnych oczkach i zadartym impertynencko nosie.

— Hrabina Mielżyńska — zamajaczyło w pamięci Wentzla, jak „Mene, Tekel" Baltazara.

Ukłonił się po raz drugi.

— Istotnie, byłem w Biarritz latem — rzekł, usuwając się z drogi tańczącym, za krzesło damy.

Stefan Żdżarski, rad, że się zbył obowiązku, rzucił Niemca na pastwę hrabiny i pobiegł do panienek.

— A któż była ta śliczna pani, blondynka? — badała dalej interlokutorka Wentzla, wachlując się z wdziękiem.

— To była moja kuzynka — odparł bezczelnie.

Nosek pani Mielżyńskiej poruszył się wątpliwie.

— *Tiens, tiens!* — zaśmiała się złośliwie. — To panu hrabiemu oddają pod opiekę takie kuzynki?

— Czemużby nie? — odparł, czując, że nie potrzebuje się tutaj bawić w katońską cnotę i nie mogąc się oprzeć pokusie pożartowania z szykowną damą. — Czy pani uważała, żem źle wypełniał obowiązki opiekuna?

— *C'est selon!* — zaśmiała się.

— Pani jest bardzo wymagająca. Kuzynka moja była z opieki zupełnie zadowolona.

— Nie wątpię. A jej mąż?

— Czy koniecznie ma mieć męża?

— Niekoniecznie... ale go ma, niestety. Wiem to z kurlisty. Ej, ej, piękny hrabio! Ze mną wykręty na nic.

Pogroziła mu wachlarzem.

— Uznaję się pobitym i obiecuję na przyszłość być szczerym — odparł, kłaniając się.

— Pan nie tańczy?

— Rozmawiam.

— I radbym się uwolnić od rozmowy...

— Nie, chyba do walca z panią.

— I owszem. Lubię walcować, a pan?

— To zależy od tancerki.

— Czy to ma być komplement, czy impertynencja?

— To zależy od tancerki.

Rozmawiali, tańcząc. On był mistrzem w walcu, ona lekka, zwinna i zalotna.

Hrabia Mielżyński umarł przed kilku laty. Wdowa była lepem dla młodzieży, pierwowzorem mody, szyku i elegancji, zmorą poważnych matek, żon i narzeczonych.

W tej chwili ruch się zrobił u wejścia. Młodzież męska i kilka panienek rzuciło się do przedpokoju, kilka tylko par wirowało w sali.

Drzwi się otwarły. Pan Żdżarski wprowadził uroczyście panią Teklę na honorowe miejsce, za nimi Stefan wiódł pannę Jadwigę, jak królową, otoczoną gronem młodych ludzi i rówieśnic.

Oczy Wentzla spoczęły na niej i ona zatrzymała wzrok przez chwilę na tańczących.

Strój balowy podnosił jeszcze jej krasę, a opale, owe sławne opale, migały jak gwiazdy, łamały światło w tysiąc barw. Jak zjawisko czarodziejskie przemknęła się obok niego i usiadła blisko babki.

Zebrał się tłum wokoło niej. Widocznie dobijano się o tańce, bo zapisywała coś szybko w swym karneciku u wachlarza.

Croy-Dülmen stracił ochotę do zaczepek hrabiny. Odprowadził ją na miejsce.

— Pysznie walcujesz, hrabio. — rzekła zdyszana. — O, jak gorąco! Proszę się wystarać dla mnie o kroplę limonjady.

Panna Jadwiga wstała do tańca ze Stefanem Żdżarskim.

Jan przemknął się koło hrabiego, skacząc między sukniami.

— Uh, jaki upał! Chodźmy na cygaro, hrabio.

— Niech pana nie znam. Ja lecę po limonjadę dla hrabiny. Tchu mi nie da złapać. Gdzie Głębocki?

— A gdzieś pewnie w okolicy Jadzi. Marzy o dominie, bo nigdy nie tańczy. Widział pan Cesię?

— Nie doszedłem jeszcze w prezentacji do panienek.

— Oto i lokaj. Zanieś lodów hrabinie, ot tam, pod kandelabrem. Chodźmy odetchnąć.

Ledwie zapalili papierosy w gabinecie męskim, wpadł służący.

— Pani z Marjampola prosi panicza.

— Którego? — badał Jan.

— Ja nie wiem: panicza — powiedziała.

Rzucili papierosy i poszli obydwaj, żeglując w stronę strasznej kanapy. Po drodze hrabina Mielżyńska rzuciła im przez ramię z widocznem niezadowoleniem:

— Ach, te papierosy!

— Panie nas mają za drewno! — mruknął Jan.

— Jeśli się ośmielicie grać w karty po kątach, to was nie puszczę na próg w Marjampolu — oznajmiła stanowczo, ale, szczęściem dla ich próżności, dość cicho.

— Zaco? Wujaszek, sędzia i dziekan grają obok, nikt im tego za złe nie bierze — bronił się Jan.

— Ale wam ja nie pozwalam, i basta! Będziesz mi tu dowcipkował! Proszę tańczyć i wstydu mi nie robić! Niech hrabia raczy zapomnieć, że jest Niemcem, i nie afiszuje się z hrabiną... przytem nie zadymiajcie domu.

— Z kimże mi wolno się bawić? — pytał Wentzel.

— Nikogo tu nie znam.

— Ach, biedny! Hrabinę odszukałeś prędko; tam ci się podoba, bo nie trzeba hamować języka i na wszystko sobie można pozwalać. Otóż mnie się to nie podoba i nie lubię słuchać komentarzy.

— Hrabinę znam niby. Bardzo miła osoba.

— Nie ciekawam jej cnót. Rekomenduję ci Cesię Żdżarską.

— Ta zajęta... — wtrącił Jan — tańczy ze mną.

— Józię Okęcką i Stasię Staniszewską.

— Dobrze, dobrze! — potakiwał, schylając się po coś na ziemię i chowając do bocznej kieszeni.

Jan skubał go za rękaw.

— Ja hrabiego przedstawię. Chodźmy już — nalegał.

Muzyka zaczynała kadryla, pary się szykowały, wśród nich snuł się Głębocki, jak stara czapla, szukając czegoś po ziemi.

— Coś zgubił, Adasiu?

— To panna Jadwiga, bransoletkę.

— Niech szuka — mruknął hrabia — ja ją mam.

Poszli dalej, śmiejąc się. Głębocki spostrzegł wesołość, rzucił na Niemca niechętne spojrzenie.

Piękna Jadzia powitała Wentzla niedbałem spojrzeniem, czekała narzeczonego do kadryla. Jan pobieg po swą tancerkę.

— Czy dostanę od pani taniec?

— Zapóźno, wszystkie już tańczę.

— *Malédiction!* Cóż ja zrobię?

— Będziesz pan tańczył z hrabiną.

— Babka zabroniła.

— To smutne, ale można poradzić. Panien jest więcej, niż kawalerów.

— Marzyłem o walcu z panią tyle tygodni! — westchnął.

— Trzeba było podzielić się ze mną owem marzeniem, byłoby spełnione. Pan Głębocki nie może znaleźć mojej bransolety — dodała po chwili, oglądając się.

— Naturalnie, że jej może szukać do jutra. Oddawna jest u mnie. Chcę znaleźnego dostać taniec od pani.

— O, bardzo proszę oddać mi ją zaraz.

Spełnił rozkaz natychmiast.

— A potem?... — spytał prosząco.

— A potem idź pan i przeproś pana Głębockiego za niegrzeczność wyrządzoną.

— Co to, to nie! — rzucił się rozgniewany.

— Ano, to mnie samej wypadnie to zrobić. Nie mogę kazać czekać na siebie całemu towarzystwu.

— Ja zastąpię pani narzeczonego.

Głębocki położył koniec dyspucie. Znalazł go i przyprowadził prowadzący tańce. Kadryl się zaczął.

Wentzel pozostał na koszu, gryząc wąsy.

Rzeczywiście wiodło mu się niefortunnie.

On, który nie rozumiał, co to jest żądać, a nie otrzymać, był pobity przez jakąś tam szlachcianeczkę; on, którego damy berlińskiego *high life*'u wydzierały sobie na balach, wodzirej tańców, bohater kotyljonów, ideał tancerza, bohater salonów i klubów, podpierał drzwi w Poznaniu, był widzem, jak ostatni gimnazista, nie wiedział, co robić ze sobą, czuł się śmiesznym.

Chwilę po ostatniej porażce stał na miejscu, patrząc ponuro na przesuwające się pary; pycha jego była upokorzona haniebnie, był wściekły. Chciał wyjechać bez pożegnania, prosto do Berlina, ale był zanadto dobrze wychowanym, a zresztą czuł, że dziewczyna ta, jej wspomnienie, obraz przygnałby go z powrotem z za morza.

— Uhm, żebym cię dostał! — zamruczał zacięcie, śledząc jej zgrabne ruchy w tańcu.

Nagle strzeliła mu bujna myśl. Zawrócił się i poszedł prosto do przeciwległego gabinetu, gdzie się zabawiali gracze.

U jednego stolika starszyzna siedziała nad tarokiem, przy drugim ciągnięto pulkę preferansa, kilku zapasowych czy leniwych kawalerów gapiło się na karty, między nimi Henryk Wolicki, zapalony szuler i myśliwy, z którym się Wentzel poznał na polowaniu w Olszance. Przywitali się serdecznie. Polak zapoznał go z resztą gapiącej się młodzieży. Po chwili rozmowy usunęli się cichaczem do pokoju Stefana Żdżarskiego i, nie dbając o bal i damy, zaczęli ciągnąć djabełka.

Wentzel trzymał bank, rzuciwszy od niechcenia garść złota na stół. Gra robiła się coraz zajadlejsza. Niemiec tracił bajeczne sumy, spokojnie, z uśmiechem, gryząc w zębach cygaro. Niewiadomo skąd na hasło kart zbiegało się coraz więcej graczy. Pokoik zapełnił się frakami, dymem, brzękiem monety, śmiechem — służba kręciła się z winem.

Parę razy wpadł ktoś z sali, wzywając do dam, lecz nietylko nikogo nie ściągnął, ale i sam zostawał, pociągnięty magicznym widokiem złota.

W sali tymczasem kadryl się skończył, tańce szły ospalej, robiło się coraz puściej. Pewnikiem jest, że najlepsi tancerze są ci, którzy nie mają w towarzystwie osobistego interesu, lecz bawią się dla samej zabawy, nie przebierają w tancerkach, nie zasiadają do gawędki z ukochaną lub narzeczoną.

Otóż ci, na hasło djabełka, poginęli jak kamfora. Zostało kilka par, zajętych sobą, zatokowanych, zakochanych. Ci woleli siedzieć gdzie w ustronnym kąciku, przekomarzać się, sprzeczać, śmiać się lub gruchać.

Najcięższy to był kaliber tańczących.

Jaś droczył się z Cesią Żdżarską — grali w zielone i dowodzili sobie nawzajem przegranej; u krzesła

hrabiny Mielżyńskiej snuło się ze trzech aspirantów; koło Stasi Janiszewskiej siedział narzeczony; a na dobitkę balowej biedy, dowodzący tańcami Stefan, zapomniał o bożym świecie, zapatrzony w błękitne oczy panny Okęckiej.

Oprócz nich został jeszcze Głębocki, zgarbiony, kwaśny, wpatrujący się uparcie w malutki pantofelek Jadzi, która rozmawiała z panią domu o kuligu i nawet nań nie zważała, i z tuzin starszych dam na kanapie.

Muzyka grała, grała, wreszcie ucichła, bo nikt nie tańczył.

Na tę nagłą przerwę obejrzeli się wszyscy; pani Tekla pierwsza, jako czujny pasterz, poszukała swej trzódki.

Jadzia, wierna Jadzia, była blisko, Jaś trochę na ustroniu, ale też obecny; zato Niemca ani śladu, ani znaku.

Złe przeczucie ogarnęło staruszkę.

— Co to, nikt nie tańczy? — zapytała pani Żdżarskiej.

Gospodyni poszukała oczami syna.

— Stefanie, co to muzyce? — zapytała.

Młody człowiek porwał się jak oparzony.

— Aaaa... panowie! Do mazura!

Ale panów nie było wcale.

— Grać! — krzyknął muzyce, a sam zniknął za drzwiami do gabinetu.

Pani Tekla podreptała do Jasia.

— Czemu nie tańczysz? Gdzie Wacław?

— Co za Wacław? Zglinic? Albo ja wiem? Wyszedł.

— Ależ bredzisz! Pytam o naszego Niemca.

— To mu Wacław na imię? A prawda! Oho, łaskawa pani, ten nie tańczy, ale gra.

— Co takiego?

— Djabełka! — zaśmiał się Jan. — Służę pani do mazura, panno Celino. Stefan już prowadzi trochę szulerów.

Muzyka zabrzmiała, taniec się rozpoczął dość nieporządnie. Wentzla nie było.

Pani Tekla, jak karząca sprawiedliwość, ruszyła prosto do gabinetu.

Stanęła w progu i oniemiała ze zgrozy. Wprost niej siedział Wentzel, otoczony gronem młodzieży, i śmiał się, rzucając na stół znowu garść talarów.

— Panowie, tysiąc marek w banku! Gotowe!

Mówił po niemiecku, bezczelny, i w polskim domu demoralizował młodych ludzi, grał wbrew jej zakazowi, bezecnik!

— Wentzel! — krzyknęła, hamując się ile mocy.

— Za chwilę służę! — odparł najspokojniej, nie przestając rzucać kart, obrzydliwy zuchwalec.

Z nagłą determinacją podeszła do stolika. Młodzież usunęła się z uszanowaniem. Rozrzuciła karty, zgarnęła wszystkie pieniądze.

— To będzie wasz datek na nowo-budujący się kościół w Brodnicy. Dziękuję wam w imieniu biedaków, którzy po groszu zbierają od dziesięciu lat. Dziękuję, dziękuję! No, ale dość tego! Proszę do salonu, bawić się razem. Panienki czekają.

Młodzi ludzie popatrzyli po sobie, potem na nią, i milczeli. Staruszka zebrała monety i papiery w swą batystową chusteczkę i wyprostowała się żywo.

— Wentzel, chodź ze mną! A, wy moje dzieci, może się gniewacie? Co? No, no, nie żałujcie talarów

i posłuchajcie starej, co was zna od kołyski. To nikczemna zabawa i nikczemny zarobek, ot, niegodny Polaka. Idźcie tańczyć. Marsz! — żartobliwie popędziła ich do drzwi.

Po chwili namysłu roześmiali się wszyscy, potem spoważnieli, pocałowali ją w rękę i wyszli.

Wentzel został sam — na burę.

Babka, pozbywszy się świadków, spojrzała na niego od stóp do głowy. Oh, jak jej stare oczy umiały piorunować!

— To tak, to tak! Wstydzić się muszę za ciebie! Robisz, co możesz, by się zgubić w opinji. Ślicznie, szuler! Myślisz, żem cię poto połubiła, żebyś ty polską młodzież uczył djabełka, wnosił w nasze domy zarazę waszą niemiecką. Głupia byłam. Tyle lat marzyłam, żeby zobaczyć tylko raz, tylko chwilę, dziecko mojej biednej Jadwini! Zobaczyłam! Dosyć! Trzeba było być Polką, a nie babką. A jam zapomniała, że to Niemiec, taki był do matki podobny i pomyślałam, że mi będzie dziecko, pociecha, podpora starości, że serce matka mu dała. Nie, nie, nie! Z sowy nie będzie sokoła, z Niemca nie będzie Polaka. Nie przygłaskasz go, nie oswoisz, nie włożysz w duszę ani delikatności, ani szlachetności, ani iskry ideału. Pocom ja ciebie sprowadziła i chciała pokochać jak syna!

Wentzel spodziewał się wszystkiego prędzej, jak takiej oracji. Na gderanie miał sto argumentów, — na skargę tak serdeczną, choć przesadną, ale szczerą, nie znalazł odpowiedzi. Machinalnie przesunął ręką po czole i milczał Miał siebie za ofiarę dzisiaj, a był winnym.

Pani Tekla spojrzała na niego z żalem i wyrzutem.

— Prosiłam cię, żebyś nie grał — rzekła tylko i zawróciła z powrotem do salonu.

Coś go tknęło — zastąpił jej drogę.

— Babciu! — zawołał z niebywałem przejęciem, — Jak dziecko odpowiem. Proszę mi darować ten raz ostatni. Zrobiłem głupstwo, byłem bardzo rozdrażniony. Przepraszam z całego serca. Możeście i źle zrobili, sprowadzając mnie do siebie, bo teraz już jabym w Berlinie nie wyżył. Tęskno mi do Marjampola.

Obejrzała się na niego nieufnie.

— Pleciesz androny! — rzuciła gniewnie niby, ale łagodnie.

— Nie, babciu! Pokochałem was wszystkich, ale mi tu nikt nie sprzyja, dokuczacie mi na każdym kroku, nie znajduję nic, oprócz lekceważenia i pogardy. Może to i zasłużone, ale jam był całe życie pieszczony, chwalony, ubóstwiany prawie. Przeskok trudny i ciężki do zniesienia. Mam najlepsze chęci, ale brak mi zachęty i wiary od was. Inny, babciu, cofnąłby się niezawodnie i uciekł; ja stoję i znoszę, tylko czasem złość mnie ogarnia, jak dziś, gdym nawet nie mógł uprosić tańca od żadnej z panienek. Poszedłem grać. Co miałem robić! Dawniej na balach byłem pierwszy, dziś jestem ostatni. I tak zawsze teraz.

— To ci bardzo zdrowo! — zamruczała — Pozbędziesz się trochę pewności siebie i pychy.

Zaśmiał się ironicznie.

— Trochę! Nic już z tego nie zostało. Straciłem grunt pod nogami.

— No, no, to fraszki! Odzyskasz go prędko. Chodź już, chodź! Ja się postaram o taniec dla ciebie. Daj mi ramię. Fe, co tu dymu! Trzeba być szubrawcem z profesji, żeby wytrzymać w takiej norze. Wstydu nie macie!

Już gderała — był to znak równowagi umysłowej i przebaczenia. Milcząc, ucałował jej rękę — usta staruszki dotknęły jego czoła. Było mu dziwnie dobrze na duszy. Doprowadził ją do kanapy.

Tańczono polkę. Przejrzała pary.

— Gdzież to Jadwinia? Że też koniecznie kogoś z was musi brakować! Idź-no, poproś ją do mnie.

W gabinecie damskim Jadzia z kilku panienkami pisała jakieś karteczki. Zajrzał przez portjerę i usłyszał parę słów rozmowy.

— Imiona panów gotowe?

— Już kończę pisać panie.

— W każdym razie trzeba trochę dopomóc losowi, żeby pary były dobrane. Komu, naprzykład, dać twego pięknego hrabiego, Jadziu?

— Hrabinie Mielżyńskiej — odparła spokojnie, — ot, robię znaczek na rogu. Uważasz, Tesiu?

— Dobrze. Naznacz-że kogo dla siebie.

— Pana Adama, naturalnie! — zaśmiała się któraś z panienek.

Tu Wentzel, czując, że popełnia niedyskrecję, zastukał we drzwi.

— Pani Ostrowska prosi pannę Jadwigę. *Excusez, mesdemoiselles!*

Jadzia wyszła; usunął się przed nią z ukłonem i wyszukał Jasia w jadalni.

Obydwaj wsunęli się we framugę okna i coś szeptali chwilę tajemniczo. Chrząstkowski śmiał się uszczęśliwiony.

— Doskonale! Schöneich-by lepiej nie wymyślił. Idę zaraz. Będzie gotowe; bądź, hrabio, spokojny.

We drzwiach salonu ukazała się panna Jadwiga.

— Jasiu, czy niema tu hrabiego?

— Służę pani.

— Babka kazała mi przetańczyć z panem walca, ale jestem tak zmęczona, że gdyby pan odmówił...

— Pani daruje, ale nigdy nie odmawiam, chyba mi pani wzamian obieca towarzystwo swoje do kuligu.

— Wedle umowy los w tem rozstrzyga, nie mogę nic obiecywać.

— *Tückisches Weib!* — zamruczał Jaś, a głośno dodał: — Tańcz, hrabio, nie daruj! To jej przytrze rogi. Przebiera w kawalerach jak w ulęgałkach. O, pani Ostrowska ma rozum!

Panienka była widocznie rozdrażniona — wróciła do salonu z miną obrażonej bogini.

Hrabia spojrzał na nią i westchnął. Już nie złość, ale rozpacz go ogarniała! Co on jej zawinił, że go tak widocznie niecierpiała?

— Służę pani! — rzekł posępnie.

Podała mu końce palców, drugą ręką ledwie dotknęła jego ramienia i zmieszali się z resztą tańczących.

Po chwili starsze damy i panowie zaczęli szeptać między sobą, lornetować, trząść głowami.

— Co za para! Co za para! Jaka uroda! Blask, od nich bije! A jak tańczą! Pani Teklo, dobrodziejko, winszujemy wnuka! Pyszny chłopiec! Pozawraca głowy wszystkim pannom!

Stary marszałek, cioteczny pani Tekli, zażył tabaczki, uśmiechając się filuternie, i pochylił się konfidencjonalnie do jej ucha.

— Siostruniu, co? A żeby ich zeswatać! Słowo daję, warci siebie! Lanszaft istny! Ja lubię takie dobrane pary. Co, hę? Dobra myśl!

— Czy brat zwarjował! Zapomniałeś o Jadwini! Ale ja nie! Niemiec nie dla Jadzi!

— No, ale i Głębocki... ten... tego... Poślubiła orlica nietoperza! Co? Hę?

A tych dwoje tymczasem nie wiedzieli, że są przedmiotem zachwytu i dysputy. To tylko czuli, że im tańczyć było bardzo dobrze ze sobą, tak równo, tak zgodnie, tak lekko.

Chwilę milczeli. Ona przez ramię tancerza spoglądała obojętnie na wirujące pary, on zapatrzył się w nią i zaciskał zęby. Nigdy jeszcze dotąd nie dotknął jej ręki; teraz obejmował ją ramieniem, czuł jej oddech chwilami na skroni, zapach perfum, miał tuż obok swych ust jej dumne, a tak pożądane usteczka. Zaciskał zęby, bo gdyby je otworzył, toby mu się wyrwało niezawodnie z serca, z duszy, z oczu, z gardła: kocham, kocham, kocham!

Stał się zaś o tyle pokornym, że wątpił, czy tem wyznaniem zrobi przyjemność hardej Polce.

Ona ozwała się pierwsza:

— Czy nie byłoby dosyć, panie hrabio? Tańczymy prawie sami, pod ogniem lornetek starszych. Muszą nas srodze krytykować.

— Do krytyki przywykłem w Poznaniu. Jeszcze jeden *tour,* pani. Takiej tancerki nie miałem dotąd nigdy. Będzie to mój ostatni walc... chyba z panią, albo z nikim. Czy pani bardzo zmęczona?

Mówił nieporządnie, urywanie, pożerając ją wzrokiem.

— Hrabina walcuje lepiej ode mnie. To ogólne zdanie.

— Może być, ale ja w tem mam szczególne zdanie, i ot tak, tańczyłbym do śmierci. Żebym był pani narzeczonym, zabroniłbym pani tańców.

— Bo?... — spytała, marszcząc brwi.

— Bo miałbym za wielu rywali i zginąłbym z zazdrości.

— Rywale w tańcu nie są straszni. Dosyć, hrabio. Za godzinę ruszamy kuligiem, trzeba wypocząć. Jestem okropnie zmęczona. To będzie także mój ostatni walc... dzisiaj.

Odprowadził ją do krzesła. Pani Tekla znalazła się zaraz obok nich, z perorą.

— Ależ, Jadziu, chcesz zemdleć z przetańczenia? Produkują tu nam swą gracją godzinę, radzi, że ich podziwiają! Fe, tak się zgrzać!

Jan zdaleka kiwał na hrabiego — cofnęli się znowu do jadalni, gdzie młodzież piła, paliła i rozprawiała o kuligu. Pod dwór zjeżdżały się tuziny sań i saneczek, zapalano kagańce, biegała służba, dzwoniły brzękadła.

Chrząstkowski z hrabią cofnęli się znowu we framugę.

— Opatrzność pana natchnęła podsłuchać spisku — mówił Jan, cały przejęty. — O, dziewczęta! Pięknieby nas urządziły. Ja miałem dostać za towarzyszkę Józię Okęcką, a Cesia miała jechać z Wolickim. Słyszana rzecz! Herezja! No, no, urządziłem im sztukę! Umizgnąłem się do pokojówki, przyniosła karteczki i zmieniłem wszystkie znaki. Zobaczy pan komedję.

— Czy na mnie pan przynajmniej był łaskaw?

— Ot, najmniej, bom się strasznie śpieszył i nie znam pana gustu. Dałem panu Jadzię.

Tu hrabia zapomniał o panowaniu nad sobą i bez ceremonji uściskał młodego człowieka z całych sił.

— A panu, co się stało? — wołał Jan, oddając jednak uścisk za uścisk.

— Stało się, żem zakochany jak warjat w pańskiej siostrze! — wybuchnął wreszcie Niemiec.

— Jezusie, Marjo! To istotnie warjacja! Co wy w niej widzicie takiego? A Głębocki?

— Zabiję go! — rzekł stanowczo Wentzel.

— A jak ona pana nie zechce?

— To siebie zabiję!

— Dwa trupy! Awantura! A pani Tekla?

— Co mi pani Tekla!

— Uhm... — wtrącił Jan — to sęk nielada! No, no, moja siostra, Helena trojańska, daję słowo!

— Może i pan mnie nie zechce? — spytał Wentzel pokornie.

— Ja, i owszem. Widzi pan, ja też Niemców nie znoszę. Ale znam Jadzię i wiem, że kiedy ona pana przyjmie, to będzie pan tak czuł, jak my, tak wierzył, jak my, i to kochał, co my. Więc o co się mam kłopotać... co ona zechce, to zrobi.

— Byleby zechciała! — westchnął hrabia — I żeby mi kto pomógł...

— Ja panu dopomogę radą. Nie czekaj pan i nie asystuj, jak innym panienkom, co to w pół drogi same wyjdą i ośmielą. Jadzia kroku nie zrobi; choćby kochała szalenie, to nie okaże niczem. Z nią trzeba walczyć otwarcie. Oświadcz jej się dziś, na kuligu...

— A jak odrzuci?

— Zrobi to niezawodnie, ale to nic.

— Dziękuję! Harbuza jeszcze nie kosztowałem nigdy.

— A no, to go pan spróbujesz. Mnie Cesia częstuje nim od trzech lat, a jednak będzie moją: ot, przy-

siągłem to sobie i nie wstydzę się. Takie już nasze panienki: lubią się namyślać, ale jak się raz namyślą, to dobrze i stale. Radzę panu, jak bratu. Przetnij gordyjski węzeł, bo innego sposobu niema.

— A potem?...

— Przyszłość w ręku Boga i Jadzi. Nie troszcz się pan o to. Jeżeli ten głaz zdolny do miłości, w co wątpię, to będzie się czuła obowiązana do wyznania i odpowie panu faktami; jeżeli nie — zapomnij pan, bo nie dostaniesz nic, choćbyś był jeszcze piękniejszy i jeszcze bogatszy. Dla niej to żadna racja.

Rozmowę przerwały wołania w salonie.

— Losują! — skoczył Jan, zapominając o wszystkiem.

Tesia Żdżarska, mała siostrzyczka Cesi, stała nad dwoma stosami zwiniętych kartek i wywoływała imiona, wśród śmiechu i żartów.

— Pan Adam Głębocki, pani hrabina Mielżyńska! — posłyszał Wentzel.

Panienki coś szepnęły między sobą, zdziwione, nic pojmując, co się stało Tesi. Jan przysiadł na fotelu i dusił się ze śmiechu z miny Głębockiego i zalotnej hrabiny. Wentzel patrzał na Jadzię.

Ruszyła ramionami na szepty koleżanek, ale była zmarszczona. Czuła figiel w powietrzu.

Nagle drgnęła i zbladła jak alabaster.

Jej imię padło, a obok drugie, nienawistne, brzmiące jak dysonans.

Wolałaby każdego, byle nie jego towarzystwo. Zagryzła usta, odgadując spisek. Poszukała oczami Jana, ale zamiast niego, spotkała wysoką, górującą nad innemi postać Prusaka. Wbrew jednak ocze-

kiwaniu, nie wyglądał triumfujący, ale zamyślony, roztargniony, prawie smutny; zdawał się nie słyszeć swego nazwiska, nie widzieć nikogo.

Tu Cesia przerwała obserwację Jadzi, skubiąc ją za rękaw:

— Czy ty rozumiesz, co się stało? Wszystkie nasze układy w niwecz. Ty z hrabią, hrabina z panem Głębockim... galimatjas.

— Ale ty pewnie z Jasiem!

— Ależ tak!

— No, to jego się spytaj, co się stało.

— Kiedy go niema nigdzie.

— Pewnie gdzieś drwi w kącie. Trzeba było przejrzeć jeszcze raz karteczki.

— Niegodziwiec jeden! Odpłacę mu się, odpłacę!

Jadzia uśmiechnęła się z tego ferworu. Ta para ciągle sobie płatała figle i odpłacała z procentem kłótni. Ale czem ona się odpłaci za żart, który ją kosztował więcej, niż się kto mógł domyśleć?

— Jedźmy, jedźmy! — wołano wkoło, śpiesząc się, jakby się paliło.

Starszyzna pakowała się do krytych sań — dla młodzieży stało kilkanaście jednokonek, panowie otulali damy, służba trzymała rwące się konie; hałas, krzyk, bieganina, tysiące rozkazów, śmiechu, konceptów, nawoływań. Wentzel oprzytomniał o tyle, że wsadził panią Teklę do budy z filuternym marszałkiem.

— Jest dla ciebie „Farys" marjampolski — rzekła mu na pożegnanie.

— Dziękuję, babciu.

— O! „Farys" pobije nasze konie — ozwał się Stefan Żdżarski, — chyba mu sprosta „Orlika" pana Adama.

— Postaramy się, że nie — uśmiechnął się Wentzel, oglądając się za panną Jadwigą, która ubierała się z innemi panienkami.

Narzucił na siebie palto i w lakierkach pobiegł szukać „Farysa".

Sanki były minjaturowych rozmiarów, koń — węgier czystej krwi. Zebrał Wentzel lejce, odprawił furmana i wpadł jak wicher przed ganek.

Jadzia wyszła, eskortowana przez tuzin panów. Polecieli.

Noc była księżycowa, mroźna, cicha. „Farys" rwał się naprzód; pomimo to wszyscy ich wyprzedzali, śmiejąc się i trzaskając z batów. Kulig się wydłużył jak wielki wąż — na przodzie „Orlika", w końcu „Farys."

— Czy jedziemy za konduktem? — ozwała się Jadzia. — Pan hrabia zły automedon. Proszę puścić wolno cugle.

— Powozić umiem, ale podoba mi się tak jechać. Los nie dał dziś pani przodować z „Orliką", ale być na szarym końcu z nienawistnym Prusakiem.

— Był to niesmaczny figiel pański i Jana, za który istotnie dość miernie jestem obowiązana.

— Dlaczego? Com pani zawinił, że mnie pani tak okropnie nienawidzi?

— Mówiłam panu już kilka razy, że to jest pańskie przywidzenie. Nie wyróżniam nikogo, ani w łasce, ani w niełasce.

— W takim razie, dlaczegóż pani nie rada z figla?

Po raz pierwszy nie znalazła odpowiedzi. Milczeli chwilę.

— Czy pan nie myśli pośpieszyć?

— Nie, pani, bo mam coś do powiedzenia.

— Możeby to odłożyć na stosowniejszą chwilę?

— Nie, pani. Zbyt długo i tak zwlekałem. Lękam się okropnie pani, bo wiem, że mnie spotka znowu sromotna klęska.

— Można jej uniknąć milczeniem. Nie jestem zaczepnego charakteru.

— Niestety! Muszę sam iść do ataku. Panno Jadwigo, oszalałem za panią, kocham, jak student, pierwszą miłością, gotówem zginąć dla pani... Czy pani bardzo się za to gniewa?

— Gniew mój niewieleby tu pomógł. Dziwię się tylko panu: *primo*, że się tak łatwo zmieniasz, *secundo*, że możesz mówić mnie o miłości; nie dałam do tego żadnej zachęty...

— Ale pani wierzy, że kocham?

— Wierzę, że pan oszalał; to ściślejsze określenie.

— Jak pani chce; czy ja wiem, co się ze mną dzieje od kilku miesięcy! Obłęd, czy czary! To tylko wiem, że jeśli się pani nade mną nie ulituje, to sobie kulą rozsadzę serce, niech nie boli!

Było tyle prawdy w jego tonie, że Jadzia spojrzała nań przelotnie i przestała dysputować chłodno; zamyśliła się i zaczęła bardzo poważnie, ale łagodnie:

— A jakiejże odpowiedzi mógł się pan spodziewać od Polki, narzeczonej innego? Postaw się pan w roli pana Głębockiego. Jakbyś pan mnie uważał, żebym, słowem związana, litowała się nad kimś, co dla mnie szaleje? Takich szaleńców znalazłaby się spora ilość, a jabym musiała się nad każdym się litować.

— Nie żyliby oni na świecie, albo ja!

— A jednak pan Głębocki nie zabija i nawet nie pilnuje mnie, bo wierzy mi i szanuje. Czy pan chce, żebym straciła wiarę i szacunek uczciwego człowieka?

— Ja chcę, żeby mnie pani tylko wysłuchała. W ręce pani składam me serce i życie... Tak mi je ciężko samemu dźwigać i kryć to właśnie, czem się szczycę: pierwszą uczciwą i czystą miłość. Ja wiem, że mnie pani nie przyjmie, ale pomimo to powiadam, że pani kochać nie przestanę, ubóstwiać nie przestanę do śmierci.

Zrobiła gest niezadowolenia i chciała mówić ale on jej przerwał:

— Na miłość boską! Proszę nie odpowiadać i mieć trochę cierpliwości. Wiem, co posłyszę i chyba zwarjuję po tym wyroku. Wolę pani milczenie. Jeszcze chwilę... powiem wszystko i przysięgam, że już więcej nigdy się nie odezwię. Czy pozwala pani?

— Cóż robić! Słucham, chociaż nie powinnam, i nie odpowiem nic, jak pan tego żąda.

— Ja wiem — zaczął — żem się zgubił w oczach pani tą nieszczęsną pierwszą rozmową w Berlinie. Odtąd pani mi nie wierzy, ma za tchórza i nikczemnika, chociaż, honorem się klnę, i wtedy i teraz byłem szczery. Niemcem, zakamieniałym Prusakiem zrobiły mnie tradycje ojcowskie, otoczenie, szkoła, służba wojskowa, koleżeństwo. Wszak pani to sama rozumie. Od kolebki wpajano we mnie nienawiść do Polaków; nie znałem ni ojca, ni matki. Nazywano jego ofiarą, ją intrygantką, naród jej był podłym. Wierzyłem na ślepo. Moje pochodzenie kazano mi kryć przed obcymi, więc myślałem, że to rodzinna hańba, i nazwę Polaka uważałem za obelgę. Zapewne, winienem, żem, doszedłszy lat i rozumu, nie przekonał się o prawdziwości wpojonych idei, alem był od matczynej ojczyzny odcięty murem przesądów i antypatyj. Byłem szowinistą, jak moja babka, choć Prusom nie przyznawałem doskonałości.

I wtedy, raptem, poznałem panią. Wyznaję, że się zajęły moje oczy i nerwy rzadką pięknością, nieznaną wśród kobiet niemieckich; potem przyjechałem tutaj. Zdało się mi zrazu, że to kraj z baśni i podania, stary, zapleśniały, cudem dobyty po wiekach na światło. Poznałem tu dopiero, co to wiara i religja. Żeby pani wiedziała, jakem się zdumiał raz pierwszy, gdy Jan wieczorem klęknął do pacierzy; poznałem uszanowanie dla starszych i dla kobiet, poznałem ludzi, co pracują i myślą. I uchyliłem przed wami czoła i pokochałem kraj matczyny, i tylko marzę, by zasłużyć na wasze braterstwo. Ciężko mi, oj, ciężko! Ludzie nie wierzą, babka nie ufa, i pani zaręczona!

Zatrzymał się, sądząc, że może coś odpowie; ale ona, wierna obietnicy, milczała uparcie, zapatrzona w srebrzący się od księżyca tor dróżny.

— Dawniej, wobec tak smutnej perspektywy, cofnąłbym się tam, gdzie mnie podziwiają, wielbią, kochają i ciągną. Tracilbym, jak dotąd, czas i pieniądze, lub ożeniłbym się z księżniczką krwi, na złość wam i własnemu sercu, i możebym wkońcu zapomniał polskiego epizodu w mem życiu. Ale teraz zapóźno. Już nie oczy i nerwy kochają panią, ale serce, dusza, cała moja istota. Dawniej pożądałem, teraz pragnę służyć i stać się godnym, nie pani serca, bo je kto inny już posiada, ale pani szacunku i choćby przyjaźni. Oto i wszystko. Odbyłem spowiedź zna pani teraz mnie całego, odtąd będę tylko działał i milczał. Wierzę, że pani mej spowiedzi nie zapomni, zaufania nie sponiewiera i może kiedy daruje mi wszystkie winy i obrazy. To mi wystarcza. O jedno tylko proszę teraz: niech mi pani pozwoli uścisnąć swą rękę. Będzie to znak, że mi pani darowała.

Bez wahania podała mu rękę. Wziął ją i podniósł do ust z uszanowaniem.

— I nic mi pani nie powie? — spytał.

— Wszakże pan żądał milczenia — uśmiechnęła się. — Bał się pan wyroku.

— Prawda. Wiem, co mnie czeka.

— Kiedy pan wie, to proszę czekać — odparła. — Nie zapominam i nie zdradzam niczyjego zaufania, i panu dziękuję za pochlebny sąd...

Tymczasem koń, korzystając z roztargnienia woźnicy, wyrabiał różne sztuki: to się słupił, to galopował, to szarpał, czasami rżał i rzucał się, rozgniewany, że go wszyscy wyprzedzili. Żelazna siła Wentzla wstrzymywała go od rozbiegania, ale zato sanki latały tu i tam po szlaku, jak pijane. Nagle zatoczyły się w zabieg, stuknęły i przewróciły się w zaspę śniegu, nakrywając naszą parę w chwili, gdy Wentzel odpowiadał towarzyszce:

— Po nabyciu Strugi i ja jestem tutejszym obywatelem.

Koń zaczął rwać się i wierzgać, z pod sanek wyrwało się niemieckie przekleństwo i hrabia wygramolił się się cały biały, trzymając jednak cugle.

Pomimo swych lakierków i pozoru tylko salonowca, nie stracił głowy. Za nim wyskoczyła panna Jadwiga, ośnieżona, ale nietknięta. Śmiała się.

— Bóg karze pychę. Obiecał pan przodować na kuligu, a tymczasem oto na szarym końcu smutny nas spotkał wypadek. Proszę, ja konia potrzymam, zanim pan ekwipaż doprowadzi do porządku.

— Przepraszam panią za swą nieuwagę. Dobrze, iż nas nikt nie widział. Powiedzianoby, że powozić nie umiem, a tu tylko winien koń źle ujeżdżony i nasza

rozmowa. Kto myśli o drodze, gdy się jego los rozstrzyga! Otóż i gotowe znowu. Czy pani nie skaleczyła się, broń Boże?

— Kto ma Jana za brata, ten przywykł do wypadków. Nic mi nie jest, dziękuję panu.

Ruszyli znowu, ale już Wentzel puścił cugle i pilnował jazdy. Rozmawiali o rzeczach potocznych. Jan miał słuszność: harbuz nie był zbyt przykry z takich rąk, a oboje, zbywszy się tajemnicy, byli daleko swobodniejsi. Panna Jadwiga stała się rozmowniejszą, — mówili o pani Tekli, o scenie z kartami, o sentymencie Jasia. Uprosił sobie nawet Wentzel pierwszego kontredansa.

Gdy zajechali przed dom Wolickich, gdzie był cel kuligu, wszyscy już tańczyli. Na ich spotkanie wyszedł Wolicki z matką, Jaś i Głębocki.

— Chcieliśmy posyłać obławę za wami — śmiał się Jan po pierwszych wyjaśnieniach; — wszyscy byli zaniepokojeni: pani Tekla drży o wnuka, a ja i Adam o Jadzię. Ale, ale, wiecie, czem Adam zabawiał się z hrabiną w sankach? Grali w domino. Doprawdy, cztery partje. Ja im włożyłem do sani pudełeczko z kostkami.. Wiem, czem kogo uszczęśliwić.

Wszyscy się śmiali, oprócz Głębockiego, który, skrzywiony, jakby go zęby bolały, pomagał rozbierać się narzeczonej. Ruszono do salonu. We drzwiach Wentzel, idący za Jasiem, poczuł, że go ktoś zatrzymuje za ramię; obejrzał się — był to Głębocki.

— Czego pan sobie życzy? — spytał trochę zdziwiony.

— Parę słów rozmowy.

— Służę.

Zatrzymali się w sieni, wśród stosów futer i czapek, i Głębocki zaczął bez żadnego wstępu:

— Chcę odkupić Strugę od pana. Daję pięć tysięcy marek odstępnego. Czy pan się zgadza?

Ton był tego rodzaju, że w Wentzlu zagrała krew obrazą — zmierzył rywala iskrzącym wzrokiem.

— Za kogo mnie pan ma? Za aferzystę i handlarza. Kupiłem majątek dla siebie i zachowam go. Pańskie marki tyle mi znaczą, co plewa.

— Na cóż pan kupił Strugę? Chciałbym wiedzieć. Tu nie pana miejsce w Poznaniu! — zamruczał ponuro Głębocki.

Croy-Dülmen skoczył jak oparzony.

— Kupiłem, bo mi się tak podobało, i basta! Moje miejsce jest tam, gdzie ja chcę; nie pytam nikogo o pozwolenie, a najmniej pana.

— A ja mam prawo spytać, bo mi się nie podobają pana umizgi do mojej narzeczonej. Jakiem prawem sfałszował pan dzisiaj znaki na kartkach do kuligu? Myśli pan, żem ślepy i idjota! Widzę i rozumiem wszystko. Podobało się panu bałamucić Polkę, nie zważajac na to, że jest zaręczona... O, bardzo proszę, w takim razie, wracać, skąd pan przyszedł! U nas nie tolerują się podobne zabawy. Chciej to pan zapamiętać na przyszłość.

— Podziękuj pan swemu szczęściu, że nie lubię robić burd po obcych domach i że zbyt szanuję pańską narzeczoną, bo opoliczkowałbym pana jako nikczemnika i zabił nazajutrz za te brudy i podłości, które mi prawisz, a które nie tyle dotykają mnie, co pannę Jadwigę. Nie jestem jej narzeczonym, ale kocham może więcej, niż pan, a niezawodnie wyżej cenię i poważam. Nie śmiałbym jej nie wierzyć, pilnować i po-

zwalać sobie na przypuszczenia krzywdzące. Bądź pan pewnym, że ona bez pana pomocy potrafi utrzymać swój honor nieskalanym, i chyba pana dzika zazdrość wymyśli cień na nią. Chciej pan i to zapamiętać, że raz drugi nie ujdzie podobna rozmowa między nami na sucho.

— I owszem, pragnę tego. Nie lubię marnować słów i wolę kule! — rzucił zajadle Polak.

— A zatem, do widzenia! Rachunki nie skończone między nami, ledwie zaczęte. Tymczasem, tu nie miejsce i nie chwila stosowna.

— Spotkamy się jeszcze, panie hrabio! Radzę być ostrożnym ze mną.

— Na zbójców mam rewolwer zawsze, a dla przeciwnika pistolety i szpadę. Żegnam pana!

Wyszedł bez ukłonu. Głębocki został, patrząc na drzwi z wyrazem piekielnej zawiści. Twarz jego, posępna, była straszną w tej chwili. Potem opamiętał się, przetarł czoło dłonią, coś zamruczał i wrócił do salonu. Stawano do kadryla — nie chciał tańczyć, usiadł obok drzwi i nie spuścił oczu z jednej pary.

Opale migotały we włosach tancerki, a tancerz wyróżniał się wzrostem i pięknością.

Bawili się ochoczo, śmiejąc się z konceptów Jasia i Cesi, których mieli za *vis-à-vis*.

Głębocki siedział sam, jak szara plama w tym salonie, był opuszczony, znękany, rozdrażniony w najwyższym stopniu. Z natury nietowarzyski, mruk, zazdrośnik, nie miał nigdy przyjaciół, w rodzinie go nawet nie lubiano: więc zgorzkniał przed czasem, nie znał zabawy, żartu, swobody. Niezadowolony wiecznie z całego świata i z siebie, mizantrop, pesymista, żył, męcząc siebie i wszystkich wokoło. Smutne finansowe

położenie zdemoralizowało go do reszty: a teraz ten hrabia!...

Oh, on kochał swą Jadzię szalenie, drżał o nią, wszystkie uczucia skupiał w niej, ale nie mógł zmienić swej zawistnej, gorzkiej natury. I kochanie w nim było ciągłem niedowierzaniem, zazdrością i udręczeniem. Człowiek ten nie umiał być szczęśliwym.

Wsunięty w swój kąt, zgrzytał zębami. Czuł, że piękny panicz niósł mu zgubę i złe myśli zemsty oblegały mu głowę, coraz czarniejsze, w miarę jak tamci byli swobodniejsi i weselsi.

Widział ich każdy ruch i spojrzenie; zdawało się mu, że drwią z niego — wzdrygał się.

Potem ujrzał, jak hrabia objął ramieniem panienkę i wir tańczących uniósł ich splecionych uściskiem. Wszystkie pary wirowały, ale on tę jedną tylko widział i obserwował. Mówili coś z sobą — pewnie o miłości; czasem ruch tańca rzucał w oczy Wentzla jej ciemne, jedwabne włosy, czasem pochylali się ku sobie.

Była to dla nieszczęśliwego okropna tortura.

Gdy kadryl się skończył, kilku młodych ludzi, idąc na papierosa, otarło się o niego; wśród nich hrabia i Chrząstkowski.

— Co ci, Adamie? — zagadnął Jan wesoło.

— Głowa mnie boli — odparł przez zęby.

— To migrena, mój drogi, skutek domina z hrabiną. Poproś ją jeszcze o jedną partyjkę. Klin klinem.

— Oddaję ją podobnym tobie błaznom! — burknął w pasji hipochondryk.

Jan obejrzał go uważnie i głową pokręcił.

— Mój Adasiu, przypomnij-no sobie, czy cię też kiedy nie pokąsał pies wściekły! Oddawna chciałem cię o to zapytać. Coś ty mi się wydajesz podejrzany.

Całe grono młodzieży wybuchnęło śmiechem i wyszło do jadalni, zanim Głębocki zebrał się na odpowiedź.

Istotnie, miał ochotę gryźć i szarpać każdego, nie wyłączając narzeczonej.

Dwie noce trwały tańce. Były to ostatki zapust; kto żył, słaniał się na nogach, ale skakał cudem bożka karnawału. Pierwsza pani Tekla dała hasło odwrotu, zabierając Jadzię i wzywając do opamiętania wnuka i wychowańca. Było to we wtorek rano.

Niestety, głos jej przebrzmiał bez skutku.

Stało się bowiem, że w poniedziałek Jaś pokłócił się z Cesią. Nie gadali do siebie inaczej jak przez ramię, i dowodzili sobie czynnie wielką obojętność. Cesia kokietowała widocznie Stacha Janiszewskiego, a Jan asystował gorliwie innym panienkom. Z kłótni tej skorzystał hrabia, bo go Jan przedstawił wszystkim młodym sąsiadkom i znajomym damom, z czego wynikło obustronne zajęcie i tańce na zabój. Każda chciała się pochwalić takim tancerzem.

Oróż pupilów swoich nie mogła wydostać pani Tekla z otchłani karnawału. Hrabia miał zamówione tańce na wieczór i gospodarze domu wypuścić go nie chcieli. Jan czuł gwałtowną chęć pogodzenia się z Cesią i rozmyślał, jak to ładnie będzie, gdy ona jego przeprosi. Swoją drogą wiedział z doświadczenia, że to nie ona, lecz on odgrywa zawsze akt skruchy.

W saniach tymczasem, między jedną drzemką a drugą, pani Tekla streszczała swe obserwacje.

— Ten twój przyszły wyglądał aż fe! Jakiś kwaśny, nudny, źle ubrany, niezgrabny. Nieprawdaż?

— Przy takim Apollu, jak babci Prusak, bledną inni.

— Jakto, mój Prusak? Bardzo proszę! Nie możesz stąpić bez ironji. A ja ci mówię... tylko sza... że z tego urwisa będą ludzie. Zobaczysz, niech-no go jeszcze pomustruję. Prusak, ha, prawda, ale kto wie... Łaska Boska...

Zamyśliła się, czy zdrzemnęła, bo głos przeszedł w niewyraźne mruczenie. Jadzia nuciła półgłosem jakieś balowe wspomnienie...

Znowu ocknęła się staruszka i westchnęła.

— Dzieci, mówią, to plaga! — zaczęła, głową kiwając — Ale żeby kto wiedział, jaka to ciężka starość bez własnych dziecisków! Niechby i broiły, żeby ich mieć teraz. Moja Jadwinia nie zrobiła mi nigdy przykrości i za to ją Bóg wziął. A teraz?

— Czyż my nie jak babci rodzone? — spytała serdecznie Jadzia, całując dłoń staruszki.

— Nie skarżę się na was, broń Boże! No, ale cóż z tego? I wam czas o sobie pomyśleć. Widziałaś Jana? Oczami pożera tę czarną Żdżarską. Zobaczysz, że dziś czy jutro dobiją targu. No, i przepadł mi Jaś. Już mu nie Marjampol będzie domem, ale Olszanka. I tak dobrze, tak być powinno; ja mu jak matka pobłogosławię. Ot i jedno wyleci. A ty, ot i tobie trzeba gniazdo zakładać. I ciebie nie stanie za jaki rok. Nie w moim guście ten hypochondryk, ale znam ciebie, głupstwa nie zrobisz i wiesz, co postanowisz. I ciebie pobłogosławię i oddam mężowi. Ot i koniec.

Znowu głos się zniżył i pochyliła starą głowę. Jadzia już nie nuciła. Dziwna to była rozmowa po balu.

— Prusak, tak, niestety! — zaczęła znowu pani Tekla — Ale to moja krew, moje jedyne dziecko. Jego jednego chciałabym sobie wziąć; on mój, zostałby w Marjampolu.

— Przecie, babciu, i on kawaler. Czeka na niego pewnie w Berlinie jaka księżniczka i on zechce założyć gniazdo.

— Nie wygląda na to. Tyle było ładnych panien; żadnej nie asystował.

— Tylko hrabinie Mielżyńskiej. Może zresztą swe serce już komu oddał.

— Hrabina? Et, każdego złapie. A zresztą, choćby i był gdzie związany, poproszę go, by zaczekał aż umrę. Co mi już żyć! Parę lat. Zobaczysz, że posłucha i zostanie. On mi jeszcze nigdy nic nie odmówił.

— I hrabia Ralf, jego ojciec, był posłuszny.

— Ten mi córki nie weźmie. I zresztą, on inny, lepszy, słodszy od tamtego zbója! Żebyś go widziała po tej awanturze z kartami! Wziął mnie za serce. „Miejcie ze mną trochę cierpliwości — prosił — ja chcę być waszym, ale mi tak trudno, nikt dłoni nie poda". Wtedy to posłałam ciebie z nim do tańca.

Po bladej twarzy panny Jadwigi przebiegł rumieniec, poruszyła się i wyjrzała na zimowy szlak.

— To mi nie było wcale przyjemne — rzekła.

— Ciekawam, za co go tak znowu nie lubisz i co widzisz milszego w tym wymokłym Głębockim?

— Ja się łatwo wytłómaczę: pan Adam jest to mój rodak i znajomy. Jestem nieufna i ostrożna z natury. Ale dlaczego babcia woli hrabiego, niż mnie i Jasia, tego pewnie nie wytłómaczy.

— Ja wolę? Kto to mówił? Brednie! Śni ci się coś! — zaperzyła się staruszka, odzyskując równowagę umysłową, ale Jadzia śmiało ciągnęła dalej:

— Żeby ten Prusak jako warunek pozostania w Marjampolu postawił moją rękę, poświęciłaby mnie

babcia niezawodnie. Rzuciłaby wychowankę na pastwę Szwaba, odwiedziłabym i ja zbójecki zamek nad Renem.

— Co to, to nie! Na taką propozycję wyrzuciłabym go za drzwi. Ale co to gadać! Czasy się zmieniają, a ty nie tamta słodka i cicha dzieweczka!

— Więc niby ja jestem megera! Dziękuję!

— Po co przerywasz? Jesteś inna, i basta. Tobie ani radzić, ani odradzać nie trzeba, i nie znalazłby się dość zuchwały Niemiec, któryby ośmielił się uczynić podobną propozycję tobie.

Jadzia zamilkła. Był taki zuchwalec, ośmielił się, a ona go nie spiorunowała wzgardą i obrazą. Wysłuchała i dotąd słyszała jeszcze namiętny głos wroga, szepcący jej w obcej mowie o czci, i kochaniu, i wierności dozgonnej.

I był to grzech słuchać go, i grzech myśleć, i może grzech pragnąć, by dotrzymał.

Harda dziewczyna była tak pokorną teraz w poczuciu winy i tak pełną nadziei w coś, czego nie ważyła się jeszcze określić.

Wróciwszy do domu, zamknęła się u siebie. Czy spała — wątpliwe, bo raniutko we środę popielcową oznajmiła zdumionej pani Tekli, że jedzie do Braniszcza na nabożeństwo.

Staruszka odpoczywała jeszcze po balowej pańszczyźnie i aż podskoczyła ze zgrozy na tę wieść; czepek jej kołysał się w takt urywanych wyrazów:

— Na mszę! Sama! O świcie? Czyś oszalała? Czego? Fe, jakaś ty blada i mizerna! Oto jest skutek karnawałowych facecyj. Chłopców niema?

— Nie wiem. Sanna wyśmienita, wrócę na obiad — odparła śpiesznie panienka i zemknęła od dalszych uwag i komentarzy.

Nie była zdolna zachować dzisiaj swego chłodu i spokoju. Potrzebowała ciszy, samotności i medytacji, by się z sobą samą porozumieć.

Po raz pierwszy w życiu opadły ją jakieś wątpliwości, skrupuły, była okropnie z siebie niezadowolona.

Inna, w jej wieku, zwierzyłaby się koleżance, poradziłaby się babki, wynurzyłaby przed kimś swą zgryzotę. Jadzia powiernic nie miała, a wszelkie swe smutki i radości przywykła była znosić sama, nie wtajemniczając nikogo.

Miała wstręt do gadulstwa i spowiedzi światowej. Była niesłychanie nieufna, dzika i skryta. Zdawało się jej, że wyznać swe uczucia — to wystawić się na śmiech i pogardę; miała to za nie do darowania błąd i słabość.

Tajemnic swoich nie udzielała nikomu, ale też nie zdradzała nigdy cudzych zwierzeń; nawet ukochany brat, Jaś, nie mógł żadną miarą wydobyć z niej tak ważnej dla niego wieści: czy Cesia Żdżarska da mu nareszcie harbuza, czy rękę.

Jechała tedy Jadzia zasępiona, tocząc duszny kompromis, gdy wtem na zawrocie ujrzała tuż przed sobą spienione łby łysych kasztanów Jasia.

— Mijaj! — zawołała na furmana.

— Stój! — krzyknął Jaś, wyskakując z sanek.

Wyglądał promieniejący. I Wentzel wysiadł też. Zbliżyli się do niej obadwa.

— Nie zatrzymuj, bo się spóźnię! — rzekła, podając obu rękę na powitanie.

— Zaraz, zaraz! Tylko zgadnij, kto ja jestem?

— To ci patrzy z oczu. Narzeczony Cesi.

— Niech cię uściskam! Patrz! — pokazywał jej triumfalnie mały pierścioneczek panieński na palcu i zaśpiewał fałszywie, ale z ochotą:

Kochają się z strasznej mocy —
Będzie ślub po Wielkiejnocy! hu, ha!

— Co? Nie radaś? — spytał.

— Owszem, z całego serca. Stworzeni jesteście dla siebie. Nudzić się nie będziecie. Starczy wam humoru na całe życie. Co ci życzę i jak szczerze, wiesz najlepiej.

— No, to daj buzi, mój ty aniele opiekuńczy. Żeby nie ty, możebym się rozhultaił i roztrwonił swe serce na miłostki! Aleś ty strzegła i wstyd mi było odejść od twego ideału. Cesia mi mówiła, że gdybym nie miał takiej siostry, toby mi nigdy życia nie powierzyła. I ma rację.

— Żebyś nie był z gruntu szlachetny i delikatny, nie miałabym żadnego wpływu. Sameś się strzegł.

Ucałowali się serdecznie, potem spojrzeli na siebie i widocznie na jedną myśl posmutnieli.

— Niema Wacia! — szepnęła Jadzia, a Jan oczy spuścił i otarł wąsy czy łzę nieznacznie.

Po chwili, może przez wzgląd na obcego świadka, podnieśli głowy i Jadzia zwróciła się do hrabiego.

— Jan pana pewnie aż męczy swem szczęściem.

— Jako starszy drużba, jestem potrosze interesowany — odparł z uśmiechem.

— Ale — wmieszał się szczęśliwy narzeczony — Wentzel z Cesią tak się pokumali, że aż strach. On nas pogodził i zaręczył! Wypiliśmy we troje braterstwo i przechrzciliśmy go po naszemu na Wacława.

— No, no, i to wszystko przez te kilka godzin! — uśmiechnęła się panienka — Ile zmian. Będziecie mieli czem zabawić panią Teklę do mego powrotu.

— Dziękuję, ja idę spać! — wołał Jan przestraszony. — Ani się pokazuję, nim ty jej nie przygotujesz. Ślicznych-bym rzeczy się nasłuchał z pierwszego impetu!

— Hrabia mnie zastąpi. Ma szczególne łaski.

— Aha, hrabia! I on czem innem zajęty. On mi drużbą, a ja mu swatem. Mamy z sobą wiele jeszcze do mówienia. Strzeżcie się, Polki! Prusak porwie z was jedną. Niech-no się zdecydujemy na którą, przepadła! Ty nam pomożesz, Jadziuniu.

— Nie obiecuję. To są sprawy zbyt osobiste. Ale tymczasem proszę mnie puścić. Spóźnię się niezawodnie.

— Dowidzenia! Nie zapomnij za mnie się pomodlić.

— O! niezawodnie! — odparła.

Jan odstąpił, Wentzel podał jej rękę.

— A za mnie czy się pani pomodli? — spytał.

Po twarzy jej przeszedł nerwowy kurcz; spojrzała mu dziwnie w oczy.

— Pomodlę się! — mruknęła niewyraźnie.

Pochylił się szybko i, nim zdołała się cofnąć, pocałował ją w rękę.

— Niech pani się pomodli, bym się stał kiedy was godny — rzekł, usuwając się na bok, a jego błyszczące, magnetyczne oczy mówiły bez słów: „Kocham cię całą duszą!“

— Ruszaj, Maciej! — zawołała panienka, unikając tego okropnego wzroku pokusy.

Ba, kiedy Macieja nie było na koźle.

Szanowny swat wynalazł jakąś usterkę w zaprzęgu i zwerbował furmana na ziemię. Obadwa majstrowali coś przy chomontach.

Wentzel spojrzał w tamtą stronę i oznajmił spokojnie:

— Coś się popsuło.

Zbliżył się znowu, oparł o drzwiczki budy i, wpatrzony w nią, opowiadał swobodnie ostatnie chwile balu i zaręczyny Jasia.

Jadzia wsunęła się w głąb powozu i słuchała, milcząc. Wszyscy się na nią sprzysięgli, nawet brat, zatopiony nad uszczerbkiem uprzęży. Czuła, że ta reparacja była umyślną, a uszkodzenie fikcyjnem, — ale cierpiała, nie dając nic poznać po sobie.

— Panna Celina jest ślicznem, uroczem stworzeniem — mówił Wentzel, — i, jak wszystkie Polki, kryje niespodziankę w sobie. Z pozoru trzpiot i swawolnica, myślałby kto, bańka mydlana lub wesoły śpiewający ptaszek. No, i złapałem się na pozór jak fryc. W polce mówię jej żartem: „Jak można gniewać się na Jasia? Taki ładny, wesoły chłopak, trzeba go kochać.“ Oburzyła się okropnie: „Pan myśli, że go trzeba kochać tylko, że ładny i wesoły? Jego trzeba kochać, choćby był straszydło, bo on dobry, poczciwy, prawy i wierny! Pan mnie ma za lalkę!“ Zuch dziewczyna! I ją za to samo ubóstwiać trzeba. Żebym miał wolne serce, tobym zazdrościł Janowi takiej kochanki.

— Po polsku się mówi: ukochana! — zauważyła Jadzia.

— Ukochana! — powtórzył zcicha, jakby się uczył tego wyrazu — ukochana!

Dziewczyna zmarszczyła brwi, wyjrzała.

— Czy nie będzie dosyć tej reparacji?! — zawołała niecierpliwie.

Jan raczył zdecydować, że już gotowe. Maciej wgramolił się na kozioł, naznaczył krzyż biczem i ruszył. Młodzi ludzie zostali na drodze.

— Trafisz, siostrzyczko, na „benedicamus" — zaśmiał się figlarz, — ale to opóźnienie będzie i Bogu miłe, i ludziom przyjemne. Do widzenia!

Rozjechali się. Po chwili zamajaczało w dali miasteczko, stanęli przed kościołem.

Pierwszą osobą, którą spostrzegła Jadzia, był Głębocki. Zżymnęła się. Sądzone snać było, by nie miała chwili dla siebie samej.

— Wiedziałem, że pani będzie — rzekł posępny narzeczony, a na jego żółtą twarz wystąpił błysk radości.

Weszli do kościoła. Oprócz ludu, nikogo prawie nie było. Msza, wedle przepowiedni Jasia, miała się ku końcowi.

Narzeczeni uklękli obok siebie i wyszli prawie ostatni.

— Pan nie będzie dziś w Marjampolu? — spytała panienka.

— Ja? Czego? Patrzeć, jak Niemiec umizga się do pani? To nad moje siły. Mogę popełnić zbrodnię! — zamruczał zawistnie i dziko.

Ona zbladła z obrazy czy trwogi, spojrzała mu w oczy przejmująco.

— Pan mi nie wierzy! Czy mam się tłumaczyć? Nie dałam do tego najmniejszego powodu.

— Nikomu nie wierzę, tylko pani; ale kocham szalenie i jestem zazdrosny o swój skarb. Pani mnie zna!

— Niestety! Pan się zamęcza walką z urojeniami. To nieszczęsna manja!

— Nie zmienię swojej natury — odparł uparcie.

— Więc pan nie będzie u nas dzisiaj? Radosny to nam dzień. Jaś się zaręczył.

— Szczęść mu Boże! Dla mnie, przeciwnie, dzień smutny. Dziś wyjeżdżam ze Strugi. Niemiec mnie wypędza z ojcowizny.

— Panie Adamie, przecie pan dobrowolnie sprzedał za potrójną cyfrę wartości. Cóż tu Niemiec winien?

— Czy pani go już broni?

— Nie, tylko stawiam rzeczy jak są istotnie. Za te pieniądze możesz pan kupić trzy Strugi i oczyścić się z długów. Po co narzekać!

— Co wiem, to wiem. Ten Niemiec zrobił dobry interes. Dawałem mu odstępnego, nie chciał mi, łotr, zwrócić majątku. On wie, co robi.

— Prawdopodobnie. Idjotą nie jest i nie dziw, że odstępnego nie chciał, boś go pan pewnie obraził propozycją.

Głębocki popatrzył na mówiącą, rysy mu drżały, oczy ciskały złowrogie błyski.

— Ja go jeszcze zabiję, jeżeli...

Nie dokończył, bo mu przerwała z całą swą dumą i chłodem:

— Pan się zapomina w swej złości! Podobnej rozmowy nie zwykłam słuchać, a pańskie myśli dość jasne i obraźliwe dla mnie. Może pan się opamięta i uspokoi... tymczasem żegnam! Ruszaj, Maciej!

Przed pocztą stanęła na chwilę. *Der echte Preusse*, jak go Urban nazywał, dał jej dużą paczkę listów i gazet. Kilka listów nosiło adres: Graf Croy-Dülmen — parę było do pani Tekli i Jasia, jeden do niej samej. Zdumiała się. Adres haniebny, nazwisko przekręcone, na papierze hrabiowska korona, dwie splecione litery:

A. C., stempel berliński, a co najdziwniejsze, że identycznie podobny papier i litery nosił drugi list do hrabiego. Oba woniały jakiemś eleganckiem pachnidłem. Jadzia podniosła brwi i ramiona w górę. Pomimo mrozu, rozcięła kopertę i dobyła małą ćwiartkę welinu, zapisaną drobnem pismem po francusku:

„Pani! O względy i miłość Pani stara się młody człowiek, hrabia Wentzel Croy-Dülmen. Jeśli mówi Pani, że wolny i bez żadnych obowiązków, to kłamie. Spytaj go się Pani, kim on jest od lat siedmiu dla Aurory Carolath i czem ona jest dla niego. Jeżeli powie, że niczem: kłamie! Oddałam mu swą cześć, honor i serce — należę do niego, a on do mnie, i nikomu go nie oddam, bo mam prawa, a on jest człowiekiem honoru! Musi być Pani bardzo piękna, ale się nie boję, bo jestem, pomimo wszystko, kochana, a Pani, po przeczytaniu tego listu, nie zechce ze mną rywalizować. Hrabia Wentzel należy do mnie, powtarzam, i nikt w świecie nie potrafi go tak ubóstwiać, jak ja. Oddal go Pani, bo przysięgam Ci, że nie pozwolę, żeby on z inną był szczęśliwy, i odbiorę Ci go, choćby był twoim mężem nawet! Nie drażnij mojej namiętności i zemsty, a usłuchaj ostrzeżenia i rady! *Aurora Carolath.*"

— Ohydne! — wzdrygnęła się Jadzia, odtrącając list jak plugawy owad; parzył jej ręce, a całą twarz pokrył oburzeniem, pogardą i wstrętem.

Rywalka płochej awanturnicy wielkoświatowej! Brr! co za upokorzenie, co za wstyd! Zdawało się jej, że ktoś błotem ją obryzgał, nazwał ulicznicą!

Zmięła list i wyrzucić go chciała; ale przyszedł namysł — wsunęła go napowrót w kopertę i włożyła do kieszeni sanek.

Poco miała znosić obelgę, jakby była winną — niech ten cierpi, kto zasłużył.

Uspokoiła się, a raczej po swojemu skryła uczucia pod maskę chłodnej powagi.

Gdy wysiadła w Marjampolu, pani Tekla nie dostrzegła żadnej w niej zmiany. Zajęła się zwykłą robotą około zaniedbanych lekcyj w ochronce, przeglądała zadania, snuła się po domu, pomagając staruszce krzątać się po gospodarstwie. Panicze spali w oficynie.

Wbrew bojaźni Jana, wieść o zaręczynach przyjęła babka bardzo spokojnie. Spodziewała się tego, — i tylko utyskiwała nad bezładem, który się zagnieździ w obu majątkach, nim się chłopak uspokoi ze ślubem.

— Trzeba będzie dać mu urlop na ten czas, bo to nic nie warte: administrator zakochany jak kot w szperce. Niechby osiadł na ten czas u Żdżarskich. Biedne konie i służba! Ja wezmę porządek w swoje ręce tymczasem, a tobie wypadnie zająć się domem w Olszance. Po kawalerze jak po Tatarach wygląda, a ta błaźnica Cesia pewnie ładu nie zaprowadzi Dobrze, jeśli gotowy utrzyma jako tako. Cóż milczysz? Osowiałaś zupełnie..

— Słucham babciu! Wszystko się zrobi!

Słuchała istotnie, ale myśl jej kołowała uparcie nad listem hrabiny Aurory.

Należy on do mnie! — dzwoniło jej w uszach. Jeśli mówi, że kocha: kłamie! Mam prawa... oddałam cześć, honor, serce, a ty co? Nic!

Przez cały dzień tysiąc sprzecznych myśli rozsadzało głowę biednej Jadzi, a pani Tekla rozprawiała o tapetach w Olszance i trzpiotowatości obojga narzeczonych.

Jak wszystko — widziała i ich pożycie w gderliwych kolorach.

— Będą bąki zbijać, zobaczysz! — powtarzała.

Pod wieczór w głowie Jadzi uspokoiło się Powzięła stanowczy zamiar. Doszła do porozumienia z sobą — wiedziała, co jej czynić wypada.

Na herbatę zjawili się młodzi ludzie. Jan wsunął się na ostatku, z niepewną miną, wątpiąc w dobre przyjęcie swej nowej godności, hrabia — ze zwykłą swą konwencjonalną swobodą. Człowiek ten umiał po swojemu panować też nad swemi wrażeniami. Był wytrawnym światowcem.

— Przedstawiam babci winowajcę! — ozwał się wesoło. — Ten pan zapala pochodnię hymenu.

— Wiem, wiem! Od czterech lat wisiało to nade mną, jak miecz Damoklesa. Tracę towarzysza zimowych wieczorów i pomocnika.

— Ofiaruję się na niegodnego zastępcę.

— A za jaki miesiąc sam w jego ślady pójdziesz.

— Niech Bóg broni! Ślubuję celibat, a jeśli go złamię, to żonę będę trzymał w Marjampolu.

— Co? Niemkini pod moim dachem! Tego moje oczy widzieć nie będą! — oburzyła się.

— Na cóż koniecznie Niemka! — wtrącił Jan — Może być Francuska, Włoszka, Hiszpanka.

— Nie ciekawam, nie ciekawam. Kiedyż twój ślub?

— Po Wielkiejnocy, w maju. Cesia wesela nie chce świetnego. Postanowiliśmy sumę, coby to kosztowało, użyć na jaki pożyteczny cel.

— Na kościół w Brodnicy. Ja radzę! — rzekł z uśmiechem Wentzel.

— Kościół się dokończy za twoje złoto! — odparł Jan. — Babka znajdzie dobry cel To już nie mój kłopot. Ależ ty, Waciu, masz listów! Tuzin! O, i do mnie ktoś nagryzmolił.

Pani Tekla popatrzała na nich obu, zdziwiona niespodziewaną poufałością, ale to imię pogłaskało ją po sercu, więc nie zrobiła żadnej uwagi. Dawno już w myśli wnuka tak nazywała.

Jan bez ceremonji czytał swój list, a hrabia przerzucił tylko swoje i wsunął razem do bocznej kieszeni. Zdało się Jadzi, że się skrzywił nieznacznie na widok złocistej hrabiowskiej korony.

— Nie czytasz? Nie krępuj się, może co pilnego lub ważnego! — zawołała pani Tekla, nie pojmując w swej żywości jak można zostawić list zamknięty w kieszeni.

— Mniejsza o to — rzekł lekko. — Same fraszki. Materjał do prędkiego uśnięcia. Wolę rozmawiać, znalazłszy się po tylu dniach znowu w swojem kółku.

— Któż to pisze?

— Przeważnie ciocia Dora i kilku kolegów. Ciekawym, kto im dał mój adres tutejszy. Myślałem, że będę spokojny. Nienawidzę listów i sam nigdy nie pisuję, chyba z konieczności.

— To lenistwo! — wtrąciła staruszka. — Może i gazet nie czytujesz?

— Czasem w klubie. Nie zajmuję się polityką.

— Ty wogóle nie zajmujesz się niczem poważnem.

— Niestety! Ale to już czas przeszły, dokonany. Od dziś zaczynam pracować. Jutro przecie obejmuję Strugę.

— Daj ci, Boże, szczęśliwie! A do Berlina się nie wybierasz?

— Owszem i wprędce. Mam kilka spraw do zakończenia.

Zamilkł, zmarszczył się i potarł markotnie czuprynę.

— Jakże ci się ze mszą udało, Jadziu? — zaganął Jan, mrugając filuternie.

— Modliłam się, by cię nie opętał szatan chytrości i podstępów — odparła wesoło.

— Oho, tak źle z moją prawością stoi! A ja za ciebie się modliłem, że cię nie ogarnął anioł stróż cnót teologicznych.

— To też i ogarnął i dał mi sposobność wprawy bom spotkała pana Głębockiego.

— Graliście w domino?

— Nie, dla osobliwości, rozmawialiśmy.

— Musiałaś to uważać za popielcową pokutę!

— Pan Głębocki jest to dziwny człowiek — zauważył Wentzel. — Chciał, bym mu odprzedał Strugę. Myślałem...

— Że się wściekł! — podchwycił Jan. — Wspomnicie moje słowo, że to się z nim stanie pewnego pięknego poranku. To złość anormalna!

— Nie wiedzieć co! — zawołała pani Tekla. — Chociaż on istotnie miewa miny okropne. Jabym go się bała.

— I ja też nie rozumiem odwagi Jadzi. Ciebie pierwszą zadusi w paroksyzmie.

— Jezus, Marja! Co ty pleciesz! Ja, doprawdy, Jadzi nie dam za niego. Niech się ta choroba jakoś wyklaruje. Kto wie, co to jest. Jego stryjeczny dziad był furjatem.

— A co? Widzi pani! To dziedziczne. Ja nawet czytałem, że obłąkanie nie idzie w prostej linji, ale tak jakoś zygzakiem.

— Tego to nie wiem, ale pana Pawła Głębockiego pamiętam dobrze; zaczął od idjotyzmu: chodził po polach i powtarzał bezustannie: mój flet, mój flet, mój flet!

— Coraz gorsze prognostyki. Już Adam ma bzika, do idjotyzmu krok pozostał. Będzie chodził, jak dziadunio, po polach i jęczał: moje domino, moje domino! Uważasz, Jadziu?

— Et, bredzisz! — oburzyła się. — Pan Adam takiż warjat, jak i ty.

— Uhm! niby, że obadwa jesteśmy zakochani. Tyle podobieństwa.

— Moja Jadziu, to wcale nie żarty! — upomniała serjo pani Tekla, istotnie przerażona. — Jaś ma rację, że lęka się o ciebie. Nad tem trzeba dobrze się namyśleć. Szczęściem, że mi to przypomniał. Dziedziczna warjacja! Ho, ho! Ja to wezmę pod uwagę! On ma złe oczy!

— Bardzo złe — potakiwał Jan poważnie — jakieś bure i zezuje.

— Dajże raz temu spokój — mruknęła gniewnie panienka, a Wentzel zagadał kwestję, czując, że lada chwila obadwa wybuchną śmiechem z miny wystraszonej staruszki.

— Jedziemy jutro na wilki do Wolickich — zaczął.

— A jakże, a stamtąd do Żdżarskich — uśmiechnął się figlarz, zapominając o Głębockim na myśl o przekornych oczętach Cesi.

Marzyło mu się, że może jako narzeczony otrzyma choć przelotnego buziaka. Aż westchnął na tę myśl rozkoszną.

Hrabia się roześmiał na to westchnienie.

— Dostaniesz, dostaniesz! — pocieszał.

— Co? — bronił się chłopak i poczerwieniał jak dziewczyna. — Jakiś ty domyślny! — potwierdził natychmiast.

Pani Tekla coś sumowała tymczasem. Jan zabił jej ćwieka w głowę. Raptem zerwała się z miejsca i zapaliła świecę.

— Gdzie jest klucz od bibljoteki, Jadziu? — zawołała.

— Wisi na miejscu. Czego babci potrzeba?

— Nic, nic. Podręcznika lekarskiego. To nie dla ciebie pisane. Znajdę i sama.

— Ja babci pomogę — zerwał się Jan skwapliwie.

I oboje zniknęli za drzwiami.

Poczciwy swat! Wentzel życzył mu sto buziaków Cesi w nagrodę bratniej pomocy.

Zostali tedy sami i to na długo, bo Jan potrafi zatrzymać staruszkę, ile sam zechce, — i Wentzel rozmyślał, jak zacząć rozmowę, gdy — o cudo! — Jadzia ozwała się pierwsza.

— Dziś rano przyszedł list, mylnie do mnie adresowany. Zwracam go Panu.

Końcem palców podała mu kopertę, na widok której pobladł śmiertelnie, a potem wyszła z pokoju.

Wziął, przeczytał i, rzuciwszy go na ziemię, oburącz desperacko objął głowę.

— *Jetzt ist's aus!* — zamruczał i miał ochotę wyć ze złości, wstydu i rozpaczy.

Stracone wszystko! Stare grzechy zemściły się. Teraz trzeba pożegnać na wieki hardą dziewczynę, na oczy się nie pokazywać.

Brr, jak ona go teraz dopiero nienawidzi i pogardza! A ta Aurora! Czy rozum postradała? Kto jej doniósł? No, no, odpłaci się tej całej klice! Zapłacą mu za ten

figiel! Prawa Aurory!... Farsa!... Za kogo ona siebie ma?

Czy on ją nawet kochał kiedy, nie pamiętał. Ha, pisała i do niego. Zobaczmy!

Rozdarł niecierpliwie kopertę, przebiegł oczami misywę, zmiął i schował napowrót.

Człowiek honoru! To brzmi jak dysonans.

Ma słuszność, ale to nie z nią postąpił bez honoru, ale z Jadzią właśnie. Zapomniał o łańcuchu siedmioletniej miłości w stolicy i sprowadził ją, tę czystą dziewczynę, w kałużę wielkoświatowej swawoli. Oh, jak ona się nim brzydzi i pogardza, i jak śmiertelnie jest obrażona! Jak on jej teraz w oczy spojrzy?...

Wziął znowu głowę w dłonie i rozmyślał, czy nie najlepiej palnąć sobie w łeb, gdy wtem tuż za nim zabrzmiał jej głos:

— Panie hrabio!

Skoczył, jakby go strzał już trafił, i stanął przed nią. Nie śmiał spojrzeć, aż wreszcie, ryzykując ostatni krok, podniósł oczy.

Potępienia bez apelacji nie wyczytał z jej twarzy; więc, słuchając pierwszego natchnienia, przyklęknął u jej nóg, jak przed obrażoną boginią.

— Jak ja panią przebłagam za to?... — rzekł pokornie.

Usunęła się nieco.

— Wstań pan. Do czego to podobne!

— Nie wstanę. Niech mnie pani karze, zada jaką chce pokutę, tylko proszę nie dobijać tem sfinksowem milczeniem. Wiem, żem wart pogardy i potępienia, ale honorem się klnę, żem przez te parę tygodni zapomniał, że istnieje poza panią ktoś drugi na świecie.

— Pan łatwo zapomina, widzę, sądząc z listu tej damy. A jednak ma ona zupełną słuszność. Nikt przed nią nie ma prawa do pana, a ja najmniej. Wstań pan, bo odejdę.

Na tę groźbę podniósł się z kolan.

— Niestety, ma słuszność! — westchnął. — Ale w tem tylko postąpiłem niehonorowo, żem przed panią ten jeden grzech zataił. Tyle zuchwalstwa nie przypuszczałem. Chciałem zerwać stosunek, oczyścić się, przez szacunek dla samego siebie chociażby. Jest to tutejsza nauka. Dawniej hrabina była mi chlubą, zazdroszczono mi tego szczęścia. W naszym świecie nazywają to wielkim losem. Teraz mi wstyd wyznać to nawet. Pani pewnie nie raczy spojrzeć na mnie.

— I owszem. To, co pan mówi, tchnie szczerością. I cenię to, że się pan nie uniewinnia kosztem cudzym. Ale to są plamy, panie hrabio, są to kajdany, z któremi nie marzyć panu o swobodzie i uczciwej miłości. Byłam oburzona po otrzymaniu tego listu. Niewinnie strącono mnie do poziomu tej pani. Ja... jej rywalka! Miłość pańska ciężką jest, równa z wesołą kumoszką i bez honoru i wstydu. Żadna szlachetna dziewczyna nie zechce pańskiego serca, wzdrygnie się przed podobnem zestawieniem, nie stanie do walki ze swawolą i takiemi groźbami. Są to frazesy nie dla porządnych uszu. Praw, podobnych jej, nie rozumiemy; czci i honoru nie oddajemy darmo, uważamy to za zbyt wielki skarb, ale też, coprawda, mało się lękamy gróźb. Powiedz pan swojej hrabinie, żeby się uspokoiła. Jej praw posiąść nigdy nie żądałam, a człowieka, który ma jakieś tam tajemnicze obowiązki, żadna z nas, Polek, za męża nie weźmie. Towar podobny zostawiamy Berlinkom na wyłączną i bezsporną własność.

Hrabia się skłonił.

— Dziękuję pani za drugiego harbuza. Ten był cięższy do zgryzienia, niż pierwszy. Za parę dni odjeżdżam do Berlina i długo mnie już pani nie zobaczy. Za powrotem tu będę wolny i inny, niż dotychczas, nie towar dla Berlinek w każdym razie. Panno Jadwigo, proszę o mnie czasem pomyśleć i nie zapomnieć, że panią tak kocham, jakem nikogo nie kochał w życiu, ani kochać będę kiedykolwiek. Rywalek pani nie ma i mieć nie będzie.

— Czy pan chce dostać trzeciego harbuza?

— A choćby tysiąc. Po każdym kocham jeszcze silniej i hartuję się na wszystko. Proszę o mnie pamiętać i dać mi coś na szczęście, jaki drobiazg. Będzie mi lżej pracować, spojrzawszy na dar pani. Oh, na jaką ja idę ciężką walkę... z sobą i ze światem!

— Daruję panu list hrabiny Aurory — odparła z uśmiechem.

— Bodajby zginął marnie! Będzie on ją drogo kosztował! — mruknął gniewnie. — To niech mi pani zamiast podarunku da rozkaz jakiś, co zechce ode mnie dla siebie.

— Nie mam prawa rozkazywać i nie będę. A jeśli pan ma ochotę zrobić mi coś przyjemnego, to samemu trzeba się domyśleć. Przecie pan mnie zna.

— Ja panią? Jakim sposobem? Jest pani dla mnie zagadką, sfinksem. Pani nie ma chyba żadnych pragnień.

— Owszem, tylko ich nie zdradzam. Nie lubię zajmować drugich sobą.

— Niech mi pani powie choć jedno! — prosił.

— Kiedyś, gdy pan wróci innym. Teraz niech pan zgaduje.

— Na to trzeba osobnego natchnienia. Chyba mi Jaś dopomoże. Ja nie kryję swych pragnień, a mam ich trzy tylko.

— Tak mało?

— Jedno: bym mógł tu wrócić prędko.

— Jeszcze pan nie wyjechał — wtrąciła.

— Drugie: bym zastał panią tak dobrą, jak dziś żegnam, i trzecie: by mnie pan Głębocki nie zabił, nim mi pani...

— Groził panu? — spytała, brwi marszcząc.

— Tak i dotrzyma niezawodnie — odparł. — Szalony człowiek. Dałbym, co mam, żeby być na jego miejscu, a on mi zazdrości. Szalony!

Spuściła głowę i milczała. Strach ją ogarnął; znała mściwą naturę Adama, a groźbę słyszała także.

— Niechże pan się strzeże, panie hrabio. To okropne, ale Jan ma trochę racji. Pan Głębocki może się zapomnieć.

— Jeśli go pani kocha, to się uspokoi. Będzie szydził ze mnie i triumfował — rzekł gorzko.

— Niczyja miłość go nie ułagodzi, gdy sobie coś wyobrazi. I on broni swych praw... godny partner hrabiny Aurory.

— Ba, żeby miał tyle tylko co ona szans wygranej! — wybuchnął hrabia i urwał, bo w salonie rozległy się kroki i ostrzegawcze chrząkanie Jasia.

We drzwiach ukazała się pani Tekla niosąc oburącz grube *in folio* starodawne jak świat.

Miała minę proroczo natchnioną; księgę położyła na stole, dobyła okularów i zaczęła czytać:

— „Choroby mózgu i wynikające z tego rozrzedzenie, czyli obłęd". Oto jest — przerwała, stukając palcem w oznaczone miejsce stronicy — siedemdziesiąt

dziewięć kartek. Odczytam to, i jeśli znajdę choć jeden objaw podobny do zachowania się Głębockiego, to zapowiadam, Jadziu, że ci na małżeństwo z warjatem nie pozwolę. Lepiej zostać starą panną.

— Nim pani odczyta siedemdziesiąt dziewięć kart, ja jej tuzin kawalerów zdrowych na umyśle dostarczę. Niech-no się zajmę twym losem — Jan mrugał znacząco.

Panienka zwróciła się, by odejść, uciec od prześladowania. Przy tym nagłym ruchu bransoletka jej, złożona ze złotych numizmatów, zaczepiła się o rzeźbioną poręcz krzesła. Łańcuszek pękł i monety rozsypały się z brzękiem po ziemi.

Młodzi ludzie zaczęli je zbierać; pani Tekla, zatopiona w czytaniu, nic nie słyszała.

— Raz, dwa, trzy, cztery — liczyli wszyscy troje, a Jan dopominał się o jeden za fatygę.

Zebrano wszystkie, ale wręczono jej o dwa mniej. Zaczęła się sprzeczka i targ. Widmo warjacji Głębockiego nie zaprzątało żadnemu myśli.

— Ja przystaję na połowę — rzekł wreszcie Wentzel — podzielmy się, Jasiu, pieniążkiem panny Jadwigi. Pozwala pani?

— Jeżeli go pan złamie w ręku, daruję całą bransoletę — rzekła śmiało.

W tejże chwili moneta pękła w palcach młodego człowieka.

— A to kleszcze dopiero! — dziwił się Jan. — No, dawaj bransoletę Samsonowi.

— Dziękuję pani. Otóż i mam pamiątkę! — triumfował hrabia, biorąc z jej rąk garść monet i potargany łańcuszek.

— Niech panu służy na szczęście! — rzekła z uśmiechem.

— Jest! Jest! — zawołała pani Tekla. — Słuchajcie: „Osoby, dotknięte obłędem, podlegają urojeniom i melancholji, wzrok suchy, niepewny, zachowanie niespokojne, ponure...“ Czy nie tak jest?

— Zupełnie! — potwierdził hrabia.

— Dalej: „okazują niechęć do ludzi, widzą w nich wrogów, unikają towarzystwa, szukają samotności, nie lubią pozostawać w miejscu...“

— Tak, tak! Znajdzie się i to — potakiwał Jan.

— Dalej słuchajcie: „pierwszemi ofiarami furji bywają najbliższe osoby: służba, doktorowie, krewni, przyjaciele...“

Tu pani Tekla urwała czytanie i popatrzała na swe otoczenie; zgroza zabiła jej mowę.

— Śliczna awantura! — ozwał się Jan. — Ja mówiłem, że Jadzia pierwsza odpokutuje.

— Tak, tak! — wydobyła z gardła staruszka. — Trzeba Jadzię wybadać, czy nie spostrzegła czegoś podobnego; ona bo jest skryta, aż strach! Jadziu, powiedz...“

Ale Jadzi nie było. Cichutko wyślizgnęła się na wstępie czytania, przeczuwając biedę. Gdzieś z dalszego salonu dolatywały akordy jej muzyki. Ani dbała o swą straszną przyszłość.

Hrabia ruszył się żywo.

— Może poprosić pannę Jadwigę? — ofiarował się.

— Et, nie trzeba. Ja i tak nie dopuszczę do tego nieszczęścia. Zabronię i basta! Albom jej nie matka?

— Dziękuję — rzekł Jan — a ja jej wyswatam męża i basta! Albom nie brat? Chodźmy tymczasem słuchać muzyki. Zabierz, Waciu, to *in folio* — i dodał ciszej: — oprawisz je kiedyś w złoto, bo ci będzie lepszym swatem, niż ja. Głębocki *caput!*..

XI.

Głucha cisza zaległa Marjampol. Hrabia wyjechał do Strugi, a stamtąd dalej w świat. Jan gościem był w domu i to już nie dawnym, swawolnym chłopcem, co rozweselał puste salony. Osowiał, znudniał; albo mówił o Cesi, za którą szalał coraz bardziej, albo siedział, milcząc, targał wąsiki i marzył o niej.

Przez tydzień staruszka z Jadzią były mocno zajęte gospodarką i reparacjami w Olszance, zresztą odpoczywały po karnawale. Po tygodniu ład się ustalił, robotnicy zajęli się domem dla nowożeńców, pani Tekla wzięła się znowu do wełnianych kaftaników, Jadzia — do wieczornego czytania.

Dawniej to życie wystarczało im do szczęścia: lubiły ciszę i samotność, nie czekały nikogo, nie pragnęły zmiany, — a teraz, choć się nie przyznawały do tego, czegoś im brakło.

Czegoś! Pani Tekla zaczęła wzdychać i niepokoić się, gderała wdwójnasób, nawet Jadzia obrywała niekiedy — nikt i nic zadowolić jej nie było w stanie. Najgorzej dostawało się Janowi.

— Jesteś mazgaj! — słyszał sto razy za każdą bytnością i zgadzał się pokornie na to określenie.

Nareszcie po dziesięciu dniach wylazło szydło z worka. Staruszka nie zdołała ukryć powodu troski,

tęsknoty; po kilku westchnieniach ozwała się do cichej towarzyszki:

— Gdzie też się teraz Wacio obraca? Żeby nie chory czasem? Tyle czasu niema listu.

— Może do Jasia pisał — odparła Jadzia.

Słowo to było lontem pod minę prochową. Cały dzień staruszka chodziła od okna do okna, wyglądając wychowańca; gdy wrócił wieczorem, od progu pytała już o list.

— Miałem wczoraj — oznajmił.

— I cóż? I cóż? Czy zdrów?

— Kiedym go jeszcze nie otworzył.

— Co? Czyś oszalał? Pokaż mnie; ty pewnie i czytać zapomniałeś, mazgaju.

— Tak dalece nie; odczytam i powiem, jeśli co będzie ciekawego.

— Gdzież list? Skąd? Z Berlina?

— Listu zapomniałem w Olszance.

— To poślij! Kara boska z tą młodzieżą!

Jan kłamał; list odczytał, ale się treścią nie mógł z babką podzielić. Zato, gdy się znalazł na chwilę z Jadzią, oddał jej odezwę.

— Przeczytaj sama — szepnął, a tymczasem niby posłał kogoś do Olszanki i uspokoił staruszkę, że kiedy Wenzel pisze, to przecie zdrów i cały.

Jadzia odczytała list w samotności swej izdebki. O ile ortografja była haniebna, o tyle treść szczera i serdeczna.

„Kochany Jasiu! W życiu swem całem nie pracowałem tyle, co przez te dni kilka. W Berlinie byłem dzień jeden — tyle tylko, by popalić wszystkie miłosne bileciki, pamiątki, pukle włosów i t. p. śmiecie, a ich autorki i właścicielki wysłać do wszystkich djabłów.

Ciocia Dora okadza dom, a ja zemknąłem od spazmów i rozpaczy. Nie złapią mnie więcej. Objechałem swe dobra i fabryki i zlekka zacząłem kontrolę: kradzieży i niedbalstwa więcej niż włosów na głowie! Dam ja im pieprzu! Żeby babka to wiedziała! No, po paru latach pracy zaproszę ją na rewizję, teraz nie. Powiedz pannie Jadwidze, żem dzień i noc myślał nad odnalezieniem czegoś, czegoby ona pragnęła, i jutro jadę do Fröschviller odszukać grób waszego brata. Pomaga mi całe ministerjum, wiozę autentycznych świadków i grabarzy. Spytaj się, czym zgadł i czy zrobię jej tem smutne zadowolenie. Kocham ją z dnia na dzień coraz bardziej i tęsknię, jakbym lata nie widział. Nie rozumiem, jak potrafię wyżyć te parę miesięcy do twego ślubu. I ty ich końca pewnie wyglądasz z utęsknieniem.

Twój brat i przyjaciel".

Długo, bardzo długo czytała Jadzia ów list. W duszy robiło się jej rzewnie i słodko. Dlaczego? Wszak była kochaną tyle razy, słowa nie mówiły jej nic nowego; słyszała je często, bez szczególnego wrażenia.

A teraz te pierwsze poszły jej w duszę, aż się wzdrygnęła pod nieznanem wrażeniem. Stało się tedy to, co przeczuwała i przed czem się broniła całą mocą.

Nie był to dla niej już obcy człowiek — Prusak. Zasady, rzeczywistość, wszystko zgasło, zbladło przed wielką potęgą, co się naigrawała z jej woli i tradycji: on ci nie wróg, on ci najmilszy na całym świecie, i choć może nie wart, ale on ci pierwszy z ludzi, i choć ci ani swój mową, ani życiem, choć on ciebie nie rozumie — ty go kochasz i kochać będziesz do śmierci, i nie ostoi się przed nim ani twa powaga, ani duma, ani siła charakteru — i skoro zechce, będzie twym panem.

Jadzia spuściła głowę. Głos w duszy mówił prawdę, nie próbowała się nawet bronić przed tą niedolą. Była pokonana, składała broń. Przez te dni dziesięć poznała już, co to tęsknota, — poznała, co nuda i pustka serdeczna, której nikt nie zapełni, tylko jeden jedyny! List dopełnił miary. I on tęsknił, i on myślał o niej, pracował, zrywał stare nawyknienie i zgadł to, czego pragnęła, choć o biednym bohaterze nigdy z nim nie mówiła. O, jakże mu była wdzięczna.

Raz jeszcze odczytała pismo. Łzy jej się cisnęły do oczu, jakaś radość napełniała duszę. Wstała, zbliżyła się do okna, przez które zaglądały do pokoju gwiazdy na wyiskrzonym tle nocy zimowej.

Gwiazdy mrugały do niej: o, dziewczyno, i co warte twe życie po ten dzień i jakaś ty dziś bogata — masz niebo w duszy! Podziękuj!

I myśl Jadzi poszła ku gwiazdom i szeptała modlitwę całej swej istoty przeistoczonej.

— Bądź pochwalony, Boże, mojem szczęściem, bądź pochwalony mojem kochaniem! Niczego nie pragnę, tylko, byś mu w pracy dopomógł, w trudzie pobłogosławił, byś go nauczył uczciwie żyć, szlachetnie myśleć, dobrze działać. Zrób zeń, Boże, człowieka, któregoby świat szanował, i daj, Boże, by mnie kochał, jak kocha.

Potem milczała chwilę i wyszeptała znowu z rzewną prośbą:

— A ty mi daruj, bracie, żem jemu oddała serce. Nie przeklinaj. Walczyłam ile mocy. Terazem słaba, zmęczona i pokonana. Daruj mi! Nie mogłam inaczej...

Nazajutrz rano Jan otrzymał od siostry krótką kartkę w oficynie: „Odpisz, że zgadł i żem mu bardzo

wdzięczna". Zrozumiał, że nie chciała mówić o tem, i nie wspominał więcej. Babce listu nie pokazał.

— Są tam kawalerskie sekreta, nie dla pani uszu. Wacław zdrów i rączki dam całuje.

Musiała na tem poprzestać, choć narzekała i gderała okropnie.

Życie poszło dalej swoim trybem. Monotonność wielkopostną przerywały wizyty Głębockiego, zmora pani Tekli.

Wyczytała widocznie coś strasznego na owych siedemdziesięciu dziewięciu kartach i nie odstępowała narzeczonych, obserwując pana Adama w sposób obrażający. Biedny człowiek!

Jadzia zmizerniała, zesmutniała, oniemiała do reszty. Czuła, że oszukuje go, a zebrać się nie mogła na zerwanie słowa. Nazywała to zdradą, podłością, zwlekała z wyznaniem jak zbrodniarz. Myśl ta i wyrzuty toczyły ją jak robak, wstydziła się sama siebie, nikła w oczach, ale milczała, znosząc wizyty Głębockiego, jak ciężką pokutę. Pani Tekla swą ciągłą obecnością odbierała jej resztę odwagi.

Smutne to były odwiedziny dla nieszczęśliwego — po każdej wizycie odjeżdżał bardziej ponury i zrozpaczony, przysięgając sobie, że za następną bytnością albo zerwie, albo wymagać będzie oznaczenia terminu ślubu; po nocach nie spał — tłukł się, jak Marek po piekle, po pustym domu, łamał ręce, rwał włosy, szalał.

Po paru dniach gniew opadał, porywała go miłość i tęsknota; jechał do Marjampola i nic nie mówił z tego, co przysiągł — bał się, że zła jego gwiazda zawiedzie go, jak zwykle, i że straci prawo pobytu pod dachem narzeczonej. Wolał znieść tortury, byle na nią patrzeć.

Mijały tygodnie, przerywane częstemi listami Wentzla; pisywał i do babki, częściej do Jasia, ale chłopak nie dzielił się wiadomościami; mówił czasem siostrze krótko: „kłania się tobie", i czekał, że o co spyta, ale ona milczała, zadawalniając się tem, co jej opowiadała pani Tekla.

Musimy dodać, że staruszka, choć pozornie rzucała niedbale otrzymaną kartkę, potem w sekrecie chowała ją skrzętnie do szufladki potajemnej w biurku, gdzie leżały jej relikwje: listy matki, dukat z Matką Boską — dar ślubny, jakieś stare kwiatki z grobów, kawałek świętego chleba, legja honorowa męża i mirtowa gałązka z wianka córki. Nie miała skrupułów, że te listy sprofanują święte pamiątki. Raz nawet, nałożywszy po długim namyśle okulary, odpisała swemu Prusakowi. Było tam wiele morałów, złych posądzeń, a potem zlecenie, by się szanował, nie nadwerężał, i poco ma czas tracić w złem towarzystwie Szwabów, lepiej, żeby wracał do Marjampolu, gdzie mu będzie rada. Kończyła błogosławieństwem.

Ale on nie wracał, a natomiast przysłał wiadomość, że pragnienie Jadzi spełnione.

Zwłoki Wacława Chrząstkowskiego wydobyto z ogólnej mogiły. Miał biedak swój grób tymczasowy na cmentarzu miejscowym, czekając aż go stamtąd zabiorą.

„Byłem sam przy tym smutnym obrzędzie — pisał do Jana — nie chciałem cię wzywać. Pojedziemy może tam kiedy razem, we troje, jeśli mnie wziąć zechcecie za swego. Ludu zebrało się sporo i asystował pułk piechoty z okolicy. Pożegnano go wojskowemi honorami i długą, długą karabinową salwą. Rzuciłem mu garść ziemi, jak to u was zwyczaj, a gdy się wszyscy

rozeszli, zostałem sam jeden i zmówiłem pierwszy mój dobrowolny pacierz w życiu, myśląc o tobie, Jasiu, i prosząc tego bohatera, by mnie za brata uważał."

Z listem tym przyszedł Jan do siostry wieczorem, gdy pani Tekla już się udała na spoczynek. Odczytali przez łzy poczciwe wyrazy i zaczęli wspominać brata, który, dużo starszy od nich, był im jak ojciec i opiekun.

Wentzel istotnie odgadł ich najgłębsze marzenie, dokonał trudnego zadania. Co to go musiało kosztować czasu i złota, ile protekcyj musiał użyć i gdzie się nie starać!

— Poczciwa dusza! — szepnął Jan. — Nasz Wacio pewnie mu z nieba błogosławi! Jak my się odwdzięczymy za tyle delikatności i serca?

— Co zechce, uczynimy dla niego — odparła Jadzia.

— Ba, tylko, że on teraz nic nie zechce i o nic nie poprosi. Wymustrowałaś go doskonale. Zmarnieje z troski, a będzie milczał. Już to wy dobre jesteście! Niedarmo Cesia, twoja serdeczna przyjaciółka. Znać na niej twoją naukę.

— A jednakbyś jej na inną nie zamienił?

— Uchowaj Boże! Żebym miljon miał do wyboru. Wy bo coś dajecie na miłość. Czary!

— Właśnie, nic nie dajemy nie w porę.

— Bo nie umiecie kochać. Te ceregiele djabła warte!

— To Cesia cię nie kocha?

— No, nie mówię tego. Czasem zdaje mi się, że tak, ale to bardzo rzadko. Biedna nasza dola! Ot i Wentzel! Szukał biedy, jak na złość samemu sobie. Miał kogo wybrać!

Jadzia nic nie odrzekła. Usiadła przy kominku i, zapatrzona w głownie, walczyła z wrodzoną skrytością.

Jan obejrzał się za nią, skrzywił się i, jak zawsze gdy go trapił namysł, skubał swe jasne wąsiki, paląc w przerwach papierosa.

Nakoniec z nagłą determinacją rzucił papierosa, wstał i zatrzymał się przed siostrą.

Poczciwe jego oczy prosiły ją o szczere wyznanie.

— Co ci jest, Jadziuniu? — zaczął, — Co cię trapi, żeś tak zmizerniała? No, wesołą nigdy nie bywałaś, ale przecie inną. Czy ty myślisz, że ja nie widzę twej troski? Oj, widzę, widzę oddawna. Co ci jest?

Pochylił się nad nią i, odgarniając ciemne włosy, pocałował w czoło, potem osunął się na krzesło obok i spytał całem sercem:

— Czy ty i mnie nie ufasz? Przeciem ci rad, żebyś chciała, krew oddać. Czy ty mnie nie kochasz?

Podniosła ku niemu głębokie oczy z okropnym żalem i przygarnęła mu się do piersi, kryjąc twarz.

— Jabym cię chciała spytać o coś, Jasiu — szepnęła.

— No, to powiedz, siostrzyczko.

— Kiedy bo ty wiesz. Odpowiedz bez pytania, bo mnie tak trudno...

— To dobrze. Jeżelibym, Jadziuniu, ja, kochając Cesię, był związany z inną słowem, to honor każe mi zerwać słowo, bo inaczej będę kłamcą, oszustem i krzywoprzysiężcą. To obowiązek człowieka, przykry, lecz konieczny.

Zamilkł i ona milczała. Po chwili prawie siłą podniósł jej spuszczoną głowę i zajrzał w twarz. Była

bardzo blada, a na rzęsach jej błyszczały brylanty z łez.

— Zgadłem, Jadziu? — spytał zcicha.

Kiwnęła tylko głową.

— Czegoż ty płaczesz, dziecko? — perswadował, nagle urósłszy z uczucia na mentora — Przecie ci serce zabiło! Chwała Bogu! Zobaczysz, jak to miło kochać! Nigdyś nie kochała pewnie?

— Nigdy — szepnęła niewyraźnie — oprócz ciebie i Wacia naszego.

— Dobrze, żeś dodała, bobym pomieszał osoby. Dlaczegoś przyjęła Głębockiego bez miłości?

— Kiedy ja nie wiedziałam co to kochać.

— A teraz? No, wymówże to straszne słowo! — uśmiechnął się, odzyskując humor figlarza.

— Będzie dosyć raz je powiedzieć w życiu — szepnęła.

— Słusznie. Chociaż wątpię, czy nawet jemu wykrztusisz. No, ale to nie moja rzecz. Teraz oswobódź się od zmory Głębockiego. Wyznaj mu prawdę, nie oszukuj, a potem wszystko dobrze pójdzie. Może ci dopomóc?

— Nie, Powinnam sama odpokutować. Dodałeś mi otuchy. Dziękuję ci.

Ucałował ją serdecznie.

— A dla swata nie masz polecenia? — żartował.

— Czego się śmiejesz? — rzekła z wyrzutem.

— Bom rad. Marzyłem o tem. Teraześ dopiero kompletny twór boski, dostępna dla śmiertelników. No, przyznaj mi się przynajmniej, kiedy się to stało, to straszne słowo, dawno?

Wstała i zarumieniła się jak wiśnia.

— Nic nie powiem, boś kpiarz. Żałuję mej szczerości. Rozpaplesz po całym świecie.

— Słowo honoru ci daję, że ani pisnę, nawet przed Cesią; tylko napiszę do kogoś, by nie rozpaczał i nie sechł darmo.

— Jak mnie kochasz, to tego nie zrobisz! — zawołała żywo. — Wzywać go?... Może jeszcze się rozmyśli, zapomni; czekajmy.

— Jeśli on się rozmyśli, to ja się powieszę. Tak to łatwo was zapomnieć! Będziesz go miała, kiedy zechcesz. Cóż mam odpisać?

— Że jeśli dba o nasze braterstwo i wdzięczność, to je posiada, i że go jak swego powitamy.

Na folwarku pogasły już ognie i rozlegały się tylko przeciągłe gwizdania nocnych stróżów, gdy Jan wracał do oficyny. Pomimo późnej pory siadł przy biurku i, choć nie lubił bawić się piórem, nie mógł się wstrzymać od podzielenia się z przyjacielem triumfem:

„Mój drogi Wacławie! Stał się cud: zakwitł śnieg — pisał po swojemu, telegraficznym stylem. — Jesteś mi bratem, swatem, drużbą, a może wprędce czemś innem jeszcze. Mój ślub naznaczony na 25 maja; proszę cię, nie przyjedź zapóźno. Jakeśmy ci oboje wdzięczni za usługę zmarłemu, to ci faktami dowiedziem. Czego żądasz, otrzymasz."

List poszedł nazajutrz daleko na zachód, niosąc przeżytemu paniczowi większe rozradowanie, niż hołdy pół świata. Zdawało mu się, gdy go czytał, że widzi nad sobą ciemne oczy Polki, mówiące mu bez słów: „jesteś dobrym, dziękuję ci...."

A tymczasem w Marjampolu Jadzia była blada i rozdenerwowana, wzdrygała się na każdy ruch i turkot, przewidując wizytę Głębockiego. Cierpiała jej dusza

na myśl o tem przejściu i, niedość na tem, czuła się w obowiązku wtajemniczenia w swe postanowienie pani Tekli. I to także nie mogło się odbyć bez burzy. Staruszka dreptała po gospodarstwie i była tak zajęta i poirytowana jakąś niedokładnością, że straszno było zbliżyć się do niej. Wyglądała jak przeładowana maszyna elektryczna. Pod wieczór, gdy minęła godzina przyjazdu konkurenta, Jadzi spadł jeden ciężar z duszy. — skupiła wszystkie siły do rozprawy z panią Teklą.

— Czy będziemy czytać, babciu? — spytała.

— Poczekaj, mam z tobą do pogadania. Chodźno, siądź bliżej. Ot tak! Cóż ty sobie myślisz z Głębockim?

Jadzia oniemiała z podziwu. Pani Tekla miewała chyba jasnowidzenia.

— Dlaczego, babciu? — spytała.

— No, tak. Trzymasz go przy sobie, zachęcasz, tolerujesz, gadacie całemi godzinami... Do czegóż to podobne! Czy ja mu mam dać odprawę nareszcie?

— To babcia nic nie ma przeciw zerwaniu słowa?

— Ja? Ja? Ty od pewnego czasu zupełnie pamięć straciłaś. Przecie jeszcze w karnawale mówiłam, że ciebie za warjata nie oddam. Nie na tom cię chowała. Czegóż czekasz? Powiedziałam: nie, i nie pozwolę. Nawet nie proś darmo. Jutro sama powiem Głębockiemu, żeby sobie szedł gdzieindziej. Chyba się wykradniesz z nim!

— Ja! — zaśmiała się panienka mimowoli — Alboż mnie źle w Marjampolu? Gotowam na wieki zostać.

— At, kto tam zbada twoje amory! Ale co Głębockiego, to sobie wyperswaduj. To warjat i basta! Niech tu nie jeździ, bo może się stać nieszczęście.

Ja nie rozumiem twojej odwagi. Żebyś przeczytała w podręczniku lekarskim... ale zresztą to nie dla ciebie te szczegóły. Wolę twój zawód i strapienie teraz, niż potem. Boże, Boże, do czego to świat dochodzi. Niech mi kto wytłómaczy twój gust do furjata. To istna anomalja. Z tego się trzeba spowiadać.

— Skądże babcia wnosi, że go kocham?...

— Jakto? Co to? Nie kochasz i dopiero mi mówisz? Co ci jest? Opamiętaj się! Rok obcujesz z warjatem! Myślałem, że za nim szalejesz. Awantura!

— Istotnie, źle zrobiłam, babciu. Jutro zwrócę mu słowo.

— Jezusie, Marjo! Gotowy atak! Zadusi cię! Doigrałaś się biedy! Co to będzie! Niech ja się lepiej z nim rozmówię.

— Proszę się nie bać. Wszystko minie spokojnie. Przepraszam, babciu, za kłopot i niepokój. Myślałam...

— Że on przytomny... a teraz widzisz jasno rzeczy. Tak, tak, starszych trzeba słuchać. Twoja skrytość to coś okropnego! Niechby choć Jaś był jutro przy waszej rozmowie.

— Zbyteczne; załatwię to sama. Dziękuję!

Pochyliła się do ręki staruszki, a ta jej główkę przycisnęła do piersi i pocałowała jasne czoło.

Nigdy Jadzia czułą nie była z nikim. Teraz ogarnęło ją jakieś żałosne pragnienie pieszczot i słodyczy. Chciało się jej w ciszy przebyć lata, ot tak, przytulonej do pani Tekli, i marzyć. Kochanie rozrywało jej serce.

Staruszka, trochę zdziwiona i bardzo rada, gładziła jej ciemne włosy i milczała. Któżby mógł gderać w takiej chwili? A może przyszło na myśl pani Tekli dawne wspomnienie takiej samej główki dziewczęcej, co przed trzydziestu laty garnęła się do matczynego

serca i skarżyła się żałośnie, że jej rzucić trzeba będzie wszystko swoje i iść daleko? I poszła. Kochanie przemogło żal i trwogę przed obczyzną, jak samobójcę ciągnie wir rzeczny — i poszła! Oczy matki nie zobaczyły jej więcej, obczyzna pożarła wielkopolski bławatek, tęsknota, strawiła wątłą roślinkę: oczy matki płakały lata, aż wpadły, straciły blask, podkrążyły się ciemno. Bóg jeden widział te łzy i Bóg o nich pamiętał.

Teraz ta Jadzia inną była od tamtej. Nie skarżyła się, nie mówiła nic, a jednak zdało się staruszce, że dawne czasy wróciły — i mimowoli zaczęła mówić, jak do tamtej, o cudzym człowieku.

— Słyszałam, że do Strugi Wacław przysłał kilkanaście trakenów i stado holenderek. Pisał mi, że i w swoich dobrach zmienia rząd. Okradali go haniebnie. Chwała Bogu, może się obejrzy i ustatkuje. Warto, żeby i o Strugę się dowiedział. Pańskie oko konia tuczy!

— Babcia się już za nim stęskniła? — szepnęła Jadzia.

— Może i tak! — westchnęła pani Tekla. — Kto wie, co się z nim dzieje. Może chory. Zły sen dziś miałam.

Ręce Jadzi zacisnęły się nerwowo.

— Cóż się babci śniło? — spytała dziwnym głosem.

— Ja, dziecko, zawsze z umarłymi gadam. Moja Jadwinia przychodzi do mnie często. Dawniej stawała nade mną blada i spłakana, mówiła, że jej ciężko leżeć w obcej ziemi, że jej zimno i ciemno. Czasem składała ręce i prosiła: „Mamo, pamiętajcie o moim sierocie.“ A gdy on do nas przyjechał, to po raz pierwszy uśmie-

chała się do mnie i gdzieś zdaleka posyłała od ust pocałunki. A dziś we dwoje przyszli z ojcem i wołali: „pilnuj go, strzeż!“ A potem Jadwinia nogi moje objęła i prosiła: „Mamo, czego on smutny, ty wiesz. A jak on smutny, to mi w grobie jeszcze ciężej i dusza spokoju nie ma. Mamo, nie dajcie zmarnieć memu sierocie...“ Przebudziłam się i jeszcze słyszałam: „Matusiu, mój sierota smutny!“ Strach mnie zdjął. Chciałabym go zobaczyć zdrowego. Czegóż mu smucić się...

— Niechby przyjechał — szepnęła Jadzia — ale pewnie do ślubu Jasia nie zobaczymy go. Pracuje!

— Ach, ten Jaś! — wykrzyknęła staruszka, odzyskując werwę na wspomnienie swej obecnej zmory, ale nie gderała dalej, tylko się zwróciła do panienki: — Zatem jutro, Jadzieczko, kończ z Głębockim. Niech go moje oczy nie widzą. Nie uwierzysz, jak on mi niemiły. Zdaje mi się zawsze, że on nam przyniesie jakieś nieszczęście.

Jadzia wzdrygnęła się całem ciałem. I ona lękała się okropnie. Między jej marzeniem stał on jak czarne widmo. Dlatego może zwlekała zerwanie, — bała się jego zemsty i wybuchu, ale nie dla siebie...

Nazajutrz przyjechał. Dzień był posępny, na dworze szalała marcowa śnieżna zawierucha.

Zostali sami w salonie. Jego bure, dzikie oczy objęły z ponurą namiętnością szczupłą postać dzieweczki. Takiem wejrzeniem mierzy tygrys pogromcę. Jadzia istotnie przez ostatnie tygodnie zmieniła sie bardzo. Zeszczuplała, zbladła; w oczach, zamiast dawnego chłodu, leżała smętna zaduma, na dumne usta wybiegał niekiedy łagodny uśmiech. Urok jej spotężniał jeszcze — ozłociło go uczucie.

Poszła pierwsza śmiało na ogień.

— Panie Adamie — zaczęła — mam pana prosić o coś.

— Co pani rozkaże?

— Niech pan nie zachowa do mnie urazy i daruje to, co powiem.

Głębocki cofnął się o krok, zzieleniał, usta mu drżały.

— Nie potrzebuje pani ani prosić, ani przepraszać. Chce pani, bym zwrócił słowo i pierścionek...

Niesłychaną siłą woli hamował się. Nawet pani Tekla niby mu nie miała do zarzucenia. Imponował swą olbrzymią potęgą charakteru.

Powoli zdjął z palca pierścionek, położył na stole.

— To ja dziękuję pani za szczerość. Spodziewałem się tego oddawna. Trzeba było uprzedzić. Większy honor zrywać samemu. Byłem podły, kochałem. Ha, trudno! Gdzie mnie mierzyć się o dziewczynę z tym pruskim szpiegiem! Na co innego może mu sprostam! Czekajmy!

— Zapomnijmy lepiej — odparła Jadzia.

— Ja nie zapominam!

— To zemścij się pan na mnie. Przecież ja zawiniłam. Pocóż ma cierpieć niewinny za to, że ja pana nie kocham tyle by zostać żoną? Gdzież sprawiedliwość, panie Głębocki?

— Sprawiedliwość tam, gdzie ból! — zamruczał.

— Jam panu zadała ból. Gotowam znosić pana zemstę.

— Ja też i na pani się zemszczę. A teraz żegnam. Załatwiliśmy interes. Zostały rachunki, które podsumujemy później. Życzę pani pomyślności.

Wstał, skłonił się przed nią. Podała mu pierścionek, potem rękę.

Podniósł oczy, zawahał się, nareszcie wziął rączkę w obie dłonie i poniósł do ust. Jakby jęk wydzierał mu się z gardła.

— Pani niewinna, ja wiem — mówił niewyraźnie — ale ja panią tak strasznie kochałem. Nikogo innego, nigdy, nigdy! Żeby lepiej wziął moje życie, nie bolałoby, nie, darowałbym, ale to gorzej śmierci, gorzej. Tego nie daruję! Jemu koniec, albo mnie! Nie daruję, nie mogę!

Zęby mu się zacisnęły na tym wyrazie. Więcej nie mógł wymówić. Jak pijany, zataczając się, przeszedł pokój i zniknął. Jadzia osunęła się na fotel, wyczerpana ostatecznie. Ukryła twarz w rękach i zapłakała. Tak ją zastała pani Tekla, która czatowała w wielkiej trwodze na przebieg awantury. Co chwila gotowa była biec z pomocą. Gdy bryczka wytoczyła się za bramę, odetchnęła biedna.

Wsunęła głowę przeze drzwi.

— A co? — spytała. — Już skończone! Chwała Bogu! Co to? Płaczesz? No, i proszę ja kogo! Mieć taki szkaradny gust! Płakać po tym brzydalu! Wstydź się, Jadziu! Czy ty oczu nie masz? Fe!

W tej chwili przeciwległe drzwi rozwarły się cicho. W szparze ukazała się twarz Jasia.

— Niema furjata? — zagadnął. — Nie zadusił cię? No, to i dobrze.

— Aha, dobrze! — rzekła frasobliwie pani Tekla. — Tyś rad ze wszystkiego. A Jadzia płacze po nim.

Jan wszedł i zaśmiał się.

— Po nim! Et! Dziewczynie za mąż pora, więc spazmuje. Słuchaj Jadziu, powiem ci nowinę. Stefan Żdżarski chce się o ciebie starać.

— Niech mi dadzą święty spokój! — zamruczała.

— A czemuż? Niech się stara — pochwyciła pani Tekla — ale może i nie, nie, nie. Powiedz, że nie! Nie lubię końskich handlarzy!

— Pani nikogo nie lubi, oprócz Wentzla — żartował Jan. — Ale, ale! Był dziś u mnie rządca ze Strugi z okropnym lamentem.

— Może jakie nieszczęście z Waciem! — krzyknęła staruszka, zapominając wobec tego o Głębockim, Żdżarskim i całym świecie.

— Istotnie, olbrzymie! Wentzel przysłał z Prus wystawowe egzemplarze koni i bydła, a do obsługi tej arystokracji masztalerza Anglika i dwóch Szwajcarów pasterzy. W Strudze wynikła z tego wieża Babel. Nikt się nie może porozumieć. Nasze Mazury oszczekują jak wilków, przybyszy. Anglik każe sobie rządcy buty czyścić, dopomina się rodowitego burgunda i krwawych befsztyków. Szwajcary chcą kaloryferów po oborach i świeżej lucerny na karm. Rumaki, potrzebują do życia jęczmiennej kaszy i pasztetów. Słowem, rewolucja! Biedny rządca przyjechał po ratunek do pani. Może się przejedziemy na miejsce?

— A jakże, koniecznie! Ta hałastra zgubi biedaka. Potrzebne te Angliki i Szwajcary! Przepędzić ich! Zaraz, zaraz, każ zaprzęgać! Pojedziemy.

— Taka zadymka — ozwała się Jadzia — może jutro?

— Nie, nie, zaraz! Nie można odkładać! Idę się ubierać!

Podreptała w głąb domu.

Jan ucałował siostrę i siadł obok niej.

— Cóż Głębocki — zagadnął.

— Grozi zemstą.

— Tobie?

— Nie, hrabiemu. Wolałabym, żeby nie przyjeżdżał na twój ślub.

— Także koncept! Żeby cały pułk Głębockich, to go nie powstrzyma, a ja — pewnie nie napiszę. Ciekawym, coby z ciebie zostało, żeby go rok nie było. Wyschłabyś jak rodzynek. Jedźmy jutro razem do Żdżarskich. Cesia bardzo tęskni za tobą. Rozerwiesz się.

Tu pani Tekla ukazała się w progu, odziana do drogi. Jan zerwał się jak oparzony i pobiegł po konie, nie czekając, aż go wygderze.

— Mazgaju! — posłyszał tylko.

Wieczorem nie było już w Strudze innoplemieńców. Marjampolska dziedziczka przepędziła ich gdzie pieprz rośnie. Mazury objęli w swe ręce pyszne trakeny i bydło. Rządca odetchnął.

Pani Tekla wróciła dumna, jak Napoleon po Austerlitz. Odtąd rządca przyjeżdżał do niej co tydzień z raportem. Objęła Strugę w swą władzę, uważała ją za jeden ze swych folwarków.

Była mocno z tego dumna i zadowolona.

A tymczasem w pustym dworze Głębockiego myślano także o Wentzlu. Codzień rano pan Adam wydobywał ze szkatułki parę pistoletów, nabijał je powoli, prawidłowo, rozkoszował się szelestem prochu w lufie i dudnieniem kulki. Potem raz po raz, nigdy nie chybiając, wybijał temi kulami treflowe asy na trzydzieści kroków.

Była to jedyna jego przyjemność i zatrudnienie. Gospodarstwo zaniedbał, nawet ukochanych koni nie odwiedzał. Czasem i w nocy stary sługa, mieszkający

obok niego, słyszał huk wystrzałów i niespokojne kroki nieszczęśliwego. Gdy wiosna nadeszła, bił z pistoletu skowronki i jaskółki — doszedł do niesłychanej wprawy. prawie nie potrzebował mierzyć. Broń słuchała jego myśli, a on słuchał swego bólu i rozpaczy — i czekał...

XII.

Minęła Wielkanoc. W Wielkopolsce barwno było i wesoło. Łany zieleniały młodem zbożem, po ogrodach kwitły bzy masami. Była to najpiękniejsza chwila roku, odurzająca czarem wiosny. Słowiki śpiewały nocami po gajach, a o zmroku po starych, omszonych strzechach klekotały donośnie bociany, gwarząc o zimowych leżach nad Nilem.

I tam, w Egipcie, nie znano chyba rozkoszniejszych dni, cieplejszych nocy i tak cudnej woni wiosny, ścielącej się kłębami po parowach.

Piętnastego maja, na św. Zofję, czworo jeźdźców wracało wolno, śpiewając, to śmiejąc się naprzemiany, drogą wysadzaną czereśniami i jarzębiną, w kierunku od Olszanki do Marjampola. Było to dobrze sobie znajome, młode i wesołe towarzystwo — Chrząstkowscy i Żdżarscy. Cesia, najżywsza z grona, jechała pierwsza, na białym jak śnieg koniku. Ona prowadziła prym w chórze, ona wywoływała najserdeczniejsze wybuchy śmiechu. Baryton Jasia i bas Stefana wtórowały jej ochoczo, a niekiedy łączył się z niemi głos Jadzi, metaliczny, czysty, najsilniejszy i najprawidłowszy. Śpiewali „Pieśń wieczorną" Moniuszki.

Wieczór był na niebie złoty i szkarłatny, barwiąc gałęzie drzew, zielone trawy i białe chmurki, rozrzucone

zrzadka po szafirze. W powietrzu cisza niezamącona i balsamiczny zapach.

Stefan Żdżarski zdjął czapkę i uśmiechał się do pysznych wschodów żyta; Jan wlepił oczy w Cesię — zajmował jego całą uwagę figlarny wdzięk na jej twarzyczce; Jadzia hamowała swą ognistą arabską klacz, znudzoną wolnym chodem. Cesia śpiewała, uśmiechając się do projektowanych figlów.

Całe grono wracało z Olszanki, gdzie Jan chwalił się ulepszeniami i porządkiem, prezentując dzieło siostry i pani Tekli za własne.

Nie przyznał się, że nawet nie wiedział, kiedy to zrobiono, ani co to kosztowało. Był to prezent staruszki dla wychowańca.

Przegląd trwał kilka godzin, ale z powrotem młodzi nie śpieszyli się wcale. Było im dobrze z sobą; nie chciało się kończyć rozkosznej przejażdżki.

Gdy śpiew się skończył, Jan wyrwany z obserwacji nad narzeczoną, westchnął:

— Żeby to już prędzej posłyszeć *Veni Creator!*

— Wstydź się — odparła Jadzia. — Nie okazuj takiego utęsknienia, bo Cesia gotowa skorzystać i wziąć cię pod pantofel.

— Oddawna jestem na to przygotowany. Szczerość nie grzech. Ja nie mam, szczęściem, twojej natury, co nigdy nie okaże, co myśli.

— Jakto, szczęściem? — podchwyciła Cesia.

— A no, pewnie. Dalekobym z panią na tej drodze zajechał! Wysechłbym z miłości, i basta!

— Wcale nie. Myśli pan, że ja lubię ciągłe oświadczyny? Nie znoszę! Mój ideał to człowiek spokojny, chłodny, dyskretny...

— Możem niedyskretny? — wtrącił z uśmiechem.

Dziewczyna pokraśniała jak malina i poskoczyła naprzód. Musiała mieć na sumieniu karygodnego buziaka, marzenie narzeczonego.

— Pan jesteś dokuczliwy, nieznośny, samochwał, plotkarz i... nie cierpię pana! Mój ideał to hrabia Wentzel. Ten pewnie nie dostał nigdy harbuza...

— Ojej! Żeby mnie tyle tysięcy, ile on zjadł tego fruktu! — parsknął śmiechem Jan.

— Musiał trafić na osobę ze złym gustem.

— A nieszczególnym istotnie.

— To pan ją zna? Kto to taki? — zagadnęła ciekawie.

— A co mi pani da, jak powiem?

— Wcale nic. Niema za co. Hrabia sam mi się przyzna. Jakbym go widziała. Uśmiechnie się, pogładzi brodę... bardzo lubię mężczyzn z brodą... i powie, jak to było. On wcale nie fanfaron, jak inni.

— Pewnie, pewnie! Z harbuza niema co fanfaronować. Ale czemu go dotąd niema? Za pięć dni wesele.

— Można odłożyć — ozwała się Jadzia, mrugając Cesi.

— Jakto odłożyć? Naco? — zaperzył się Jan. — Znajdziemy innego drużbę.

— Ale, naturalnie, że odłożymy — potwierdziła figlarka. — Wyprawa nie gotowa.

— Któżby tam czekał dla tych haftów i gałganów! Skończą potem.

— Bardzo proszę nie odzywać się tak lekko o moich haftach. Właśnie dla nich będziemy czekali. Zresztą ja hrabiemu dałam słowo, że bez niego nie odprawimy tej uroczystości.

— Niech go licho weźmie! Od tygodnia nic nie robię, tylko wysyłam do niego listy i depesze. Zginął bez wieści. Kto go wie, gdzie siedzi. Ma tych dóbr tysiące po całem cesarstwie. Uderzył w zapalczywość do pracy. Dam ja mu za mitręgę! Ale co do ślubu, to nie odłożę! Niech pani nie żartuje! To nie ma sensu!

— Czy widziałeś, Jasiu, tego sławnego wyścigowca w Strudze? — zagadnął Stefan, ożywiając się nagle.

— Widziałem, a jakże! Pyszny koń, „Held" się nazywa; Pani Tekla, w wielkim gniewie, przechrzciła go na „Bohatera"! Nikomu nie daje się dosiąść, tylko podobno samemu panu. Ach, ten pan! Narobi on mi biedy!

— Nie narobi, uspokój się — rzekła spokojnie Jadzia. — Widzisz, tam na lewo...

Spojrzeli wszyscy. Bez drogi, polami, przez płoty i rowy, sadził ku nim jeździec.

Koń szedł jak wicher, z wyciągniętą szyją i rozdętemi prychami, biała gwiazda świeciła mu na czole, nad jego głową ukazywała się czasami dżokejska czapka jeźdźca, schylonego do siodła. Nie wiadomo, jakim cudem poznała go Jadzia, bo zrazu czerniał tylko na łunie zachodu, jakby z niej wyszedł, potem rósł, rósł, stawał się coraz wyraźniejszy, aż, dopadłszy bliżej o jakie sto kroków, uchylił czapki i dał koniowi ostrogę. Dwa rowy oddzielały gościniec od pola, — rumak skupił się, stanął jak świeca, dał szalony skok. Kopyta mignęły w powietrzu; przesadził, ściągnięty żelazną dłonią, zarył się w miejscu o krok obok towarzystwa i zarżał wesoło, jakby z powitaniem.

Cały gniew Jasia opadł natychmiast.

— Wentzel! Wentzel! Nareszcie jesteś! Jak się masz! Witamy! Witamy!

Uścisnęli się z konia jak bracia.

— Przecież się nie spóźniłem! — zawołał, podając rękę Cesi. — Jestem w czas i w porę na usługi pani — zwrócił się do Jadzi.

Chwilę szafirowe jego oczy zapłonęły szalonem szczęściem i weselem, po licu jak smuga przeszedł rumieniec. Opamiętał się całą siłą, by nie paść jej do nóg, i tylko wyciągnął rękę, pewny, że na uścisk zasłużył. Powitali się w milczeniu. Minutę to trwało, a już Jaś wpadł na swoją ofiarę z tysiącem pytań, a Stefan aż siadł z konia i oglądał, cmokając, „Bohatera".

— Nawet nie spotniał po tej szalonej jeździe! Co za nogi! Jaka pierś i łopatki! To cacko, nie koń!

— Czemuś nie odpisywał na listy? To trzeba nie mieć sumienia! — krzyczał Jaś.

— Chorowałem — odparł. — Złamałem rozkaz doktorski i uciekłem. Kazali mi jechać do Włoch, alem wolał tutaj. Jeżeli tutejsze powietrze zdrowia mi nie da, to żadne! Babka zdrowa?

— Zdrowa, ale ty istotnie nietęgo wyglądasz. Coś się zmieniłeś... i bez brody? Panna Celina przestanie się tobą zachwycać.

Istotnie Wentzel zmienił się ogromnie. Nie wypiękniał, ale nabrał hartu, czegoś stalszego w rysach i postawie. Zniknął cyniczny grymas i wydelikacenie salonowca, był opalony od wiatru i słońca, a oczy mu się śmiały wewnętrznem zadowoleniem. Widocznie dużo był na powietrzu i w pracy, mówił po polsku prawie dobrze, a z całej jego istoty wydzierała się radość,

pokój i poczucie, że on tu teraz nie obcy, nie wróg — ale przyjaciel, brat, witany całem sercem.

Zwrócił się do Stefana.

— Dobra szkapa — rzekł — tylko mi ją haniebnie zaniedbano w Strudze. Babka wypędziła Anglika, a tutejsi niezdatni. Cóż robić? Na ten wyrok niema apelacji. Cierp, „Bohaterze", do jesieni. Zabiorę go potem do Szagern.

— I tam pisałem — wtrącił Jan — i do panny Doroty nawet!

— Ta, jak zwykle, mało wie o moich losach. Wyjechała do Dülmen.

— I tam pisałem.

— Pański „Bohater" pobił „Normę" Głębockiego — mówił swoje Stefan. — Dawno marzymy o wyścigu, ale dotąd nie było dla niej współzawodnika.

— Może spróbować?

Jaś z Cesią ruszyli naprzód. Woleli swe towarzystwo nad rzadkiego gościa.

— A no, spróbujmy teraz! — zapalił się Żdżarski.

— I pani? — spytał Wentzel Jadzi.

— I owszem. Moja klacz nie lubi stępa.

Puścili cugle. Minęli narzeczonych, którzy, jak zwykle, sprzeczali się o jakąś fraszkę, i jechali wiorstę obok siebie.

Nagle z przydrożnego rowu porwał się szarak. Wpadł pod nogi końskie, wywrócił koziołka i jak szalony jął zmykać w zboże. Siwek Żdżarskiego, snadź zwykły kolega hartów, stulił uszy, zachrapał i rzucił się naoślep za lekkonogą zwierzyną. Darmo się z nim szamotał Stefan. Koń wziął na kieł i gnał przez zagony, unosząc jeźdźca. Krzyk i klątwy Żdżarskiego podniecały go jeszcze bardziej.

Pozostali obejrzeli się za towarzyszem, roześmieli się i ruszyli dalej. Konie szły głowa przy głowie, parskając wesoło, jakby wiedziały, że niosą dwoje szczęśliwych, którym serca biły młotem, choć milczały usta.

Wjechali w brzeźniak, skąd do Marjampola była zaledwie wiorsta.

— Babka się tak ucieszy z pana — rzekła Jadzia.

Uśmiechnął się.

— Kochana babka! Żeby to ktoś jeszcze się ucieszył ze mnie, toby mi dosyć było szczęścia na całe życie.

— Jeżeli to szczęście, to pan je posiada — rzekła niewyraźnie.

— Dziękuję pani!

— Zaco? Że pan mi zrobił najwyższą przyjemność, wypełnił moje marzenie? To ja panu tego nigdy nie zapomnę. Brata mego kochałam nadewszystko. Był mi pierwowzorem, mistrzem, zastępował nam ojca. Człowieka takiego hartu i nieskalanych zasad trudno znaleźć. Gdy go wzięto do wojska, płakaliśmy jak skazańca, a on, biedny, żegnał nas, prosząc o modły. Nie dla niego była ta służba. Po manifeście wojennym nie miał już czasu odwiedzić nas, ruszyły pierwsze pułki polskie, wszędzie pierwsze. Parę listów odebraliśmy smutnych. W dzienniku w liście zabitych znaleźliśmy biedaka... Wielbiono odwagę i zapał. Po trupie jego szli Niemcy do zwycięstwa, a jemu grali, grali, jak na urągowisko... Biedny rozbitek!

Zamilkła. Głos jej się łamał w rzewności, której Wentzel nie znał w jej hardej duszy.

— Pan ma w duszy rzadką delikatność i snadź pan poznał nas dobrze, gdy odgadł to, co nam najciężej dolegało: ten dół wspólny na obczyźnie. Nie

wyrażę, jakeśmy panu wdzięczni. Po weselu Jasia zabierzemy zwłoki do Braniszcza na nasz cmentarz. Będzie to dla mnie szczęśliwy dzień i wielkie zadowolenie. Dziękuję raz jeszcze panu.

Wyciągnęła doń rączkę i po raz pierwszy uścisnęła jego prawicę.

— Niesłusznie przyjmuję podziękowania — odparł, wpatrując się w nią, jakby się tym widokiem nie mógł nacieszyć. — Jakim mnie pani zrobiła, takim jest. Muszę wiele napędzić, i wiele znieść, i wiele przepracować jeszcze; ledwie zacząłem żyć.

— Kto tak zaczyna, ten nie ustanie. Pracę znać na panu i myśl głębszą. Zmiana ogromna.

— Nie praca mnie zmęczyła — rzekł zcicha. — Wolałbym być parobkiem w Strudze lub Marjampolu, jak panować w Niemczech. Nieprędko skażę siebie raz drugi na podobne wygnanie. Na wyjezdnem opadli mnie wyborcy w Dülmen, żądając, bym im posłował w sejmie jesienią. Uciekłem.

— Dlaczego? Jest to dowód wielkiego zaufania i uznania pana charakteru, którego nie można lekceważyć. Przed rokiem nie wybranoby pana.

— Uchowaj Boże! Z moją reputacją! Filistry woleliby djabła samego. Nazywali mnie: *der tolle Graf!*

— Odmawiać nie wypada — dodała.

— Nie mam dość swobodnej myśli teraz — westchnął. — Żeby nawet Bismarck był w mojej skórze, nie dałby sobie rady, a tem mniej poselskim obowiązkom.

— Do jesieni daleko. Może pan uporządkuje swoje sprawy. Zresztą na troski najlepsza praca.

— Na troski najlepsza pociecha — poprawił z uśmiechem — a tej się nie spodziewam.

Jadzia obejrzała się poza siebie — w oddali majaczyły sylwetki Jana i Cesi, Stefan zginął. Wyjeżdżali już z brzeźniaka, o staje czerniał Marjampol.

— Tych dwojga nie doczekamy się nigdy — rzekła. — Teraz, gdy już mają drużbę, może nie odłożą ślubu.

— Pani daruje niedyskrecję zapytania. A pani ślub kiedy? Zapewne rychło?

— To zależy od mego przyszłego męża — uśmiechnęła się.

Spuścił głowę i, kręcąc wąsy, jechał w milczeniu. Jan miał słuszność. Jadzia wymustrowała go doskonale. Ani prosił, ani żądał, ani wspomniał nawet o uczuciu, co przepełniało jego istotę.

W wysadzie puścił cugle koniom. Zmrok zapadał zupełny, ale pomimo cieniu poznała, kto to jechał — pani Tekla, wracająca z obory od udoju.

— Wacio! Wacio! — rozległo się serdecznie, radośnie, z wybuchem długo tajonej czułości.

Hrabia zeskoczył z konia i pobiegł do niej, jak syn, dziecko. Szalone wesele ogarnęło go — nikt go tak nie witał. Porwał staruszkę z ziemi, podniósł i ściskał i całował, witając najczulszemi wyrazy. A ona rękami objęła go za głowę, zapominając, że ją ten warjat trzyma w powietrzu jak małą dziewczynkę.

Opamiętała się po chwili i zaczęła krzyczeć:

— Co ty wyrabiasz! Ależ puść mnie! Zadusisz starą... do czego to podobne! Ajej, co ten koń wyprawia! Moje róże sztamowe! Mój gazon! Moje narcyzy!

Bohater istotnie gospodarzył po tatarsku między klombami róż: grzebał ziemię, skakał, obrywał swawoląc kwiaty, łamał gałęzie. Pani Tekla załamała ręce. Hrabia poskoczył na ratunek.

— *Held, komm her, gleich!* — zawołał.

— Co ty mi tu zaprowadzasz szwabską komenderówkę!

— Ratując babci róże. Inaczej on nie rozumie.

— Fe! Szkaradne konisko! No, no, już wołaj jak chcesz, byle mi do reszty wszystkiego nie potratował. A, że to i szkapa pruska nie ma żadnej delikatności! Psuć, niszczyć, łamać! Walenty pomóż panu hrabiemu!

— *Held!* — powtórzył donioślej Wentzel.

Koń się obejrzał, zarżał i poszedł do ręki pana. Gdy go jednak wziąć chcieli stajenni, zaczął ich włóczyć po ziemi, podnosić w górę — nie dali mu rady.

— Jezus, Marjo! Pozabija mi ludzi! — krzyczała staruszka. — Waciu, Waciu!

Ale szanowny Wacio nie patrzył w tę stronę. Pomagał zsiąść pannie Jadwidze u ganku. Podał jej rękę: chwilę oparła się na nim, że aż czuł bicie jej serca. Patrzyli na siebie przejmująco. Jedną ręką trzymając cugle, drugą podniósł jej rączki do ust.

— Ukochana! — wyszeptał zdławionym głosem.

Wysunęła mu rękę, uchyliła się i nie patrzyła już w oczy.

— Waciu, Waciu! — powtarzała coraz gniewniej pani Tekla.

— Wołają pana — szepnęła Jadzia, zeskakując na ziemię.

Wzdychając, ruszył, prowadząc klacz panienki.

— *Held! Ruhig!* — zakomenderował i gwizdnął.

Arab wyrwał się z rąk masztalerzy i poszedł za panem spokojny jak dziecko, a pani Tekla, uspokojona, dysponowała dla gościa posiłek, pędziła służbę, szukała reszty towarzystwa.

— Gdzież zostawiłeś Jasia z Cesią? — pytała roztargnionej Jadzi.

— Na drodze, zaraz przyjdą.

— Aha, zaraz! Znam to zaraz! Będą się błąkać do północy. A gdzież złapałaś Wacława?

— Także na drodze.

— To jakaś szczególna droga! Co ty robisz! Kluczyki wrzuciła do imbryczka... Skończenie świata dzisiaj z tą młodzieżą! Idź-no, przebierz się i odpocznij! Może ci się Żdżarski oświadczył, żeś taka osowiała?

— Pana Żdżarskiego koń gdzieś nosi. Nie miał czasu na oświadczyny, na drodze nam zginął.

— A wszystko na drodze! Cóż Wacław ci mówił?

— Mówił, że koń schudł w Strudze.

— Nie wiedzieć co! Chudy! A róże to z głodu połamał może? Taki zwierz! A nie mówił ci, czy długo zabawi? Może się zaręczył? Czemu nie pisał?

— Chorował podobno.

— Chorował! A co! Mój sen! A na co był chory?

— Tego nie byłam ciekawa. Powie sam babci, bo oto idzie.

Rzeczywiście hrabia ukazał się we drzwiach.

— Chorowałeś? Co ci było? Pewnie hulałeś ze Szwabami. Pokaż się na światło! Phi, phi! Jaki opalony! Aleś naprawdę zmizerniał! Pewnie cię nikt nie doglądał.

— Ale babcia zdrowa i dobrze wygląda. Ach, przecież wróciłem jakoś do Marjampola. Lżej tu oddychać. Umierałem z tęsknoty za wami!

Staruszka popatrzała na niego z uśmiechem. Odgarnęła mu włosy i pocałowała go w czoło. Z twarzy wnuka patrzyły na nią ciemno-szafirowe, głębokie oczy jedynaczki. Teraz, gdy ogolił brodę, podobieństwo było jeszcze więcej uderzające.

— I ciebie mi brakło — wyznała nareszcie. — Może już zostaniesz dłużej teraz. Cóż tam w twoich dobrach słychać?

— Trochę porządniej, z łaski nauk babci. Zmieniłem cały zarząd; tonąłem w rachunkach i sprawozdaniach, ledwiem wybrnął. Ciężko próżniakowi pojąć pracę. Tylko w Strudze porządnie. No, ale teraz, jeśli babcia zechce ściągnąć egzamin, wiem, ile obrotu, obszaru, dochodu i kosztu mam w swem posiadaniu. Powiem nawet na ile mnie okradano corocznie.

— Zuch z ciebie! Może się ustatkujesz kiedy. Możeś się zakochał, broń Boże?

— Zakochany byłem, jestem i będę! — odparł, patrząc na wchodzącą Jadzię. — To mój stan normalny, chroniczna choroba.

— A to dopiero bieda z tą miłością! Popatrz na Jasia, to się wyleczysz. Idjota zrobił się z chłopca. Ani do tańca, ani do różańca. Nos mu trzeba ucierać. A Jadzia! Myślałby kto, że lepsza! — machnęła ręką.

Wentzel podniósł głowę. Panienka niecierpliwie zmarszczyła brwi, ale się nie broniła. Słuchała swej krytyki w milczeniu, wyglądając przez otwarte okno na dziedziniec.

— Ta zima dała mi się we znaki — opowiadała staruszka, krzątając się około herbaty. — Oboje moi pomocnicy pofiksowali i basta. Jasia trzeba było karmić gwałtem, bo i o temby zapomniał; a Jadzia, jakem kazała zerwać z tym warjatem, uderzyła w płacz i spazmy. Było kogo żałować! Ledwiem na niej wymogła zwrócenie słowa. Od tej pory osowiała i ona. I czego? Ledwie Głębocki wyjechał, zjawiło się trzech konkurentów. To dopiero upodobanie do furjata!

Hrabia słuchał, oszołomiony tą niespodzianą wieścią. Zdało mu się, że to nie babka, ale chór aniołów śpiewa mu hymn zbawienia. Obejrzał się i podszedł do okna.

— Jasia długo nie widać — zauważył, opierając się o uszak naprzeciw panienki.

Tego tylko trzeba było pani Tekli. Zaczęła wyliczać usterki zakochanego, upajając się melodją własnego gderania. W przerwach dawała rozkazy przygłuchemu Walentemu.

We framudze okna nikt jej nie słuchał. Kłębami wdzierała się upajająca woń bzów i śpiew słowików.

Mówili zcicha, niewiele co.

— I pani mi tego nie powiedziała! — skarżył się Wentzel z wyrzutem. — A jam ten wyrok na siebie nosił tyle miesięcy i tak rozpaczał! I pani płakała po tym człowieku! Płakała!

— Babka ma bardzo bujną wyobraźnię — odparła, ruszając brwiami. — Co prawda, podobne przejścia nie należą do najprzyjemniejszych, szczególniej z takim człowiekiem. Czy wie pan, co on teraz robi? Po całych dniach strzela z pistoletu. Podobno, że niklowe pieniążki rozbija kulą w powietrzu.

— Więc cóż?

— Nic. Tylko w serce ludzkie łatwiej trafić, niż w rzucony pieniądz.

Wymówiła to chłodno, napozór zupełnie obojętnie, i dalej wyglądała w cienie wieczoru, jakby ją tylko zajmował powrót Jasia.

— A jakby i zabił kogo w pojedynku, to co? — zaczął po przerwie Wentzel ponuro, sądząc, że ona się lituje nad Głębockim. — Odsiedzi pół roku w fortecy i wróci.

— Ale zabity nie wróci! — zamruczała.

— Zabity może będzie szczęśliwszy.

— Jeśli nikogo po sobie nie zostawi, pewnie! — odparła.

— Pocieszą się! — zaśmiał się ironicznie.

— Nie zgadzamy się w tem zupełnie, panie hrabio. Zazdroszczę panu łatwej pociechy i spokoju.

Oparła łokcie na uszaku i ukryła główkę w rękach. Brylancik na jej palcu migotał tysiącem iskier. Wentzel przypomniał sobie, że ten pierścionek widział u Głębockiego. Zagryzł wargi.

Nie rozumieli się wcale. Serca biły do siebie, a słowa rozdzielały ich coraz bardziej. A swat gdzieś gruchał na drodze i zapomniał o swej roli.

— Cóż wy tam robicie na przeciągu! Chcecie dostać paraliżu! Herbata gotowa. Musicie być okropnie głodni po spacerze. Zamknij, Waciu, okno.

Zasiedli do posiłku, ale żadne nie tknęło przysmaków, zastawionych przez staruszkę na cześć powrotu wnuka. Potem gwarzyli, siedząc we troje na ogrodowym ganku, ale rozmowa się nie kleiła.

— Pewnieś zmęczony? Idź spać — rzekła wreszcie pani Tekla.

Zgodził się i na to, ale zasnąć nie mógł. Przewracał się na posłaniu i wzdychał, oczekując Jasia. Nareszcie około północy gończe psy faworyty zaczęły w sieniach skomleć radośnie. Chrząstkowski wszedł, nucąc, w wyśmienitym humorze.

— Śpisz, Waciu? — zagadnął.

— Djabła tam! Wyglądam ciebie. Spełniłem akuratnie twe polecenia. Przywiozłem wszelkie podarki, kufer złota, nawet obrączki! Ślub stanowczo w niedzielę?

— Stanowczo! A ty się zaręczyłeś?

— Ja? Z kim?

— Z kimże? Z Jadzią!

— Panna Jadwiga płacze po Głębockim. A ma trzech konkurentów rodaków, znajomych. Gdzie mnie próbować nawet!

— Co? Płacze po Głębockim? Czyś ty rozum postradał, człowieku? I to dowodzą, że zakochani mają przeczucia! Aleś ty, Wacławku, ślepy jak kret! Pokaż-no obrączki. Może zaduże?

— W pugilaresie na stole. Dlaczegóż babka dowodzi, że płakała po Głębockim?

— Jeżeli ty w to możesz wierzyć, to czemuż nie babka? Oboje macie wiele daru spostrzegawczego! Doskonałe obrączki, śliczne! Dziękuję ci!

— Niema za co. A ty co spostrzegłeś?

— Ja nic nie potrzebowałem obserwować, bo mi Jadzia sama powiedziała. Przecież ci pisałem.

— Nie odebrałem listu. Powiedz co mówiła?...

— Najciekawszego nie wykrztusiła, schowała dla kogoś innego, na deser. Boże, Boże, że też wy sobie bezemnie rady nie umiecie dać! Oświadcz-że się jutro.

— Nie mogę! Nie wart jej jestem. Jak mi jeszcze raz odmówi, to w łeb sobie palnę!

— No, to lepiej oświadczaj się po mojem weselu. Gotóweś nie zrozumieć jej mruczenia, weźmiesz zgodę za odmowę i zrobisz mi nieszczęście i zły omen. Czy wiesz, ilem zdobył buziaków przez ten cały czas? Zgadnij?

— Sto.

— Dwa tylko! Jeden 15-go marca, a dziś drugi. A com prosił, błagał, zaklinał!

— Bo nie zaklinaj. Sama ci ofiaruje.

— Doprawdy! Spróbujno tego sposobu z Jadzią, filozofie. A czy są brylantowe kolczyki?

— Są. A ja przez ten czas nikogo nie pocałowałem... Nie spojrzałem nawet na kobietę!

— Gdzieżeś podział hrabinę Aurorę?

— Admirał ją zabrał prawie przemocą na swą fregatę. Gdzieś żeglują szczęśliwie. Miałem scenę z piekła żywcem wziętą, nim jej wytłómaczyłem, żeby swe prawa przekazała ze mnie na męża. Słyszałem że się mści na oficerach marynarki. *Vale!*

— A Lidja?

— Kupiłem jej kamienicę w Berlinie, byle mi dała spokój. Zresztą, rozprawiłem się z temi damami w trzy dni i uciekłem, bo Schöneich nie dał mi tchnąć drwinami. Czego ten człowiek na mnie nie wymyślał! Uszy więdną! Obiecał odwiedzić mnie w Strudze. Tylko co patrzeć, jak ich tu się zbierze bataljon cały. Jestem bajką modną w Berlinie.

— Więc dobijaj prędko targu. Wyschłeś z miłości. Ale wiesz co, bardzom ciekawy tych klejnotów. Poślę zaraz po nie do Strugi.

— Dobrze. Dam kartkę do Urbana, żeby je przywiózł. Są u niego pod strażą.

— Jutro je zawieziemy Cesi i ogadamy detalicznie ceremonję. Ślub cichy, obiad u niej, wieczorem przeprowadzenie nas do Olszanki. Boże, Boże, i do tego jeszcze pięć dni! Ty drużbujesz ze Stefanem a Jadzia z małą Tesią, moją szwagierką.

— Żdżarskiego koń uniósł. Nie spotkał was?

— Nie. Uniósł? Broń Boże jeszcze pokaleczył! Znowu gotowi ślub odłożyć. Ach! ja nieszczęśliwy! Pojadę go szukać.

Chłopak chwycił za czapkę i poleciał. Zapomniał o precjozach i o losie siostry i przyjaciela. Na pomoc jego nie można było liczyć. O! jakże brakło Wentzlowi teraz dawniej pewności siebie i zarozumiałości. Szalał, ubóstwiał — i milczał. A Jan, zamiast dopomóc, jeszcze przeszkadzał. Stefanowi, szczęściem, nic się nie stało, ale chłopak żył ciągle w gorączce i nie mógł się obejść bez przyjaciela. Raz tylko w ciągu tych pięciu dni znalazł hrabia chwilę rozmowy z Jadzią. Cesia wezwała koleżankę na dziewic-wieczór do pomocy w tysiącu drobnych szczegółów stroju i ceremonji. O zmroku panienki siedziały na ganku, wiążąc mirtowe bukieciki dla gości. Drużbowie obadwa i Jaś pomagali niby, przekomarzając się i dowcipkując.

— Dla kogo ten duży, Jadziuniu? Pewnie dla Adama — śmiał się Jan.

— Co? Pan go zaprosił, tę mumję? — zakrzyczała Cesia. — Ja zrywam słowo, nie chcę go widzieć!

— Zapóźno, panno Celino! Jużeśmy nawet po spowiedzi i spadła pani trzy razy z ambony. Losy rzucone.

— Mój drogi — wtrącił Wentzel — panna Celina jeszcze u ołtarza może zaprzeczyć, że ma wolną wolę.

— A ty skąd tak znasz szczegóły tego sakramentu?

— Od ciebie, naturalnie. Nawet przez sen o tem mówisz.

— To jednak straszno tak przysięgać! — zauważył Stefan.

— Niby wy kiedy dotrzymujecie! — odąwszy usteczka, wygłosiła Cesia.

Jadzia milczała. Wiązała gałązki mirtowe. Wentzel, siedzący u jej nóg na schodach ganku, brał

je z jej rąk i ozdabiał złotą szpilką. Podniósł głowę na zdanie Cesi.

— Lepiej nie przysięgać, niż łamać. Człowiek, co zdradza wiarę i zrywa słowo, dane u ołtarza, nie ma sumienia, honoru i czci! — rzekł poważnie.

— Pan hrabia pewnie dotrzyma! — odparła figlarka — Nieprawdaż, Jadziu?

— Jeżeli to zależy od honoru, czci i sumienia, to sądzę, że je posiada.

— To zależy od żony, moje panie! — wymówił Jaś z powagą kaznodziei. — A ja, znając przedmiot miłości Wacława, ręczę za nią i za niego, że oboje dotrzymają.

— Dziękuję ci za uznanie i proroctwo. Obyż się prędzej ziściło! Jestem daleko od ślubu.

— Jak się kto do tego po niemiecku, *langsam* zabiera, to nie dziw, że się spóźnia.

— I ty podobno starałeś się pięć lat.

— Ach, prawda! — westchnął Jan. — Żem nie osiwiał, to szczególna łaska boża.

— Panie hrabio — przerwała Cesia — czy to prawda, że i pan dostał harbuza?

— Niestety, i niejednego!

— A od kogo?

— Powiem to pani w przeddzień swego ślubu.

— Aj, nie durz głowy, Cesiu — ozwał się Stefan. — My z hrabią mamy coś ważniejszego do omówienia. Kto z nas nie dostał rekuzy! Aż złość słuchać! Mnie chodzi o wyścig, hrabio.

— I owszem. Mówił pan z Głębockim?

— Z panem Głębockim... — Bukiecik wypadł z rąk Jadzi. — Czyż się panowie nie obejdą bez niego?

Wentzel popatrzył na nią, krew buchnęła mu do twarzy. Coś mu świtało w głowie rozkosznego.

— Cały interes w pobiciu jego Normy — wytłómaczył Stefan.

— Czy ty się ścigasz na siwym? Winszuję! Każ w wigilję wypłoszyć z terenu zające — śmiał się Jan i zwrócił się do narzeczonej. — Chodźmy szukać pięciolistnego bzu. Jadzia pokończy bukieciki z hrabią. Ci państwo nie lubią spacerów. Będą sobie gadać o Głębockim i wyścigu.

Ruszyli, wziąwszy się pod rękę, w głąb ogrodu. Śmiech Cesi brzmiał zdaleka; jednocześnie pan Żdżarski zawołał syna do domu. Słowiki głuszyły rozmowę dwojga pozostałych.

— Dlaczego pani nieprzyjemna obecność Głębockiego na wyścigu? — zagadnął Wentzel.

— Nieprzyjemna! Pan, co wierzy, że po nim płaczę, może myśleć, że to było radosne wrażenie. Czy nie lepiej o kim innym lub o czem innem mówić, niż o nim? Niecierpię śledztwa, a pan ma do tego wielki gust. Proszę pana, ostatni bukiecik.

— Zapasowy! Wezmę go sobie. Już nigdy nie wspomnę Głębockiego.

— Po co te wyścigi! — zamruczała. — Bohater niezawodnie wyprzedzi, a w końcu z zabawy może być awantura i nieszczęście.

— Jeśli pani zabrania, to się cofnę.

— Nie zabraniam, ale proszę — wymówiła ciszej.

— A wzamian ja o coś poproszę!

— Słucham.

— Niech mi pani powie, kto pani lepszy: on, czy ja?

— Znowu śledztwo... Powiem panu w przeddzień pana ślubu.

— W takim razie nigdy... Od tej odpowiedzi zależy moje małżeństwo.

Zaśmiała się lekko.

— Pan Głębocki nie jest mi wcale dobry. Po cóż próżne pytania?

— Pani odpowiedzi nic nie mówią. Żebym raz posłyszał „tak“ lub „nie“, tobym więcej się nie odezwał.

— Żeby pan był domyślniejszy, obeszłoby się i bez tego. Czy pan nie uważa, jak mi trudno bawić się słowami, a czasem nawet mówić? Czemu mnie pan męczy? Mam naturę nieznośnie skrytą i nieufną.

Stefan wrócił w tej chwili; miał głowę pełną wyścigu. Zdumiał się na odmowę hrabiego.

— Dam panu swego konia, wprawdzie nie Bohatera, bo ten się dosiąść nie da, ale równie pewnego. Proszę przyjechać do Strugi. Zobaczy go pan.

Jadzia wstała z miejsca i ruszyła powoli na spacer, nucąc zcicha. Młodzi ludzie zapalili cygara i gwarzyli o polowaniu i koniach. Żdżarski się zapalił, wpadłszy na swój ulubiony temat; nie znać było po nim, że przed paru dniami i on dostał rekuzę od pięknej siostry Chrząstkowskiego.

Wentzel opowiadał i słuchał roztargniony, zdenerwowany, zajęty jedną myślą, jednem pragnieniem.

W ogrodzie było gwarno od słowików, a potem zdala, zgłuszony szmerem wiatru i gęstwiną drzew i krzaków, przedarł się aż do ganku śpiew na dwa głosy — Jadzi i Cesi.

Było to coś z polskich, smętnych piosenek; słów nie słyszał hrabia, ale melodja wołała go, ciągnęła, rwała do siebie. Nie mógł pozostać na miejscu, wstał.

— Chodźmy bliżej posłuchać — rzekł.

— Śpiewu? Czy jest coś więcej nudnego, jak te trele? — odparł Żdżarski, ruszając ramionami. — Wolę pójść upomnieć się o wieczerzę.

Wentzel sam poszedł. W ciemnej altanie siedzieli narzeczeni z Jadzią. Oni blisko siebie na darniowej ławce, ona opodal, sama. A śpiew wabił, wołał, nęcił.

— Kto tam? — zagadnął Jan na widok czarnego cienia. — A, to ty, drużbo; siadajże obok swej towarzyszki.

Panienki urwały śpiew.

— Przepraszam. Czy przeszkadzam? — spytał.

— Ależ nie. To ten pan nam przerywa — zawołała Cesia, uderzając narzeczonego po ręku gałązką bzu.

— Bardzom rad, że go widzę — tłómaczył się Jan. — Nie lubię trójek. Para albo dwie. To przynajmniej prosty rachunek. Wiesz co, Jadziu: zaśpiewajcie z Wacławem duet z Fausta! Mam przeczucie, że się wam uda wyśmienicie.

Cesia zachichotała jak psotny chochlik.

Oboje wezwani do śpiewu milczeli.

— Nie chcecie? — dziwił się Jan. — Szkoda. Wasze głosy muszą być bardzo odpowiednie.

— Czy pan słyszał hrabiego śpiewającym? — zagadnęła Cesia. — Mnie się widzi, że to się nie zgadza z jego powagą.

— Czy ja na pani robię wrażenie poważnego? — spytał hrabia z uśmiechem.

— Nie widziałam pana nigdy wesołym.

— Przy Jasiu niknie humor innych.

— Ja szczęściem, nie mam w miłości twego usposobienia.

— Miłość miłości nie równa.

— Czemu ty nie siądziesz? To drzewo podpory nie potrzebuje! Czy tam koło Jadzi niema miejsca?

— Owszem, proszę pana — rzekła Jadzia, usuwając się.

Ławeczka była bardzo wąska. Usiedli tuż koło siebie, a Cesia ozwała się wesoło:

— To na panu miłość tak przygnębiające sprawia wrażenie? A ja słyszałam, że pan bardzo szczęśliwie trafił.

— Któż to pani skłamał?

— Jadzia — odrzekła figlarka. — To ty umiesz kłamać, Jadziuniu? Ładnie!

— Nie przypominam sobie — odparła zagadnięta, — zdaje mi się, że w klasztorze ty nosiłaś niekiedy czerwony język na plecach podczas rekreacji.

— Czerwony język to za ciekawość.

— Może być. I tego ci nie brak.

— Ciekawość, Jadziuniu, jest znakiem roztropności.

— Niezawodnie. A powtarzanie cudzych zwierzeń lub własnych niepewnych obserwacyj czego jest znakiem?

— Przychylności dla niedołęgów — odpowiedział za narzeczoną Jan.

— Czy to i ja mam pani za tę przychylność podziękować? — spytał Wacław.

— A naturalnie. Tylko pan.

— Chociaż określenie niezbyt pochlebne, dziękuję. Odsłużę się na weselu. Zdaje mi się, że tak mówią.

— Ależ pan zna nawet polskie przypowiastki. Musiał pan pilnie się uczyć.

— Musiałeś wykraść Sperlingowi żonę — śmiał się Jan, — przecież to ona cię uczyła.

— Ona. Sperlingowie jeździli ze mną razem przez te parę miesięcy. On mi pomagał w interesach, a pani Lili dawała lekcje. Mówiłem z nią zawsze po polsku.

— Pewnie zbałamuciłeś biedną?

— Czy ci się zdaje, że można każdą zbałamucić?

— Teraz, mój drogi, wierzę, że żadna ci się nie ostoi.

— Czas na wieczerzę, Cesiu — wtrąciła Jadzia.

— Czyś tak bardzo głodna? — żartował brat. — Sądząc po sobie, myślę, że zakochani nigdy nic nie jedzą. Nieprawda, Waciu, i ty nie masz apetytu?

Podczas tej rozmowy ręka Wacława spoczywała na poręczy ławeczki, za plecami panienki.

Po chwili ona się oparła o tę rękę, spojrzała na niego z pod brwi i spuściła znowu oczy.

Chciał cofnąć ramię, ale nie miał siły.

— Czy pani niewygodnie? — spytał cicho.

— Niewygodnie — odmruknęła.

Czy to było twierdzenie, czy ironiczne zaprzeczenie, nie można było zrozumieć.

— Śpiewać pani nie będzie? — badał dalej.

— Nie będę.

— Co nie będziesz? — zagadnął nie dosłyszawszy Jan.

— Słuchać twoich konceptów. Pójdę do domu.

— Idźcie lepiej z Wacławem poszukać pięciolistnego bzu.

— Wyście z Cesią wszystko oberwali.

— Zostawiliśmy dla was. Słowo daję.

Na niebo wypłynął księżyc i srebrnemi smugami zaglądał do altanki, migocąc między liśćmi strzyżonych jesionów. Słowiki na chwilę pomilkły. Nawet swawolny Jan zdobył się na okrzyk zachwytu:

— Co za noc cudowna! Człowiekby życie tak przebył, patrząc w niebo. W jakim to poemacie opisano taką chwilę? Pamięta pani?

Główka narzeczonej oparta była o jego ramię; zajrzał jej w oczy, może pocałował, kto wie; w przeddzień ślubu nawet Cesia robiła ustępstwa.

— „W Szwajcarji" — odparła, podnosząc wzrok ku niemu, i zaczęła mówić półgłosem:

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą.
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawie dyszą...

Naprzeciw, w cieniu, na ławeczce, słuchano uważnie, tylko, zamiast w niebo, patrzyli na siebie. Młody człowiek pochylił się nad dziewczyną, całe serce i dusza przeszła mu w oczy. A ona, niezdolna oprzeć się wyrazowi tego spojrzenia, bezwiednie podniosła źrenice, i minutę stanęły im serca cicho w piersi i minutę żyli tylko dla siebie i tylko kochali.

I nie rzekli słowa, tylko po chwili on jej rączkę wziął w swoją i ucałował długo.

A dźwięczny głos Cesi deklamował zcicha, do wtóru z uciszoną przyrodą:

Ach, najszczęśliwsi na świecie nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramiona kładą...

A potem narzeczeni gdzieś zniknęli — i w altanie zapanowała cisza, długo...

I tylko księżyc ich widział, i tylko ich słyszały słowiki...

. . . . . .

XIII.

Turkot i palenie z bata spłoszyły nazajutrz panią Teklę ze snu. Zerwała się, przestraszona, sądząc, że przespała ceremonję ślubną.

Po chwili ktoś zapukał do drzwi sypialni.

— Co tam? — zawołała, ubierając się śpiesznie.

— To ja! — ozwał się głos Wentzla. — Przyjechałem po babcię. Czas jechać.

— Powarjowaliście wszyscy! Zaledwie siódma! To pewnie Jan cię zbudził tak rano

— Wcaleśmy się nie kładli. Panienki poszły się stroić, a mnie panna Jadwiga przysłała do Marjampola.

— A do tej co znowu przystąpiło! Skaranie Boskie z tą gorączką. Każ konie zaprzęgać.

— Nie trzeba, babciu. Są moje ze Strugi.

— Pewnie narowiste. Gotowe nas pokaleczyć.

— Łagodne, jak dzieci. Niech mi babcia zrobi to szczęście i nie odmówi.

— No, dobrze już, dobrze. I ty coś dziś w gorączce. Marszałek prosił, żeby go zabrać po drodze. Może mały powóz? Czegóż stoisz pode drzwiami i głowę mi durzysz! Niech dają śniadanie.

Wentzel odszedł i po chwili usłyszała staruszka, jak rozbijał fortepian Jadzi, grając bez ceremonji mazurka...

Wypadła nań z krzykiem:

— Co wyprawiasz! Struny popękają!

— A niech sobie pękają! — odparł, całując jej ręce.

Wystrojony, z bukietem mirtowym u klapy, promieniał, jak jutrzenka. Tak rozradowanym nigdy nie był jeszcze. Aż się pani Tekla musiała uśmiechnąć do jego uszczęśliwionych oczu.

— Istna epidemja ten szał weselny! Czegóż ty się cieszysz? Chciałabym wiedzieć.

Poczerwieniał, jakby był panną młodą.

— Jabym dziś, babciu, cały świat ściskał i całował. Dusza mi się w piersi nie mieści.

— Osobliwość! — pokręciła głową. — Lepiejbyś się przespał i zjadł cokolwiek. Przecież zaraz jechać nie trzeba.

— Ależ trzeba, natychmiast. Nim się marszałek wybierze!... Jan tam klnie pewnie i płacze.

— Ach, ten Jan! No, to jedźmy, przyśpieszymy jego opamiętanie. Jakże tam Jadzia? Wczoraj skarżyła się na ból głowy.

— Zdrowa, babciu, zdrowa i wesoła! — powtarzał z uśmiechem, pomagając staruszce przykryć szaty godowe popielatym pudermantlem.

Konie stały u drzwi, postrojone w pęki wstążek i wisiadeł. Powozik świecił jak cacko.

Pani Tekla umieściła się na safjanowych poduszkach, hrabia wziął z rąk furmana lejce, i ruszyli jak wiatr.

Nawet zły humor marjampolskiej dziedziczki nie ostał się wobec ślicznej pogody, słońca i wesołych oczu

Wentzla, który co chwila zwracał się do niej z jakiemś przelotnem słówkiem troskliwości lub zapytania.

Na zawrocie do marszałka stangret ośmielił się zrobić uwagę:

— Droga wypadnie przez dworek dawniejszego pana ze Strugi. Może bramy zamknięte?

— A to mu je wywalimy! — odparł zuchwale pan.

— Co on mówi? — spytała pani Tekla.

— Że nam Głębocki bram nie otworzy.

— Fe! Nie wiedzieć co! A zresztą, kto go wie! Furjat! Może zawrócić?

— Ja się nigdy z drogi nie wracam, babciu.

W tej chwili dworek wymieniony wyrósł tuż przed nimi w parowie. Konie dopadły bramy i stanęły. Była szczelnie zamknięta. Na wołanie stangreta stróż ukazał się z budy i dość opieszale wyjrzał na przybyłych.

— Otwieraj, trutniu! — krzyknął hrabia.

— Oho! A jakże otworzę, kaj kluce u pana, a pon śpią? — odparł człek z mazurska.

— A to go obudź, twego pana!

— Oho! Jesce mię z pistoletu ustrzelą!

— Idź, Paweł, do niego i poproś o klucze — rozkazała pani Tekla stangretowi.

Poszli obadwa ze stróżem. Wentzel to bladł, to czerwieniał. Gniew wzbierał w nim jak fala. Spojrzał na zegarek.

— Dziesiąta! — zamruczał.

Pani Tekla, dla której Głębocki nie był rywalem, traktowała tę kwestję dużo spokojniej.

— Podoba mi się taki rygor, podoba! — mruczała. — Warto, żeby u ciebie w Strudze był taki sam. Chociaż warjat, ale porządniej u niego, niż u ciebie.

W tej chwili wrócił stangret i stróż z kluczami; otworzył, ukłonił się i rzekł:

— Pon prosą, zeby więcej nie jeździć bez folwark, ino gościńcem.

Wentzel się obejrzał.

— Powiedz twemu panu, że wieczorem będę wracał: niech mi nie każe czekać! — odkrzyknął.

Na ganku stał Głębocki i może słyszał odpowiedź. Nie ukłonił się i Wentzel również nie uchylił kapelusza, tylko jechał zwolna, jakby wyzywając przeciwnika.

Stadko gołębi, spłoszone, porwało się z dachu, mignęło nad głową hrabiego. W tejże chwili Głębocki podniósł pistolet i strzelił. Jeden z gołębi zawirował i padł na koła powozu; konie spłoszone pomknęły bez pamięci na płoty i rowy; pani Tekla krzyknęła przeraźliwie.

— Nic, babciu, nic, — uspokajał Wentzel, borykając się z rozhukanym zaprzęgiem. — Ten pan strzela sobie gołębie, przecież to nic zdrożnego. Dobrze strzela nawet. Może być królem kurkowym. No, otóż i jesteśmy znowu na drodze.

— A mówiłam ci: zawróć! Nigdy nie słuchasz! O cal ci kula przeleciała nad głową! Boże, Boże! Niby to wasza idealna policja! Taki człowiek swobodnie się obraca! Gdzież porządek! Ot, kryminał mógł być na gładkiej drodze, w jasny dzień! A mówiłam: zawróć!

— Czy widzi babcia? Marszałek jedzie przed nami. Spóźniliśmy się.

— A, prawda! Dzień dobry bratu! — powitała nejtyczankę i jowialną twarz ciotecznego.

— Pi, pi! Siostrunię hrabiowie wożą! Jakie cugi — śmiał się staruszek i mrugał znacząco.

Zaprzęgi stanęły. Obok pudermantla pani Tekli marszałek umieścił siebie i swój płaszcz z peleryną, dowcipkując dyskretnie z hrabiowskiego szyku i przepychu.

— Dajże brat spokój! — zawołała pani Tekla — Proszę lepiej posłuchać, co się to u nas dzieje. Mordują ludzi po drogach!

— A słyszałem, słyszałem! — potakiwał. — Dwie ofiary spalone! Ale policja już wpadła na trop.

— Co brat bredzisz! Jakie dwie ofiary? Jakto spalone?

— Ano ten Szwarc, co handluje wieprzami; zarżnięto go z żoną we wtorek.

— Co mi brat plecie o jakimś tam Szwarcu?

— A cóż mi siostra mówi o zamordowaniu?

Wentzel śmiał się, jak szalony, z tego nieporozumienia.

— Mówię, bo przed chwilą Głębocki omal nie zastrzelił mego wnuka.

Marszałek aż podskoczył.

— Być nie może! — zawołał, oglądając Wentzla. — A to warjat kompletny! Hrabia powinien oznajmić to policji, podać na sąd.

Croy-Dülmen spojrzał iskrzącemi oczami na mówiącego. Twarz jego zabarwiła się krwią.

— Ja moich honorowych spraw nie powierzam policji. Jest na to inny sąd! — rzekł z naciskiem.

Marszałek zatarł ręce.

— Pan mówi po naszemu — odparł, kiwając głową.

— Jam już dawno wasz, panie marszałku! — uśmiechnął się młody człowiek.

— Chwała Bogu! Bardzom rad! A siostrunia aż rośnie z dumy. Jakże to było z tem strzelaniem? Tak sobie, bez żadnej dobrej racji?

— Racja toby się znalazła — rzekł wesoło Wentzel.

— Aha, znalazłaby się! Rozumiem! Coś tam stoi zapisanego między wami *in libris amoris!*

— A brata zawsze żarty się trzymają. Co za jakieś libris! Nie libris, ale Głębocki jest furjat, i jeśli go nie zamkną do obłąkanych, to ja sama zaskarżę go do medycznego wydziału!

— Ho, ho, ho! Jaka z siostry gorączka! Załatwi się z nim hrabia bez naszej pomocy. Poco kłaść palce między drzwi? Nieprawda, kawalerze?

— Niezawodnie, panie marszałku. Ale oto i Braniszcze. Wszystkie powozy już przed kościołem. Słowo daję! Jan już piechotą idzie naprzeciw.

Niecierpliwy oblubieniec istotnie, bez względu na swój strój weselny, kroczył na spotkanie.

— Ty mnie w chorobę wpędzisz swem marudztwem! — krzyczał już zdaleka.

— *Chi va piano, va sano!* — pocieszył go Wentzel, zajeżdżając przed kościół.

Pani Tekla triumfalnym pochodem, pod eskortą wnuka i wychowańca, zajęła swe miejsce. Wszyscy na nią czekali i natychmiast rozpoczęła się ceremonja.

U ołtarza przyklękli państwo młodzi, powtarzali za księdzem przysięgę powoli, wyraźnie, dobitnie. Mimowoli za nimi szeptał ją Wentzel, stojąc naprzeciw Jadzi i nie spuszczając wzroku z jej bladej, poważnej twarzyczki.

Spotkali się oczami. On spojrzeniem mówił, że ją ubóstwia; ona uśmiechnęła się lekko, łagodnie

i zarumieniła się nieco. U ołtarza było czworo szczęśliwych.

Jadzi od wczoraj było jakoś dziwnie. Ostatecznie oddała mu serce i duszę, i nie żałowała wcale, tylko ją strach zdejmował przed szczęściem

I ona, zamyślona powtarzała machinalnie słowa przysięgi i tak się zadumała, że ją jak ze snu zbudził dobrze znany głos:

— Służę pani.

Nie patrząc, wsunęła rękę pod jego ramię i poszła za nowożeńcami. Marszałek z panią Żdżarską dreptał tuż za nimi.

— Jadziu — ozwał się, ledwie przestąpili próg kościoła, — czy wiesz, że zarżnęli Szwaba Szwarca?

— Wiem.

— A wiesz, że strzelali do hrabiego?

Rączka panienki drgnęła.

— Do jakiego hrabiego? — spytała jednak spokojnie.

— Nie udawaj naiwnej, figlarko. Znam, znam twoje sztuki! Do jakiego hrabiego! Dobra sobie!

— Jakto? Strzelano do pana? — zawołała pani Żdżarska przerażona.

— Marszałek żartuje — odparł.

Jadzia nie pytała słowem tylko oczami. Oczom tym nie umiał kłamać, spojrzał w inną stronę.

— Czy widzi pani — zawołał. — Jaś z żoną już się sprzeczają u drzwiczek powozu.

— A kawalerby się nie sprzeczał — żartował marszałek. — Będziesz pod pantoflem, młody człowieku. Co? Może chcesz tabaczki?

— Ślicznie dziękuję za proroctwo i propozycję. Z kim pani jedzie?

— Z panią Ostrowską. Wzywa nas.

Pani Tekli widocznie podobały się safjany. Już się w nich rozsiadła i kiwała na Jadzię.

Wentzel, uszczęśliwiony z zaszczytu, gnał zaprząg z kopyta, wyprzedzając wszystkich. Staruszka daremnie wzywała go do opamiętania.

— Apopleksja razi konie w taki upał! Popadają na drodze! Czyś oszalał?

— Niech padają! Co mi tam! — odpowiadał.

Na to monstrualne lekceważenie inwentarza pani Tekla miała już zacząć piorunujące kazanie, gdy Jadzia spytała nagle:

— Marszałek mi mówił, jakoby strzelano do hrabiego? Nie mówił nic babci?

— Jakto mówił? Na co mówić? Przecież to się działo w moich oczach. Kula o cal przeszła od głowy.

Tu nastąpiła detaliczna opowieść wypadku i trwała całą drogę. Jadzia nie ozwała się więcej. Oparła głowę w głębi powozu, przymknęła oczy i słyszała tylko swój ból w duszy.

Przyszła tedy nieunikniona katastrofa; już jej nic nie odwróci; ona już nie ma prawa go powstrzymać przed honorową rozprawą. Unikał jej wzroku, bał się prośby, której będzie musiał odmówić, lub bał się swej słabości względem niej. Nie, ona go nie będzie prosić, nie zatrzyma. Niech się dzieje, co sądzone!

Czytała gdzieś, że szczęście to grzech, za który się śmiercią płaci. Aksjomat ten kołował w jej głowie, wbijał się w jej mózg jak ćwiek, bolał, szarpał, rozdzierał.

Miała ochotę komuś się poskarżyć, pożalić, jemu samemu najprędzej. Czy też jemu nie szkoda będzie ginąć? Czy nie jęczy w nim dusza, jak w niej?

Spojrzała ku niemu. Jego cienki, piękny profil widziała tylko; uśmiechał się do swych myśli. Pojedynek dla niego to zabawka! Wczoraj w altanie mówił, że rad umrzeć, jeśli śmiercią dowiedzie jej swej miłości. Ha, otóż i dowiedzie! — Potem pytał: czy go lubi choć trochę? Pytał, prosił, zaklinał o odpowiedź, a ona milczała. Słowo nie mogło się wydrzeć ze skrytego serca; jej się zdawało, że on i bez tego wiedzieć powinien. A może on nic nie wie? Dręczyła go tyle czasu — może rad skończyć mękę? Może stracił nadzieję? Rękę jej, odchodząc, przycisnął do serca — kołatało szalenie. A ona nie pocieszyła go jednem słowem. A teraz go jej kula weźmie.

Przybyli na miejsce wpadli w wesołe, rozbawione grono rodziny. Jan odzyskał humor i werwę. Marszałek prawił dowcipy, wszyscy się śmieli. Wentzel był też w podnieconem usposobieniu — żartował, bawił całe towarzystwo. Mało jadł, ale pił bezustanku. Siedzieli obok siebie. Marszałek mrugał, Jan wnosił zdrowie drużek, pani Tekla nawet uśmiechała się łaskawie. Jedna Cesia spostrzegła troskę na twarzy Jadzi i po obiedzie spytała ją serdecznie:

— Co ci, Jadziu? Głowa boli?

— Boli — odparła niewyraźnie.

Oj, bo też ją bolało okropnie! Widziała jak po obiedzie Wentzel coś szeptał ze Stefanem, posyłali jakieś kartki, umawiali się tajemniczo, potem, jakby nic, wrócili do salonu.

Pod wieczór nowożeńcy pożegnali rodziców i gości. Rozjeżdżali się wszyscy. Pani Tekli nie było już;

miała Jasia i Cesię przyjąć w Olszance chlebem i solą. Konie marjampolskie czekały na Jadzię. Dla Wentzla i Stefana stały posiodłane wierzchowce.

Hrabia ją przeprowadził do powozu. Zdobyła się wreszcie na zapytanie:

— Pan dziś będzie u babki?

— Nie, pani, nie mogę.

— A jutro?

— Nie wiem, co będzie jutro.

— Zapewne, może lepiej nie żegnać się — zamruczała raczej do siebie, niż do niego.

— Kto ma z kim żegnać się, to szczęśliwy — odparł, patrząc na nią błagalnie.

I znowu czarodziejskie słowo ugrzęzło w gardle — pokręciła głową. Łez miała pełne oczy.

— Niech pan będzie jutro — wyszeptała.

Ukłonił się, bo Stefan się zbliżył, powóz ruszył.

— No, to jedziemy? — spytał Żdżarski.

— Jedziemy! — zawołał z determinacją hrabia.

Skoczyli na konie i pognali w drugą stronę. Na trakcie spotkali Wolickiego i Jasienieckiego, zamienili parę słów i pojechali razem do dworku Głębockiego. Brama była tym razem nawpół otwarta i nigdzie stróża.

— Łotr, umyślnie urządził szykanę — ozwał się jeden.

Wentzel zatrzymał jakiegoś parobka.

— Gdzie wasz pan?

— W domu. Słyszą panowie? Strzela.

Istotnie rozlegał się głuchy huk w miarowych odstępach czasu.

— Powiedz panu, oto masz moją kartkę, że ten pan chce się z nim widzieć.

Chłop wziął bilet i poszedł. Młodzi ludzie zsiedli z koni i weszli na ganek.

W tejże chwili stary sługa otworzył im drzwi i ukłonił się.

— Pan prosi do siebie.

Weszli do pokoju dziwnie przystrojonego. Całe ściany obite były kartami, na których zamiast znaków świeciły dziurki od kul. Na drzwiach podobnież strzałami wypisany był rok i dwie daty, kilka obrazów po ścianach miało na sobie arabeski ołowiem kreślone. Zaduch prochu panował nieznośny. Głębocki stał u okna bez surduta, oczerniony sadzą, ohydny. Brodę zahodował po pas, włosy zapuścił jak mnich, wychudł jak trzaska. Nie zważając na obecność gości, nabijał pistolet.

Po minucie oczekiwania Wentzel wystąpił naprzód.

— Czy mogę prosić pana o chwilkę uwagi? — spytał.

Głębocki się obejrzał.

— Uważam — odparł.

— Przyjechałem tu spytać pana: z jakiego powodu strzelałeś pan dziś rano do mnie? Byłem bezbronny i mogłem odpowiedzieć panu tylko... biczem.

— Ja wcale do pana nie strzelałem, ale do gołębia. A że pan mi wlazł pod strzał, to nie moja wina. Wolnoć Tomku w swoim domku.

— Ach, tak! Nie strzelał pan do mnie... Przyjmuję tłumaczenie za słuszne. Zrobię tylko panu jedną jeszcze uwagę: że człowiek dobrze wychowany i przy zdrowych zmysłach nie strzela na swoim dziedzińcu w chwili, gdy przejeżdża osoba starsza i szanowana. Są to obyczaje nieprzyjęte w Europie.

Głębocki stanął frontem, pistolet trzymał w ręku.

— Połóż pan broń na stole — rzekł zimno Wentzel.

— Gdzie jest czterech na jednego, tam broń powinna być blisko.

Wszyscy poruszyli się z oburzeniem.

— Cóż to! Masz pan nas za zbójów? — zawołał Stefan porywczo.

— Kto z kim przestaje, takim się staje. Wstyd wam kolegować z podłym Szwabem, z pruskim szpiegiem!...

Nie dokończył. Rękawiczka Wentzla uderzyła go po twarzy. Zaryczał, podniósł pistolet i wystrzelił. Kula świsnęła koło ucha hrabiego, zerwała mu trochę włosów i ogłuszyła zupełnie. Obecni wydarli szaleńcowi broń — oniemieli wszyscy ze zgrozy. Croy-Dülmen pierwszy oprzytomniał.

— Dwa razy strzelałeś pan do bezbronnego; może i o tem znajdziesz jakie przysłowie.

— I owszem! — zaśmiał się dziko Głębocki — Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Każ pan sobie zawczasu dół wykopać!

— Nie omieszkam z rady skorzystać. Czekam pana sekundantów, bo wojować obelgami nie zwykłem. Chodźmy, panowie!

Wyszli bez pożegnania. Gdy wsiadali na koń, słyszeli znowu raz po raz huk strzałów. Były to grzmoty przed burzą.

XIV.

W Marjampolu raczej spodziewano się widoku Antychrysta niż Jana nazajutrz po ślubie. Pani Tekla, zajęta z ogrodnikiem około owych róż, tak doszczętnie zniszczonych przez Bohatera, aż oniemiała z podziwu, widząc przed sobą wychowańca konno na wierzchowcu zlanym potem i pianą

— Co się stało? — zawołała wreszcie.

— Niema tu Wentzla? — odparł zdyszany.

— Niema! Zkądże ma być! Pewnie w Strudze.

— Jadę ze Strugi właśnie. Nie zastałem! A gdzie Jadzia?

— Czyś oszalał? Co się stało, pytam, że latasz konno od świtu, zamiast z żoną siedzieć?

— Alboż mi ten Wentzel da chwilę spokoju! Cesia mnie sama wyprawiła... może się da uratować...

— Co uratować?...

— Życie Wentzla! — odparł zdławionym głosem i zeskoczył z konia, spostrzegając Jadzię na ganku.

Pani Tekla zatrzymała go za rękę.

— Cóż się stało z Waciem? Mów porządnie! — ozwała się, jak zwykle w chwilach ważnych, zupełnie serjo i spokojnie.

— Pojedynkuje się z Głębockim.

Jadzia podeszła do rozmawiających i słuchała.

— Było to tak — mówił Jan, odsapnąwszy. — Wczoraj podobno była awantura, gdy Wentzel z panią jechał do kościoła. Była to zaczepka, szykana. Po ślubie, gdyśmy się rozjechali, Wentzel wziął trzech świadków i ruszył do tego szaleńca. Stefan dowodzi, że hrabia był trochę podchmielony. Przyjechali, wpuszczono ich do domu, Głębocki strzelał do kart na ścianach. Wentzel go pyta: czemu strzelał do niego? Ten na to: „Wolnoć Tomku w swoim domku". Wentzel mu tedy rzekł: „Że trzeba być warjatem lub dzikim, żeby palić do gołębi wobec starej osoby, tuż nad jej głową". Tamten do niego się rzucił, pistolet trzymał w ręku. „Połóż pan broń!" — mówi hrabia. „Broń potrzebna, gdzie jest czterech na jednego" — tamten odpowiada. Stefan się oburzył i reszta, a Głębocki mówi drugie przysłowie: Kto z kim przestaje, takim się staje" i nazywa Wentzla szwabem i pruskim szpiegiem! Wentzel mu rękawiczkę rzucił w twarz, a Głębocki palnął mu w łeb!

— Jezusie — szepnęła pani Tekla.

W Jadzi licach nie było kropli krwi, ale milczała. Jan trząsł się z wściekłości.

— Chybił, szczęściem — ciągnął dalej, ocierając pot z czoła, — no, i mają się bić z sobą. Stefan wpadł do mnie z tą wieścią, strwożył na śmierć Cesię. Oboje lubią bardzo hrabiego... W prośby do mnie, może się uda jako sprawę załagodzić. Wentzel zakazał mnie wtajemniczać i gdzieś się schował. Myślałem, że go tu znajdę. Może mi panie dopomogą do pogodzenia ich. Hrabia był, mówią, nietrzeźwy...

— Więc cóż z tego! — zaczęła Jadzia powoli. — Wedle twej opowieści, hrabia, choć pijany, zachował

się zupełnie stosownie; dopiero na obelgę odpowiedział obelgą.

— Cóż tam za obelga znowu! Szwab... Pani Ostrowska tysiąc razy go tak nazywała.

— Kiedy nim był — wmieszała się staruszka. — Teraz nigdybym się nie ośmieliła użyć tego słowa. Wiesz dobrze, i on to już czuje, jak obraźliwą jest ta nazwa tu u nas. Cenię go od dziś jeszcze wyżej.

— No, kiedy tak, to go nie długo będziemy cenić. Z rąk Głębockiego żyw nie wyjdzie!

— Co Bóg da! — rzekła uroczyście staruszka. — Ja go nie mogę uczyć podłości. Niech broni honoru! To słuszne!

— A ty, Jadziu, tak samo myślisz ?— spróbował Jan ostatniej apelacji.

— Myślę, że i tybyś nie zniósł nazwy pruskiego szpiega! Zgoda byłaby tylko możliwą w razie przeprosin pana Głębockiego.

Chrząstkowski ręką machnął.

— Zatem Wentzel zgubiony! Ach, Jadziu, Jadziu! — zaczął i urwał.

— Zgubiony jest ten, kto nie ma honoru i zasad — rzekła smutnie pani Tekla i odeszła powoli ku domowi.

Jan wsiadł na koń, podał rękę siostrze.

— Muszę go jednak odnaleźć! — westchnął. Może ci go przysłać? Szkoda mi was okropnie.

— Kiedy pojedynek? — spytała.

— Nie wiem jeszcze. Ach, Boże wielki! Na czem to wisi żywot ludzki! Biedne chłopczysko, taki był wesół wczoraj. Ej, Jadziu, czemu ty nie zapłaczesz?

— Żebym mogła! — wyszeptała.

— Może ci Cesię przywieźć na pociechę?

— Nie, Jasiu. Dziękuję ci!

Chrząstkowskiego dławiły łzy. Zawrócił konia, ręką jej skinął i pojechał.

Wentzla nigdzie nie znalazł, i Stefana nie można było spotkać. Obadwa skryli się widocznie przed rodziną. Wolicki i Jasieniecki nie chcieli nic powiedzieć. Pojedynek miał się odbyć w największej tajemnicy. Dali na to hrabiemu słowo honoru. Był zgubiony ostatecznie na opinji.

Cały dzień zmarnowawszy napróżno, Jan pod wieczór wrócił do Olszanki. Nie czuł się na siłach dłużej pozostać zdala od Cesi — i po godzinie rozkosznego, pierwszego samnasam z ukochaną, zapomniał o Bożym świecie...

Tylko w Marjampolu czuwano i myślano o biednym Szwabie. Pani Tekla modliła się noc całą, wzywała łaski Bożej na swą siwą głowę. Jednego jego miała tylko — czy i on ją opuści? Pójdzie do tamtych, do matki, do dziada — ona sama zostanie! Była to straszna noc.

Raniutko kazała zaprzęgać konie i poszła do Jadzi. Zgarbiła się, zestarzała o lat dziesięć.

— Pojadę na mszę — rzekła. — Jeżeli on się zjawi, to bądź dla niego dobrą i ode mnie pożegnaj. Jeżeli będzie mógł, niech zaczeka do mego powrotu.

— Powiem — odparła Jadzia, całując ją w rękę.

Powóz zaturkotał — została samą. Po bezsennej nocy czuła się słabą i zdenerwowaną okropnie; bolały ją oczy i głowa, w pokoju brakło płucom powietrza. Zeszła do ogrodu, daleko, aż w cienie dzikiego parku, co się ciągnie między polami. Niski płot oddzielał go od łanów; oparła się wreszcie zmęczona o tę zagrodę i, zapatrzywszy się w falujące morze kłosów, dumała.

Byłoż to przeczucie, co ją zawiodło w to miejsce?

Ścieżką pod płotem zbliżał się jeździec na pysznym karym arabie. Dwór chciał ominąć, widocznie, i jakby się wahał i pasował z tą chęcią. Czasami ręka mu drżała na cuglach do zawrotu, i hamował ją. Głowę miał zwieszoną, ponurą zaciętość w twarzy.

O krok był od Jadzi, gdy się spostrzegli.

Smutek jego pierzchnął jak czarem — zeskoczył na ziemię, cugle zarzucił na gałęź i stanął naprzeciw niej, wyciągając z powitaniem rękę.

— Śliczny ranek, nieprawdaż? — rzekł swobodnie.

Popatrzyła nań z wyrzutem.

— Pan jedzie na pojedynek? — spytała.

— Tak, pani. — Spojrzał na zegarek. — Mam jeszcze pięć kwadransów czasu. Wyjechałem zawcześnie Czy babka w domu?

— Wyjechała do kościoła.

— To dobrze. Wolę jej nie widzieć i nie żegnać — szepnął do siebie, przesuwając ręką po czole.

— Czy i przed Janem ukrył się pan dla tegoż powodu?

— Naturalnie. To wcale nie poślubny temat. Co ma sobie mącić spokój i szczęście.

— Tajemnica nie oszczędzi zgryzoty. Jabym na miejscu Jasia miała żal do pana za usunięcie w takiej chwili.

Zamilkł i spuścił oczy. Pozorna obojętność była bardzo trudną do zachowania wobec niej.

Byli tak blisko siebie — a on tak blisko śmierci. Czuł w sobie odwagę skazańca.

— Jaś daruje — ozwał się. — Ot, nie wiem, co mi jest dzisiaj. Odbyłem tyle pojedynków, nie czując

nic podobnego. Ciekawym, czy to będzie instynkt śmierci.

Jadzia zadrżała nerwowo. W oczach jej zamigotała jakby wściekłość.

— Jedź pan sobie stąd! — zawołała zmienionym głosem, odstępując o krok.

— Pani każe, pojadę! Czym obraził, broń Boże?

— Ach! — wyszło rozpaczliwie z jej ust.

Oparła się znowu o płot i ukryła twarz w dłonie.

— Co pani? — spytał cicho.

Długo nie było odpowiedzi. Śliczny letni ranek roztaczał wokoło nich przepych barw, tonów i woni. Świat wołał ich do życia, do wesela, do kochania, a oni patrzyli w grób.

Nagle dziewczyna wyprostowała się żywo. Oczy miała łez pełne i bezbrzeżny smutek na twarzy. Spojrzała na niego rozpacznie.

— Czy pan nic i nikogo nie żałuje na świecie? — zawołała. — Czy panu umierać nie żal? Nic pan nie traci? Oh! to pan szczęśliwy!

— Czegóż mam żałować?! — odparł posępnie. — Dawne uciechy i stosunki minęły, a teraźniejsze... Czy mnie pani pożałuje?... — spytał nagle.

— Idź pan już! Nie dręcz temi pytaniami! — wybuchnęła.

Zbliżył się tuż do niej.

— Proszę mi dać rączkę — poprosił.

Podała mu obie.

— Jeśli żyw wrócę, one moje! — szepnął.

— Jeśli pan nie wróci, to nie będą niczyje! — odparła.

Zdjął z jej palca pierścionek i swój wsunął na to miejsce. Milczeli oboje. Zawiele uczuć szarpało im dusze.

Nie wiadomo, kiedy znalazła się w jego objęciu, ale nie broniła się wcale, tylko usta uchylała od jego ust, kryjąc twarzyczkę na jego piersi. Płakała cicho.

— Czy lubisz mnie, ukochana? — spytał zcicha.

Wzdrygnęła się przed tem wyznaniem, ale zadała sobie gwałt niesłychany i odparła niewyraźnie:

— Bodajem tylko lubiła!

— Więc kochasz?

— I poco panu słowa... i teraz... — szepnęła.

Przycisnął ją do piersi i po chwili zaczął:

— Czy pamiętasz dzień naszego poznania w Berlinie i twoją obietnicę? Pocałuj mnie teraz. Wygrałem!

— Na co? — broniła się żałośnie. — Idź pan już! Serce mi pęknie!

— Pójdę już, pójdę! Spełnij tylko mą ostatnią prośbę, ukochana! Może już się więcej nie zobaczymy.

Prosił tak serdecznie, że mu odmówić nie mogła. Podała mu do pocałunku swe dumne, milczące usta — i ucałował je, oszalały szczęściem, powtarzając jej imię.

Szarpnęła mu się z rąk gwałtownie.

— Ach, idź pan już, idź! — powtarzała rozpacznie.

— Idę! O, już wielki czas! Spotkanie nasze w lasku, zwanym Młynarka. Jeśli chcesz, jedyna, to Jasiowi daj wiedzieć. Jeśli żyw wyjdę, będę tu za dwie godziny; jeśli nie, to...

Nie dokończył; żal go chwycił i rozpacz; jeszcze raz wrócił do niej, trzymając „Bohatera" za uzdę — u kolan jej przyklęknął.

— Jadziu, mój skarbie! — prosił — nie odstąp babki, jeżeli... Ach, może cię widzę raz ostatni! Oh, ja nieszczęśliwy!

Porwał się, skoczył na konia, dał ostrogę. „Bohater" pognał naoślep — wszystko znikło z przed oczu Jadzi. Została sama...

Tylko na ręku migotał brylant hrabiego, a usta drżały pierwszym miłosnym pocałunkiem, a serce biło, rozsadzało piersi.

A tymczasem na placu boju już dawno czekano na hrabiego. Czekał też i Jan, który wpadł na koncept śledzenia Głębockiego i w ten sposób trafił na miejsce zebrania.

Wszyscy w milczeniu palili cygara, od czasu do czasu spoglądając to na słońce, to na zegarki. Głębocki coś wspominał o tchórzostwie i zdradzie. Jan i Stefan kipieli złością.

Nareszcie tętent się rozległ i wpadł hrabia zmęczony, na spienionym Bohaterze.

— Boże miłosierny! Konno na pojedynek! — krzyknął Jan, załamując ręce.

Wentzel zeskoczył i uścisnął serdecznie przyjaciela. Otoczyli go zaraz wszyscy: sekundanci, doktor — i Urban wylazł jak z pod ziemi na rozkazy.

— Możemy zaczynać — zawołał Głębocki. — Ja nie mam czasu! Już dziesięć minut po oznaczonej godzinie!

Uśmiech szczęścia drgał na twarzy hrabiego — wierzył teraz w swą gwiazdę, myślał teraz o Jadzi.

— Wyznaczcie metę, panowie! — zawołał — Jestem gotów!

Sekundanci odeszli, a on Jana objął za szyję i ściskał jak szalony.

— Moja Jadzia, moja, moja! — wołał zdławionym głosem. — Zwyciężyłem, Jasiu!

Chrząstkowski milczał, rękami strzepnął.

— Owdowieje ona prędko, biedna! — wymówił ponuro.

I jakby w odpowiedzi na to smutne proroctwo rozległ się głos Stefana:

— A zatem na dwadzieścia kroków. Do pierwszej krwi.

— Nie, do ostatniej krwi! — poprawił Głębocki.

— Zgoda, hrabio? — spytał Jan, wzdrygając się.

— Zgoda! — odparł stanowczo Wentzel, postępując na oznaczoną metę.

Zwrócił się jeszcze do przyjaciela.

— Pożegnasz ją, jeśli zginę — szepnął.

Jan nie mógł mówić — głową skinął.

Sekundanci zmienili pistolety, hrabia swój spuścił — czekał strzału.

Była minuta strasznej ciszy.

Na wysokość serca Wentzla podniosła się błyszcząca lufa. On patrzał ponad głowy, w górę — zdawało mu się, że jeszcze czuje główkę ukochanej na ramieniu, na ustach jej koralowe wargi. Głębocki spuścił cyngiel.

— Piston nie spalił! — zawołano wkoło z uczuciem niezmiernej ulgi.

Wentzel ocknął się z zadumy.

— Jeśli nie spalił, to załóż pan nowy! — krzyknął.

— Co ty gadasz! — upomniał Jan przerażony.

— Nic. Tak się należy!

Głębocki podniósł drugi raz broń — i drugi raz zawiódł piston.

Zaczął kląć i posądzać o oszukaństwo.

Hrabia znowu powtórzył:

— Weź pan jeszcze jeden! Do trzech razy sztuka!

— Wentzel! To mord taki pojedynek! — lamentował Jan.

Głębocki zaczął mierzyć raz trzeci. Strzał padł; hrabia jęknął, chwycił się za bok i runął nawznak — krew buchnęła strumieniem.

Rzucili się wszyscy do niego. Żył jeszcze; gdy Jan się pochylił do twarzy, wyszeptał niewyraźnie: „Do Marjampola“ — i stracił przytomność...

. . . . . .

XV.

W malutkim saloniku panny Doroty von Eschenbach odnajdujemy szanowną ciocię w pewien wieczór zimowy, zajętą, jak zwykle, jakimś złocistym kościelnym haftem.

W pokoju było ciepło, zacisznie, na ulicy dzwoniły sanie i rozlegały się tony skocznej, karnawałowej muzyki, haft wyglądał świetnie; nic pozornie nie brakło do szczęścia panny Doroty: a jednak co parę minut podnosiła nos nad robotę, spoglądała naprzeciw i wzdychała.

Naprzeciw zaś, z książką w ręku, siedział jej dawny jawnogrzesznik, tak zatopiony w czytaniu, że nie uważał owych spojrzeń rozpacznych, nie słyszał westchnień.

Co się z nim stało? Ciocia Dora dotąd nie mogła przyjść do siebie. Gdzie się podziały owe szalone czasy jego hulanek, gdy o podobny wieczór w domu błagała Boga jak o cud? Gdzie znikły dawne koncepty, swawola, pustota, które ją tak gorszyły?

Oto od tygodnia miała go tak codzień naprzeciw, pochylonego nad książką; dzień cały pracował w biurze, ani jednego dnia nie obiadował w restauracji, nie uraził jej jednem słowem — a jednak ciocia Dora wzdychała.

Wzdychała, patrząc w jego mizerną, schorowaną twarz, na której wyrzeźbił się rys poważnej, surowej stałości i woli, obok dziwnie łagodnego uśmiechu milczących ust; wzdychała na widok łacińskich liter czytanej książki; a ilekroć przerzucał kartkę, wzdychała na blask djamentu w obcym pierścionku na palcu swego chłopaka.

Ach, nie był to już chłopak!

Tu panna Dorota, zamiast westchnienia, wydała z siebie prawie jęk, tak przejmujący, że Wentzel drgnął nerwowo i podniósł wzrok na nią.

— Co to ciociu? — zagadnął.

— Nic, nic. Tak sobie. Myślałam, że ty bardzo źle robisz, zwlekając swój wyjazd do Włoch. Mizerniejesz w oczach i kaszel nie ustaje.

— Za tydzień wyjedziemy — odparł — jeśli już kto wierzy, że mi trzeba Włoch, by wyzdrowieć.

— Wszyscy to mówią. Doktor Voss...

— Niech mi go ciocia nie wspomina. Staje mi w pamięci scena wyjmowania kuli! Co ten rzeźnik wyprawiał ze mną! Brrr!

— A jednak wydobył. Wierz mi, on ma rację: jedź jutro do Włoch.

— Jutro, jakem to cioci już dawno oznajmił, jadę do narzeczonej. Przez tydzień, który mi pozostaje do ślubu, nie mogę odbyć klimatycznej kuracji.

— Ślub można odłożyć. Twoje zdrowie ważniejsze.

Wentzel podniósł oczy i popatrzył na mówiącą, jak na obłąkaną, potem zmarszczył surowo brwi.

— Czy ciocia była dziś w kościele? — spytał.

— A jakże. Podczas karnawału słucham codzień nabożeństwa. Ludzie tyle grzeszą!

— Otóż zaproponuję cioci: proszę przestać bywać w kościele...

— Jakto? Ja — przestać... — Nie mogła dokończyć.

— Tak, ciociu, ja wzamian odłożę swe małżeństwo.

— Brednie! Mieszać nabożeństwo z takiemi rzeczami!

— Jakto, z takiemi rzeczami?... Zdaje mi się, że to sakrament, ciociu! Oj, oj, wietrzeją cioci zasady!

— No, tak sakrament, ale taki... z mniejszych.

— Nie uczono mnie miary w sakramentach. Kiedyś ciocia przedstawiała mi ten właśnie jako dla mnie najpotrzebniejszy...

— Dawniej! To co innego! Byłeś zdrów, młody, przystojny, miałeś karjerę przed sobą! Ba, ba, byłbyś wysoko, żebyś mnie słuchał. At, wszystko przepadło!

— Bardzo nad tem cierpię — potwierdził ironicznie, zakładając ręce i opierając się wygodniej w fotelu. — Chory, stary, brzydki, bez przyszłości. No, no! w takim dziurawym garnku siedzi moja dusza!

— Ty zawsze mnie zbywasz drwinkami...

— Tak, niestety! Był to mój grzech w owym osławionym okresie młodości, krasy i zdrowia. Obecnie, gdzie mnie stać na koncept!

— Ach, Boże! Tyle nieszczęść! W ciągu roku!

— *Primo:* w marcu Azorek zdechł — podchwycił.

— To mniejsza, choć szkoda psiny. I ty go lubiłeś...

— Nadzwyczaj! *Secundo:* zarżnęli w Chinach wychowańca cioci, ojca Matjasza!

— Biedny męczennik, bohater! — potakiwała.

— Jeśli bohater, to nie biedny — mruknął poważniejąc.

— Mógł jeszcze wiele zdziałać: tyle zdolności!

— *Tertio:* Major miał atak apoplektyczny — ciągnął dalej swe wyliczanie.

— Ach, tak! Wzywał ciebie, chciał pożegnać, napisać testament, poruczyć sierotę... a ciebie nie było... Pisałam, nie odpowiadałeś!

— Ciocia doniosła, gdy niebezpieczeństwo minęło. Zresztą, nie czuję w sobie materjału na opiekuna wdów i sierot. Szczęściem, że major zdrów i wesół i może mnie przeżyć.

— Co ty wygadujesz! Nie czujesz się lepiej?

— Mniejsza z tem! Wracając do cioci nieszczęść: burza zwaliła kaplicę w Dülmen...

— To fatalny omen — wyrzekła posępnie, trzęsąc lokami — to palec losu!

— Odkąd-że to ciocia stała się zabobonną? Nie wiem, czy to ma być palec losu, ale to wiem, że trachit nadreński jest to fatalny materjał budowlany i że kaplicę odbuduję z cegły.

— Odbudujesz? — spytała z błyskiem radości. — A mnie mówił Sperling, że zamierzasz opuścić zupełnie rodzinną rezydencję...

— Mieszkać tam nie będziemy, ale to nie racja dać się zamkowi rozpadać w ruiny. Słono mnie ta burza będzie kosztowała...

— Nie żałuj grosza w takim celu...

Uśmiechnął się.

— Moja narzeczona powiedziała mi to samo.

— Doprawdy, powiedziała? Myślałam, że ci każe zrównać z ziemią Dülmen...

— Żeby kazała, toby go dotychczas nie było już na ziemi.

— Okropność! — jęknęła panna Dorota.

— Szczęściem, że ona niema wcale niszczących gustów — mówił dalej z błyskiem dumy w oczach. — Szanuje tradycje i wszystko, co stare. Jest to ogólna cecha słowiańskich charakterów.

— Nie znam! — westchnęła ciotka i zwiesiła nos nad haftem.

Był to widocznie temat niemiły.

— Więcej nieszczęść nie było? — uśmiechnął się Wentzel.

Aż podskoczyła na krześle.

— Jakto? A twój wyjazd w te dzikie strony?...

— Mój wyjazd spełnił cioci chęci i pragnienia: ustatkowałem się i żenię. Dogodziłem cioci.

— Nie pytałeś mnie o radę, jak twój ojciec, i jak on skończysz...

— To niewiadomo, bo wcale nie myślę jak ojciec zaczynać. Żony nie zabiorę do kraju i rodziny. Znam już tę ich straszną słowiańską tęsknotę, która zabiła mi matkę...

— Więc sam się dla niej wyrzeczesz ojczyzny, narodowości, mowy, obyczajów, wszystkiego!

— Jeśli ona zechce, naturalnie. Mnie łatwiej to przyjdzie dokonać: jestem silny i przez pół ich swojak.

— Zgubiony jesteś w takim razie! — zaczęła popłakiwać panna Dora, doprowadzona do desperacji jego spokojną stanowczością i gotową decyzją.

— Ani rusz nie mogę zguby swej dojrzeć, ani zrozumieć — odparł, kręcąc wąsiki.

— Boś oślepł z ich czarów! Może to nie zguba zerwanie z całym światem stosunków?

— Co ciocia nazywa całym światem? Hrabinę Aurorę?

— Ach, fe! Wstydź się!

— Baronową Lizę?

— Słuchać nie mogę tej bezczelności. Ja mówię o panach, o restauracji...

— Jutro stu panów jedzie ze mną do Strugi na wesele. To dosyć, jak dla mnie.

— Błazny, urwisze, hulaki! Ja mówię o poważnych ludziach.

— Nie mogę wymagać, by mi składali czołobitność dygnitarze i ministrowie. Jestem na te hołdy zamłody i kawaler. Zresztą na tyle stosunków, ile ich ciocia wymaga, trzeba mieć czas i siedzieć w stolicy; ja zaś mam obowiązki rolniczo-przemysłowe, przeważnie wiejskie. Zresztą, moja narzeczona nie cierpi pustej salonowej gawędy, powierzchownych stosunków, fałszu i próżności naszego wielkiego świata, i pewnie w Berlinie nie będzie długo popasać. Pocóż mam sobie zadawać daremną fatygę?

— I ona ci zabroniła zostać posłem w Radzie! Cała opinja jest przeciw tobie. Mają cię za złego patrjotę!

— Moja ciociu, waszą wolą jest, bym jechał do Włoch. Jakże mogę posłować równocześnie? To już kompletnie niemożliwe. Zresztą, nie czuję się na siłach dobrze odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu. Jestem zbyt jeszcze osłabiony i zbyt sobą zajęty. A przytem nie chciałem robić przykrości majorowi. On się starał o tę godność. Miałbym na sumieniu drugi atak apoplektyczny! Niech szczęśliwie ujada się z kanclerzem...

— Major! Czy nie wiesz, że on jest wielbicielem twego geniusza?

— Doprawdy? No, jabym był jego zajadłym przeciwnikiem.

— *O, Herr Je!* Croy-Dülmen jest socjalista! Czego ja dożyłam! Żeby twoi przodkowie wstali z grobu!

— A którzy, ciociu? Po ojcu, czy po matce?

Panna Dora poruszyła się niecierpliwie. Dobijał ją powagą i flegmą. Westchnęła tylko.

— Słyszałam od majora, żeś prosił o uwolnienie twego mordercy.

— Prosiłem i otrzymałem, ale ten nieszczęśliwy nie przyjął łaski odemnie. Podobało mu się w Magdeburgu widocznie. Może co jeszcze o mnie mówił major?

— Mówił, żeś pozbawił chleba kilkadziesiąt rodzin po twych dobrach. Biedacy, siedzą na bruku!

— Biedacy, siedzą na talarach kradzionych. Nie rozumiem, skąd się w tej naszej cnotliwej Germanji bierze tylu szubienicznikow!

— Intrygi, plotki, kabały. Ofiary twego zaślepienia!

— Czy i to zdanie majora? Czy nie myśli ustanowić nademną opieki obywatelskiej, jak nad idjotą? Radziłbym staremu pilnować lepiej córki, niż mnie i posłuchać trochę, co mówią o niej.

— O Milci? To nikczemna kalumnja! To wzór porządnej dziewczyny. Bywa codzień u mnie, odkąd z ojcem zamieszkali w stolicy.

Zamilkła, niby obrażona; ale po chwili, widząc, że Wentzel sięga po książkę, spytała:

— Cóż wymyślają na nią? Twoim obowiązkiem jest ująć się za niewinną, albo ostrzec.

— Moim obowiązkiem jest nie dbać o cały ród kobiety, co też i czynię. Nie mam prawa ujmować

się za panną Koop, ani tem mniej ją ostrzegać. *Meinetwegen!*

— Tak jej płacisz za wielkie uczucie!

— Nie znam się na podobnych uczuciach. Wiem zresztą, że się pocieszyła.

— Co wiesz, powiedz! Bądź uczciwy.

— Wiem, ciociu, że jest późno i czas spać. Zatem stanowczo ciocia i major nie będą na moim ślubie?

— Nie. Major zajęty, a ja...

— A ciocia haftuje. Czy to stuła znowu? Proszę ją spiesznie dokończyć dla swej faworyty.

— Dałby to Bóg! — westchnęła, zaciskając usta.

Ukłonił się i wyszedł. Za drzwiami spokój znikł mu z twarzy, przez oczy przeszła błyskawica wściekłości.

— Bodaj was piekło pochłonęło, podłe szwaby! — zamruczał, idąc do siebie. — Niech przepada wasza głupia pycha, i fałszywa pobożność, i wasza mowa, i obyczaje. Ja już nie wasz, chwała Bogu, i szczęśliwy. Mam swoją wiarę, i kochanie, i kraj, i rodzinę! Ach, żebyż już jechać do swoich!

Rzucił się na fotel w gabinecie i odetchnął.

Po chwili zadzwonił i, nie oglądając się, spytał:

— Czy Urban wrócił?

— Jestem! — odparł on sam.

— Byłeś w Marjampolu? — zagadnął Wentzel, promieniejąc na widok kogoś, co wracał z jego raju.

— Byłem, jasny panie.

— Zdrowi wszyscy? Masz listy?

— Zdrowi. Jasna pani kazała powiedzieć, że gotowe wszystko i czeka pana hrabiego. Jasna panienka dała list. Młody pan...

— Gdzież list, ośle? — przerwał hrabia.

Lokaj podał złoconą tacę, a na niej elegancki bilecik. Ręka hrabiego drżała jak w febrze. Schował list na sercu i pytał dalej:

— Rozporządziłeś na jutro konie, ludzi, zaprzęgi?

— Dałem rozkaz rządcy. Młody pan...

Sądzone było, że polecenie Jana nie zostanie wymówione. Wentzel znowu przerwał:

— Zamówisz jutro ekstrapociąg w zarządzie kolei. Możesz iść tymczasem. Konie jutro od rana. Marsz!

Urban zniknął jak widmo. Młody człowiek otworzył pachnący bilecik i czytał z bijącem sercem:

„Zawiele złota i klejnotów. Wzdrygam się przed tą kaskadą pereł, oczy bolą od blasku brylantów i strach mnie bierze przed tym bogactwem i przepychem! Nie dziękuję za nie, ale dziękuję za list. Tamto było dla przyszłej hrabiny Croy-Dülmen — światowe kajdany, a karta dla mnie samej — serdeczna pamiątka. Do zobaczenia, pojutrze...“

I nic więcej! Dawne kochanki Wentzla były łaskawsze: szafowały bez miary frazesami miłosnemi, zapełniały całe foljały zapewnieniami dozgonnego uczucia, a jednak on ich listów nie całował, jak ten krótki, chłodny bilecik, — nie chował na sercu, nie marzył po odczytaniu — jak teraz.

Sen go nie brał. Zapalił cygaro i zatopił się w myślach. Rozmowa z ciotką przyszła mu na pamięć i całe to półrocze, od owej chwili cudnej u płotu w Marjampolu, aż dotąd.

Był to okres największego szczęścia i najcięższych utrapień, ostateczny zwrotny punkt w życiu.

Ciotka Dora miała słuszność: dla Wentzla Croy-Dülmen nie było już świetnej karjery w Prusach: był wrogiem niemieckiej polityki, dążeń, kultury, przeszedł

duszą i ciałem pod sztandar obcego ludu w biednej, skrzywdzonej prowincji. Rzucił wszystko bez żalu i wahania dla jednej dziewczyny i jednej starej kobiety. I one dwie zostały mu z rodziny. Niemiecka arystokracja usunęła się zgorszona, zawiedziona w wielkich nadziejach i planach na zdolnym miljonerze. Usunęli się najbliżsi: ciotka i dawny opiekun, przyjaciel ojca, major. Znosił jawną niechęć i zobojętnienie ze stoickim spokojem. Uwagi zbywał stanowczem słowem. Czuć było, że z drogi obranej nie cofnie się nigdy.

Pamiętał ów moment przełomu. Był jeszcze trochę słaby po śmiertelnej chorobie od kuli Głębockiego; pieszczono go w Marjampolu.

Pewnego dnia byli we dwoje z Jadzią pod werandą ogrodową. Ona mu czytała głośno, a on niby słuchał, rozkochany, szczęśliwy, wpatrzony w nią.

Nagle przerwał zapytaniem:

— Czy tybyś mnie mogła zapomnieć, Jadziu?

Spojrzała nań przejmująco, uśmiechnęła się smutnie.

— Zapomnieć, nie! — odparła.

— A kochaćbyś mogła przestać? — badał dalej.

— Kochać, zapewne!

— Kiedy, jedyna?

— Jakbyś mnie pan skrzywdził.

— Ciebie, ja? To niepodobna!

— Bo pan nie rozumie, co myślę.

— To wytłumacz, żebym się mógł ustrzec!

Potrząsnęła głową.

— Tego uczyć nie trzeba. W danej chwili pan to sam uczuje. Jeżeli nie, to panu moja miłość wtedy nie będzie potrzebna. Nie będzie pan już mnie kochał.

— Jadziu! Nie wierzysz mi?

— Owszem, wierzę i dlatego się nie boję.

Oczy jej strzeliły iskrami zapału i dumy, potem złagodniały, spotkawszy jego spojrzenie, i roztopiły się w bezbrzeżne uczucie. Oczy te on zawsze widział przed sobą na jawie i we śnie; panowały nad jego duszą.

Bezwiednie prawie osunął się do jej nóg i, całując jej ręce, coś szeptał niewyraźnie, urywanie, od czego płoniła się lekko, wstrząsając przecząco głową i usuwając się od pieszczot.

W tej chwili otwarły się drzwi i ukazała się pani Tekla z Janem, niosąc jakąś flaszkę z miksturą na rzecz rekonwalescenta. Jan dźwigał za nią butelkę stuletniego węgrzyna. Chory tymczasem wcale nie wyglądał lekarstw i wzmacniających trunków. Miał ochotę żyć całą piersią, był już zdrów i pełen młodości.

Na widok wchodzących nie zmieszali się wcale, nie mieli nic na sumieniu — nie lękali się oczu babki i brata, i Wentzel znajdował, że był na swoim właściwem miejscu u nóg ukochanej.

Jan uśmiechnął się przyjaźnie. Staruszka zasępiła się — spojrzała na wnuka z goryczą.

Wiedziała już o ich miłości, ale milczała. Czyż był czas gniewać się i opierać, gdy on miesiąc borykał się ze śmiercią, gdy codzień czekali końca? Teraz niebezpieczeństwo minęło — czuła się w obowiązku krytyki.

Milcząc, dała wnukowi łyżkę mikstury i usiadła naprzeciw nich.

— Dziękuję, babuniu — rzekł — okropnie gorzkie! Może już dość tej trucizny. Zdrów jestem!

— Uważam. Cóż myślisz robić dalej?

— Co babunia i Jadzia zechcą — odparł, patrząc w jej stare oczy całem sercem.

— A cóż Jadzia chce? — spytała posępnie.

— Aj, babciu — wmieszał się Jan — jakby to jeszcze trzeba pytać... i to... tego mruka. Od niej i Wacław nic się porządnie nie dowie. Proszę ich pobłogosławić i kazać szyć wyprawę.

— Byłeś i zostaniesz lekkomyślny! — upominała surowo. — Tu, w tym domu, takie małżeństwo źle błogosławić. Błogosławiłam już jednej na zgubę, na poniewierkę, na śmierć. Czy i drugiej mam na to samo błogosławić?

Wentzel wstał — poczerwieniał jak żar.

— Dwa lata przeżyłem z wami. Com złego zrobił? Powiedzcie. Zaco mi obelgą i krzywdą babka płaci? Jeślim zasłużył, wypędźcie... pójdę; ale jeślim niewinny, to poco mnie ranić? Nie kradłem serca, zapracowałem je sobie ciężko; nie oszukiwałem babki, a jeślim kiedy zrobił przykrość, przeprosiłem. Jednej złej myśli nie miałem względem was, i za co babka tak mówi jej o mnie?... / Toż ja wasza krew...

— Rodzona krew tamtego — zamruczała ponuro.

Wentzel zadrżał cały i stłumionym głosem odparł, spuszczając oczy:

— Tamten popełnił kryminał i krzywdę.

Zamilkł. Rozmowa z Jadzią stanęła mu w myśli — zrozumiał, jak ją mógł skrzywdzić.

Jan tymczasem kręcił się na krześle. Z introdukcji wnosił, że się odbędzie scena familijna, dla nikogo niemiła, a dla Wentzla arcy-nieprzyjemna. Wmieszał się znowu do rozmowy łagodząco.

— Najlepiej zrobi pani, jak się podda losowi — rzekł. — Ja Wacławowi wierzę jak bratu, on nasz sercem i duszą. Da sobie Jadzia z nim radę!...

— A jeśli nie da? — rzekła pani Tekla — Jeśli za parę lat szał jego minie, a obudzi się krew ojcowska,

niemiecka, samolubna, despotyczna, zawzięta?... Ty sam pierwszy żal uczujesz do mnie za krzywdę siostry i pomyślisz, żem poświęciła ją Niemcowi dlatego, że los zrządził być mu moim wnukiem.

— A toby dopiero była szczególna pretensja! Cóż pani winna, że tych dwoje się pokochało, a ja dopomogłem? Czy pani wolała Głębockiego?

— A mnie co babka ma do zarzutu? — przerwał hrabia. — Czemu mi bronicie serca, domu, rodziny? Sierotą jestem... wyrwaliście mnie stamtąd, a nie przyjmujecie tutaj. Gdzież pójdę? Uczyliście mnie myśleć i kochać... zohydziłem dawne życie, a nowego założyć wzbraniacie! Żebym był włóczęgą, więcej doznałbym u was litości, niż, że jestem synem waszego dziecka!

Po tej skardze usiadł nachmurzony, pochylił głowę i patrzał w ziemię.

Staruszka zamilkła. „Sierota!" Tak go nazywała matka w snach i takim samym smutnym głosem prosiła o pamięć nad nim, by nie zmarniał. Sumienie, serce, dawna nieufność i wstręt rasowy toczyły walkę w pani Tekli.

Jan spojrzał na hrabiego, wstał i usiadł przy nim.

— Daj mu wina, Jadziu! — szepnął do siostry.

Obejrzała się i podeszła. Z rąk jej wziął kieliszek i wypił w milczeniu. Zatrzymała się chwilę.

— Co panu? Słabo? — spytała serdecznie.

— Spodziewam się! — zawołał Jan. — Wy, kobiety, i Herkulesa doprowadzicie do spazmów! I po co te korowody! Śmiech i złość słuchać! Jakbyś mogła żyć bez niego! Pójdziesz za nim, czy Turek, czy Niemiec, czy Cygan, i nikt cię nie powstrzyma,

choćby tu do pomocy pani Tekli zstąpiła sama twoja patronka.

Zarumieniła się na znak twierdzenia.

— Nie chodzi tu o moją, ale o babki zgodę — odparła. — I nie dziw jej: dość płakała po zawodzie. Ona mnie kocha, a nie wierzy jemu — wskazała wzrokiem narzeczonego.

— Należało ją uspokoić, nie narażać go na podobne sceny. Wpędzicie go znowu w chorobę. Ot, przeproś za tę checę melodramatyczną. Człowiek się mieni cały.

Tu Jan złapał ich gorące spojrzenie i dodał:

— Tylko nie wiem, czy to z obrazy na babkę, czy z ochoty do ciebie. Jedno i drugie warto przeprosin.

Wentzel rozchmurzył się zupełnie.

— *Pia desideria!* Tyle łask nie jestem wart. Wspomnij, Jasiu, na swą żonę przed rokiem... i westchnij.

— Niby to pan wzdycha! — mruknęła z wyrzutem. — Szanuję pańskie zdrowie aż nadto.

Jan zerknął na panią Teklę i uśmiechnął się.

— Oto babka sumuje. Ciarki mnie przechodzą. Wspomnisz moje słowo: nie da Jadzi, będziemy ją wykradać.

Hrabia na to proroctwo oburącz targnął czuprynę. Panienka spojrzała na zamyśloną staruszkę.

— Biedna! — szepnęła. — Ciężko jej rozstawać się.

— Jakto rozstawać się! — zawołał Wentzel. — Alboż chcesz gdzie wyjeżdżać?

— Ja nie, ale pan może zechcieć, a ja będę musiała słuchać. Są zbójeckie zamki nad Renem...

— Gdzie mnie chyba gwałtem odstawią!

— Są wielkie karjery militarne i dyplomatyczne dla młodych magnatów w Prusach.

— Nie dla mnie! O, nie! Nie dla malkontenta. Widziałem militaryzm na cmentarzu we Fröschwiller, a dyplomację ot tu, na wschodzie. Dość mi na tym nauki i sławy.

— Są świetne parentele i stosunki w Berlinie.

— Ach, Jadziu, Jadziu! — zaczął Wentzel, a Jan podchwycił:

— Otóż i wylazło szydło z worka! Mamy sekret. Siostrunia boi się stosuneczków, zabawy... uhm, uhm... hrabiny Aurory naprzykład...

— Mylisz się, ja niczego się nie boję — odparła hardo — mówię o babce. Niech hrabia naszą rozmowę powtórzy jej, ja wierzę mu i...

— I kochasz! — dorzucił niepoprawny Jan. — No, powiedz śmiało, dam ci absolucję. Pewnie nigdy tego od ciebie nie słyszał?

— Uchowaj Boże! — uśmiechnął się Croy-Dülmen.

— Pan jednak wie! — mruknęła niewyraźnie.

— Ha, ćwiczysz, najdroższa, w domyślności.

Tu pani Tekla przerwała im rozmowę:

— Jadziu, chodź tu bliżej!

Wezwana podeszła, rumieniąc się.

— Czy ty chcesz iść za niego?

— Oho, wpadła Jadzia! — szepnął Jan do przyjaciela. — Pani Tekla nie zadowolni się, jak ty, domysłami.

— Chcę, babciu — odparła spokojnie dziewczyna.

— Choć cię świat okrzyczy, żeś zdradziła swą narodowość dla pieniędzy i świetnej partji?

— Choćby, babciu.

— A jak cię czeka los jego matki?

Zmarszczyła brwi i po chwili rzekła równie spokojnie:

— To umrę, jak ona.

Zapanowała minuta milczenia.

— Więc wolisz go nad to, co dotąd kochałaś?

— Nie, umarłabym po stracie kraju i swoich, żeby tak było — odparła posępnie.

— A do mnie żalu mieć nie będziesz potem?

— Nie, babciu! Nic, oprócz bezmiernej wdzięczności i przywiązania.

Pochyliła się i przyklękła u kolan opiekunki; tylko nie płakała, jak tamta — kiedyś.

— Twoja kolej śledztwa, Wentzel! — zauważył Jan. — No, spraw się gracko!

Ale hrabia nie czekał wezwania. Poskoczył z miejsca, ukląkł obok narzeczonej, przeistoczony zapałem.

— Choćby mi tam dawano cesarską koronę, nie odejdę od was, babciu. Zostanę waszym do śmierci. Będę razem cierpieć i pracować. Nie brońcie mi szczęścia, pobogosławcie. Słowa i wiary nie złamię, na pamięć matki wam przysięgam!

Staruszce zabrakło głosu. Drżącemi rękami objęła obie głowy i modliła się wśród łez. Była spokojną o wnuka, o wychowankę i o swą starość.

Od tej chwili Wentzel publicznie został przyjęty w grono rodziny, za domowego, za pana Marjampola. Służba nazywała go dziedzicem, Jaś Poznańczykiem, marszałek obywatelem, a znajomi sąsiadem.

Pani Tekla mając się za cudotwórcę, patrzyła z dumą na nawróconego Szwaba, a rzeczywista czaro-

dziejka milczała po swojemu i pozwalała hrabiemu wszystkiego się domyślać.

Bruk berliński i powietrze Brandenburgji stało się wstrętne dla Wentzla. Z rozkazu babki, na miesiąc przed ślubem, odbył, jak ciężką pokutę, lustrację dóbr przed podróżą do Włoch.

Mieli zimować nad jeziorem Como, w świeżo nabytym pałacyku: „między Eufratem i Tygrem" nazywał Jan, mrugając do siostry...

Nazajutrz po rozmowie z panną Dorotą cała młodzież arystokratyczna przeprowadzała koryfeusza do Strugi. Dworzec kolei wrzał toastami, roił się tłumem eleganckich oficerów i cywilnych, rozbrzmiewał konceptami Schöneicha i głośnym śmiechem Herberta.

Oblubieniec biegał od biura do biura, nagląc o pociąg. Do jego zakochanej głowy nie trafiały uwagi o rozkładzie jazdy i t. p. ceregielach.

Śpieszył się — basta.

W to grono rozbawione niewiadomo jakim cudem wpadł major Koop, apoplektyczny, zajęty, z olbrzymią teką w objęciu. Poselska godność pomieszała w głowie szanownego męża. Zaczął się kłaniać znajomym i nieznajomym, jak swoim nadreńskim wyborcom. Binokle Schöneicha odkryły go natychmiast jako nieopatrzną ofiarę drwin. Rude faworyty znalazły się przed czcigodnym posłem.

— Moje uszanowanie, majorze! — pozdrowił. — Winszuję zaszczytu! W tak godne ręce dostało się przewodnictwo okręgu! Wszak pan ma w tej tece jaki projekt przeciw wrogom winnic?

— Przeciw filokserze. Wiem, wiem! — potakiwał poseł, nadymając się dumnie.

— A na lisy, majorze, co psują zielone grona i młode latorośle?

— Na lisy? Nie, nic nie mówili. Kwestji polowań nie będzie. Gdzież to panowie jadą? Może jaki kongres międzynarodowy? Jubileusz?

— Ach, niestety! Ruszamy na pogrzeb!

— A czyjże, czyj? Nie czytałem dziś depesz. Może kto sławny?

— I jak jeszcze! Znakomitość, majorze, dzięki waszemu wychowaniu i opiece. Król młodzieży, półbożek pięknych dam, mój przyjaciel, Wentzel Croy-Dülmen!

Major poskoczył i poczerwieniał, jakby mu groził nowy atak apoplektyczny.

— Ten, ten... warjat! Umarł! *O! Herr Je!* Aż mi lżej oddychać! Z jego powodu znoszę wiele! Bo, widzi baron, on ostatniemi czasy nosił się z okropną myślą...

— Samóbójstwa? — spytał naiwnie Schöneich.

— Gorzej, baronie, gorzej!

— Mordu?

— A tak! Mordu narodowego!

— Co? Chciał podminować może posąg Germanji?

— Nie, baronie, chciał ożenić się z Polką!

— No, i rozmyślił się?

— Przecież pan mówi, że umarł.

— Jeżeli pan nazywa małżeństwo mordem, to ja nazywam śmiercią.

— Co? Co? Jak pan mówisz?

— Śmiercią, majorze. Ale oto i sam nieboszczyk. Wiesz, Wentzel, że twój opiekun podaje cię na sąd Boży za mord narodowy.

— Podawać na ten sąd łatwo, ale wygrywać nie rychło — uśmiechnął się zagadnięty, śpiesznie witając posła. — Mamy wdzięczność za te kompromisy. Majorze, bądźmy cierpliwi. Tymczasem, wracając do doczesności, wyjeżdżam na całą zimę. Pałac mój stoi na pańskie rozkazy. Wygodniej tam będzie, jak w dotychczasowem mieszkaniu.

— *So, so!* Dziękuję ci. A gdzież to wyjeżdżasz?

— Z żoną do Włoch.

— Ach, jak to brzmi melodyjnie! — zauważył, wzdychając Schöneich. — A żeby pan wiedział, jaka ona piękna, ta żona! Pokaż fotografję, Wentzel.

— *Zum Henker!* — oburzył się major. — Dla brzydkiej nie robi się takich monumentalnych głupstw. Wstydziłbyś się!

— Wstydziłbyś się dla brzydkiej! Ach, majorze, żebyś ją widział!

— At! — strzepnął rękami stary. — Desperacja z tym naszym Wschodem. Ale zgnieciemy go, zgnieciemy. Będzie nasz. Poczekajcie!

— Uhm!... — zaśmiał się Wentzel. — Poczekajcie na to coś około wieczności. No, szczęść wam losie! Ach, otóż nareszcie pociąg. Żegnam majorze!

— Moje uszanowanie — dodał Schöneich — i ukłony ślicznej córeczce — dołączył czyn do słów i ruszył za przyjacielem.

Z okna wagonu jeszcze raz wyjrzał, a potem zwrócił się do kogoś siedzącego w głębi i rzekł:

— Herbert, bądź konsekwentny. Ukłoń się teściowi. Schowałeś się, aż mi wstyd było.

— Wolę córce — mruknął elegant. — Ten stary wygląda mi na grubjanina! Ja lubię delikatnych ludzi.

— Niezawodnie, bezpieczniejsi dla naszych pleców. Nieprawdaż, Wentzel?

Ruch pociągu zagłuszył dalszą rozmowę.

Struga nigdy nie widziała tylu i takich gości, jak następnego wieczora. Pani Tekla otrzymawszy od wnuka kartkę z zawiadomieniem i listą przybyłych, załamała ręce.

— Najście barbarzyńców! — wyrzuciła z siebie z bezmiernym wstrętem i pogardą.

Barbarzyńcy tymczasem w najlepsze obsiedli stoły, podnieceni stuletniemi winami, wyborną kuchnią i dźwiękami orkiestry. Biesiadowali, jak za czasów Lukullusa. Wśród dobranego wykwintnego towarzystwa Jan i kilku Polaków czuli się jak u siebie.

Z oczu „Papryki" wyzierał szampan — uwziął się na roztargnionego gospodarza.

— Jakże to tam z tym zakładem o Scherza? Po sprawiedliwości, czyj on teraz? Twój, mój, czy Herberta?

Wentzel aż zzielenial na wspomnienie dawnego głupstwa.

— Dam ci jeszcze czwórkę, ale milcz, gaduło! — zawołał.

— Aha, wstyd ci teraz! Pamiętaj, rozkładaj odtąd swe chęci na dłuższe termina! Między ustami a brzegiem puharu wiele się przytrafić może. Tak, tak... Ja Scherza już mam, nawet Herbert już coś ma, a ty... Wiem tylko, że wiele straciłeś.

— Tego, com stracił, ty niestety, nigdy nie zyszczesz. Pohamuj swą pychę.

— Hamuję. Cóż z tego tobie przyjdzie?

— Oto dam ci to, com zyskał: stuletniego miodu polskiego puhar. Życzę, by ci się nic nie przytrafiło między ustami a jego brzegiem.

— Oho! Od czegóż jestem dyplomatą! Czyje zdrowie wypijemy? Może twoich nowych cnót, czy starych występków? To pierwsze coś mi zalatuje letejską wodą.

— To drugie coś mi zalatuje twoją zawiścią.

— Uchowaj Boże! Lubię być widzem tylko, a masz tak godnego następcę, że mi nie zbraknie studjów. Jakiż toast, panowie?

— Zdrowie dam! — wyrwał się Herbert patetycznie.

Schöneich coś szepnął w ucho sąsiada Jana, w mgnieniu oka zmienił swą ruchliwą fizjognomję. Oczy wytrzeszczył, nos skrzywił, usta przeciągnął w melancholiczny grymas. Z włosów ułożył grzywkę nad czołem, a szyję wyciągnął.

— *Ich danke!* — zapiszczał przeraźliwym dyskantem, mrugając na Herberta zalotnie.

Śmiech homeryczny wstrząsnął salą.

— Vivat Emilja Koop! — wołano.

Baron, dumny z uznania, uśmiechnął się wabnie i zaśpiewał, mizdrząc się do Herberta, głosem najfałszywszym, jaki mógł istnieć:

Ich schnitt es gern in alle Rinden ein,
Ich grub es gern in jeden Kieselstein.
Ich möcht' es säen auf jedes frische Beet
Mit Kressensamen, dass es schnell verräth.
Dein ist mein Herz, und dein soll es ewig,
Ewig bleiben!

— To dopiero miłość efektowna! — śmiał się Jan. — Nawet rzerzuchą nie pogardza. Będzie dobra gospodyni z tej panienki.

— Nieprawdaż? — podchwycił Schöneich. — Co ona ma zalet! Tuziny! Miła, dobra, pobożna rozumna, ładna! Same kontrasty Herbetra. I wiesz, co ci dodam pod sekretem: Wentzel ginął za nią i dostał odkosza. Sza, nie paplaj... On się wstydzi i zapiera, ale tak jest. Otóż, wierz mi, puść na salatę hrabinę Aurorę, bo ta się i potem znajdzie: jedź nad Ren, tęp filokserę i pracuj dla dobra i rozwoju ludzkości!

— Kogóż będziesz obserwować, jak i on zniknie z berlińskiego horyzontu? — zauważył Wentzel.

— Turków, mój drogi, bo i ja się eklipsuję. Jadę z ambasadą do Stambułu. Ot, maluczko, a poginiemy sobie z oczu. Szkoda, była nas dobra kompanja, same zuchy! Ach, żeby nie te kobiety! Myślałem, że Wentzla uratuję od tej zatraty. Nic nie pomogło. Nikt mi nie chce wierzyć, że niema życia nad kawalerską swobodę. Zostanę sam. Choć z rozpaczy mnichem być!

— Z rozpaczy żeń się i pan — rzekł Jan.

— A ma pan drugą siostrę? Zgoda! Zniosę cierpliwie wszelkie perypetje, jak Wentzel.

— Nawet sentencję o ustach i puharze?

— Wszystko. Cóż, kiedy pan nie ma drugiej siostry, a ta, co jest, może już mnie nie zechce. Godzę się z losem. Niech żyje młodość i swoboda!

— Niech żyje Papryka! — wniósł Wentzel.

— I ty! — podchwycił Schöneich. — Żyj, używaj, kochaj i bądź zdrów! Miałeś dla nas otwarte serce, dom i często kieszeń. Trzeźwi mówią, żeś zamknął te skarby, ale ja, pijany, nie widzę różnicy. Szczerość siedzi w kieliszku. Bądźmy szczerzy! Dajmy każdemu żyć, jak chce i z kim chce, a kogo warto, kochajmy i cenmy. Szlachetnych ludzi mało znajdziemy, więc ty, Wentzel, zostaniesz nam zawsze w pamięci. Uczy-

liśmy się razem, służyliśmy razem, bawiliśmy się razem. Nie rozwiązujmy tych węzłów i pożegnajmy się dawnym naszym okrzykiem studenckim: *fest, froh, frei!*

Sto piersi powtórzyło toast. Niemiecki on był, ale prawdziwy, wielki i szczery: to też i Polacy powtórzyli go chórem i nawet pani Tekla nie zgorszyłaby się jego treścią.

Bohater nasz znalazł się w wieńcu otwartych ramion, uśmiechniętych twarzy, wyciągniętych rąk. Mimowoli powtórzył za nimi:

— *Fest! froh! frei!*

A potem myśl mu przyszła inna, posępna, i dodał w duszy:

— I nie daj Boże stać kiedy z ostrzem naprzeciw kolegów i bronić swobody.

A toast mieszał się z tonami orkiestry i ogarnia salę: *Fest! froh! frei! frei! frei;!*

XVI.

Zapomnieliśmy o jednym!...

On był im wszystkim bliski zarazem i daleki, kochany i opłakany, a nie wymagał od nich ni szczęścia ni zabawy, ni im towarzyszyć mógł w życiu. On leżał spokojny, cichy i czekał, aż o nim wspomną; on się nie bał czasu i lat, ani wypadków, nie weselił się i nie cierpiał: czekał, aż przypomną i przyjdą po niego...

I przyszli razem, gromadka najbliższych, w odwiedziny do niego, i w pewien wieczór wiosenny odnaleźli jego mieszkanie w obcym kraju i pozdrowili w ojczystej mowie modlitwą za zmarłych. Czy on ich słyszał?... Zapewne rodzinna mowa i ducha zwoła, a on jej tak dawno nie słyszał, tak tęsknił...

Pięcioro ich było: czworo młodych, których dziećmi i wyrostkami pożegnał, odchodząc, i biała jak gołąb staruszka, co go kiedyś uczyła pacierza i tej miłości, którą życiem opłacił.

I teraz jej głos przodował:

— „Który chwałą wieczną koronujesz wybrane Twoje!"

A tamci odpowiadali:

— „Wysłuchaj nas, Panie!"

Jakby wiankiem kochających serc, otaczali jego mogiłę, nie śpieszyli z odejściem. Po modlitwie dumali długo w milczeniu, wpatrzeni w napis grobu.

Na płowe wąsy Jana zbiegały jasne łzy; otarł je niezgrabnie swą okaleczoną prawicą. Spojrzał na Cesię — płakała także.

Naprzeciw nich Wentzel, z brwią ściągniętą, rozmyślał o tej krzywdzie wieczystej, która jednych drugim oddaje na wyzysk i poniewierkę. W oczach mu stało pole bitwy, jak było przed laty. Wzdrygał się ze zgrozą...

A obok niego Jadzia, oparta o żelazne ogrodzenie, mówiła w myśli, odpowiadając na jakąś, jej tylko zrozumiałą, pozagrobową skargę:

— Zabierzemy cię, biedaku, zabierzemy do swej ziemi. Nie wrócimy bez ciebie. Długo czekałeś... Byłam zanadto szczęśliwa. Myślałam tylko o sobie.

Pani Tekla wstała pierwsza. Słońce zachodziło, i przedarłszy się z za chmurki, rzuciło złoty promień na napis grobowca:

„Wacław Chrząstkowski, porucznik pułku piechoty poznańskiej. Zginął w boju jak bohater!“

Staruszka skinęła na swe dzieci — ręką wskazała litery na marmurze:

— Boże, daj dzieciom waszym inną dolę! — wymówiła uroczyście. — Inną śmierć i inne bohaterstwo. Daj im, Boże być wolnymi ludźmi. Jak ginąć, to nie marnieć!

— Amen! — wymówił Jan z Wentzlem, pochylając głowę.

A Jadzi się zdało, że to słowo nie mówił tylko mąż i brat ale, że je powtarzał za nimi cały chór z grobów, rozrzuconych po całym świecie.

Amen, Amen, Amen!...

KONIEC.

U. C. BERKELEY LIBRARIES
C057849687